

SEAN U. MOORE

CONAN NIEZŁOMNY

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE HUNTER
PRZEKŁAD MAREK MASTALERZ

Dla Raven
sercem i duszą

PROLOG

W pogrążonej w mroku komnacie panowała niesamowita cisza, przywodząca na myśl gęstą mgłę. Migoczące świece rzucały chwiejny blask na wielki hebanowy ołtarz. Na posadzce przed ołtarzem klęczała kobieta. Jej blada skóra kontrastowała z czarnymi jak węgiel włosami i szatami barwy ciemnego szkarłatu. Oczy kobiety gorzały czerwienią niczym rozżarzone węgle, a czarne źrenice przywodziły na myśl ślepią węża. Przez egzotyczne piękno jej twarzy przebiegała niebывwała żądza władzy i bezwzględność.

Złowieszczy ołtarz pokrywały ciemne plamy. W mętnym świetle widać było, że jedna z nich lśni wilgocią. Cienkie strużki szkarłatu skapywały na posadzkę, tworząc kałużę. Komnatę wypełniała woń śmierci.

Wielkie spiżowe drzwi komnaty otworzyły się ze skrzypieniem. Za nimi ciągnął się ciemny korytarz, wyścielony grubym, pluszowym dywanem. Na progu stał wysoki, chudy mężczyzna. Z wyjątkiem wąskiej, siwej brody jego głowa była całkowicie pozbawiona owłosienia. W lewej dłoni dzierżył pęk kluczy. Przybysz uklęknął i skłonił głowę.

— Azoro, najczcigodniejsza kapłanko, przybyłem na twe wezwanie.

Kobieta wstała powoli i i odwróciła się w stronę drzwi. Na widok przybysza jej oczy zalśniły pogardą.

— Lamici, już niedługo dopełnię ostatnie rytuały. Czeka cię sowita nagroda, eunuchu — Azora podkreśliła szyderczo ostatnie słowo. Jej precyzyjnie artykułowany głos, pobrzmiwający w komnacie nikłym echem, miał niską, matową barwę. Skinieniem głowy kobieta wskazała wierzch ołtarza. — Bądź tak dobry i pozbądź się trupa.

— Natychmiast, dostojna pani.

Lamici na chwilę cofnął się na korytarz, i powrócił z dużym, skórzanym workiem. Zbliżywszy się do ołtarza, obrzucił to, co na nim leżało, wzrokiem pełnym obrzydzenia. Azora przyglądała się mu z rozbawieniem. Słaby, tchórzliwy głupiec, pomyślała. Jakby wyczuwszy to, eunuch podszedł zdecydowanie i zabrał się do roboty.

Pod sufitem wisało głową w dół nagie ciało pięknej, młodej kobiety. Jej kostki skuwały zardzewiałe żelazne kajdany. Okowy zawieszono były na ciężkich łańcuchach, przeciągniętych przez umocowane do sklepienia spiżowe pierścienie. Rozpuszczone długie, złotopłowe włosy dziewczyny niemal dotykały powierzchni pokrytego krwią ołtarza. Na nadgarstkach miała srebrne bransolety, szyję otaczał łańcuch z tego samego metalu. Mimo kałuż krwi na posadzce komnaty, ciało dziewczyny wyglądało na nie naruszone. Tylko jej skóra miała upiorną, białą barwę, świadczącą o utracie życiodajnego płynu. Szeroko otwarte usta i oczy zastygły w wyrazie bezgranicznego przerażenia.

Unikając zetknięcia z plamami szkarłatu, Lamici naciągnął wór na pozbawione życia ciało i własnym kluczem otworzył kajdany. Dając świadectwo niepospolitej sile, lekko zarzucił sobie zwłoki przez ramię i wyniósł je na korytarz.

Azora odczekała, aż zamkną się drzwi, po czym odwróciła się z powrotem do ołtarza.

Przymknęła oczy. Wyciągnąwszy przed siebie dłonie, zaintonowała powolny, rytmiczny śpiew. Świece w komnacie rozgorzały szkarłatnymi płomieniami. Strużki krwi uniosły się niczym węże i pomknęły w stronę kapłanki, która wchłonęła szkarłatną falę w wyciągnięte dłonie. Chwilę później inkantacja urwała się, a świece ponownie poczęły migotać żółtą poświatą.

Otworzywszy oczy, Azora cofnęła się od ołtarza. Czuła energię przenikającą falami całe jej ciało. Żaden śmiertelnik nie mógł mierzyć się z nią pod względem szybkości myśli i ruchów.

Wkrótce będzie miała dość sił, by odprawić pradawne zaklęcia. Zamierzała zakończyć ostatni poprzedzający je rytuał przed nastaniem kolejnej pełni.

Od wczesnej młodości Azora pilnie studiowała starożytne księgi, pozostałe po arcykapłanach węzowego ludu Thurian. Owe rękopisy, uważane za dawno zaginione lub zniszczone, zawierały

Moore Sean U - Conan niezłomny

wiedzę o potężnej magii, pozwalającej przedłużyć życie i osiąść absolutne panowanie nad śmiertelnymi mężczyznami i kobietami.

Azora pragnęła władzy tak wielkiej, by móc rozkazywać nawet najmożniejszym monarchom tego świata. Liczyła, że niebawem będą pełzać u jej stóp jak karcone szczenięta. Jej przeznaczeniem było dorównać pradawnym thuriańskim kapłankom. Czyż legendarna Mutare nie była wszak istotą przewyższającą zwykłych śmiertelników?

Uśmiechnęła się, obnażając dwa rzędy spiłowanych w szpic czarnych zębów.

1. „POD ŁĘKIEM”

W otoczonej wysokimi murami Pirogii jak co dzień tętniło nocne życie. Na placach i ulicach tłoczyli się jasnokórzy, płowowłosi Brythuńcy. Rozproszone grupki pijanych kezankiańskich górali wędrowały krętymi uliczkami od jednej oberży do drugiej. Przekonani o własnej wyższości członkowie straży miejskiej uważali Kezankiańczyków za skądinąd boskie, ale omijali ich szerokim łukiem. Król Brythunii Eldran wywodził się z owego góralskiego plemienia i z pewnością nie zareagowałby łaskawie na wieść, że straż miejskie źle traktują jego ziomków. Poza głównymi brukowanymi ulicami rozciągał się marnie oświetlony, zaślany śmieciami labirynt cuchnących zaułków. W jego ciemnych, zakamarkach snuli się żebracy, szczury i pijacy nawołujący się ochrypłymi, bełkotliwymi głosami. Dopiero nad ranem, gdy kwaśne tanie wino zbierało swe żniwo, padali pokotem bez zmysłów. Niektórzy nie budzili się już nigdy, lecz należało oddać straży sprawiedliwość, gdyż nawet najędzniejsze zakamarki Pirogii były bezpieczniejsze niż ulice wielu metropolii hyboryjskiego świata. Ostrożność wymagała jednak, by zapuszczając się w te rewiry, trzymać jedną rękę na kiesie, a drugą na rękojeści miecza. Jednym z takich zaułków kroczył niski, ciemnoskóry mężczyzna. Jego sięgające ramion włosy miały barwę sadzy, a oczy były jeszcze czarniejsze. Na wąskiej twarzy malował się okrutny uśmieszek. Mężczyzna ów poruszał się z kocią zręcznością. Przystąpiwszy leżącego na ziemi, pochrapującego pijaka, zatrzymał się przed drzwiami ceglanego budynku. W ścianę nad framugą był wbity po rękojeść wielki, dwuręczny miecz. Mężczyzna wyciągnął sztylet i zastukał rękojeścią w drzwi. Ze środka dobiegły stłumione, brythuńskie przekleństwa:

— Parszywy żebrak! Zabieraj swoje zawsze łapy z moich drzwi! Nie dostaniesz ode mnie wina, póki nie pokażesz, że masz czym zapłacić!

— Immanus, stary psie! To ja, Hassem! — odpowiedział niskim głosem rozbawiony ciemnooki mężczyzna. — Rusz swój wańtuch i otwórz natychmiast!

Szczęknięta zasuwa i Immanus uchylił drzwi. Hassem wszedł do środka, chowając sztylet.

Oberża, nazywana „Pod Łękiem”, była niewiele lepiej oświetlona niż zaułek, przy którym stała. Z trzech stojących w kątach lamp wydobywały się gęste kłęby oleistego dymu, pogłębiając mrok panujący w izbie biesiadnej. Pokryte lepkiem brudem drewniane stoły i ławy rozstawione były bezładnie. W głębi piętrzył się szynkwaz, a z boku — prowadzące na górę ceglane schody. Przy stołach zasiadała odpowiednia do tego miejsca klientela. W kącie powszechnie znany nemediański handlarz niewolników wielkim kamionkowym kuflem wznosił toast za zdrowie swoich siepaczy. Brunatne, jęczmienne piwo pociekło po jego wyplamionej tunice. Nie bacząc na to, Nemediańczyk zażądał od szynkarza jeszcze jednej kolejki.

Przy sąsiednim stoliku tkwiło dwóch Kothyjczyków o świdrujących spojrzeniach. Knuli coś szeptem, sącząc wino z kubków. Na środku sali grupa Kezankiańczyków obmacywała ładacznice i ryczała sprośną piosenkę. Parę stolików dalej skąpo ubrana Brythunka, co chwila, hałaśliwym chichotem kwitowała słowa swego młodego, jasnowłosego towarzysza. Ten dobrze odziany mężczyzna był zapewne potomkiem jakiegoś możnego rodu, pragnącym poznać ciemniejsze strony życia stolicy. Eleganct przesunął dłonią po obnażonym biodrze swojej towarzyszki i ponownie zaczął szeptać jej coś do ucha.

Obok drzwi stał spalony na brąz olbrzym — Immanus. Na jego strój składały się pantalon i skórzana kamizela. Jedno ucho Immanusa zdobiło wielkie, złote kółko, ale słabe światło odbijało się mocniej od jego łysej głowy. Beczkowatą pierś pokrywały niezliczone szramy, a gruby pas z czarnej skóry podtrzymywał długie i ciężkie szabliisko. Immanus stanowił istną chodzącą górę mięśni i tłuszczu. Olbrzym odczekał, aż Hassem wejdzie do środka, po czym zamknął masywne drzwi jedną ręką i nachylił się do Zamorańczyka:

— Szedł ktoś za tobą, Hassem? — szepnął.

— Gdyby tak było, musiałbym teraz oczyścić mój sztylet — odparł Zamorańczyk z urazą w głosie.

— Oto moja najlepsza przyjaciółka — Immanus postukał się w łyse czoło mięsistym palcem, nie zwracając uwagi na irytację Zamorańczyka. — Tak długo, jak jej słucham, będziemy trzymać się razem. Lecz gdy przestanę zważać na jej ostrzeżenia... — przejechał palcem po gardle i

zarechotał z własnego dowcipu.

Hassem położył dłoń na przywiązany do pasa niewielkim zawiniątku.

— Barbarzyńca jest tutaj? Wczoraj umówiłem się z nim na spotkanie, ale ten dzikus tak zalał winem swoją tępą pałę, że mógł o wszystkim zapomnieć.

— Nie oceniaj go pochopnie. Może to i barbarzyńca, ale wiem, czego można spodziewać się po Cymmerianach. To twardzi i przebiegli ludzie. Nie warto z nimi zadzierać. Było wielu takich, którzy rzucili mi wyzwanie. Żaden nie uszedł z życiem, lecz gdyby przyszło mi bić się z Cymmerianinem, nie byłbym pewien, jak to się skończy — Immanus zamilkł i utkwiał w Has — semie wyzywające spojrzenie. Po chwili roześmiał się i walnął Zamorańczyka w plecy z siłą, która kogoś słabszego powaliłaby na kolana. Hassem podał Immanusowi małą sakiewkę, która zabrzęczała cicho, gdy olbrzym chował ją do wewnętrznej kieszeni kamizeli.

— Znajdziesz go na górze — rzekł oberżysta. — Właśnie skończył pierwszy dzisiaj dzban wina. Dobrze mu idzie przy grze w kości, ale czuję, że jego szczęście wkrótce się odmieni. Hassem ruszył w stronę schodów. Po drodze zatrzymał się przy szynkwasio i zamówił kubek taniego wina. Zmoczył wargi zalatującym octem trunkiem, przepłukał nim usta i wypluł go na kamienną podłogę. Obrzydlistwo, pomyślał. Najwyższa pora by ci niań — czący kozły Brythuńcyzy nauczili się sztuki wyrobu win. Pocieszył się, że jeszcze tej nocy opuści ten chlew i wróci do Zamory. Barbarzyńca miał kupić ostatnią oferowaną przez Hassema błyskotkę. Zamorańczyk tak spieszył się z jej zbyciem, że tylko dla formalności targował się o cenę. Odstawivszy kubek, dotknął gładkiego metalu inkrustowanej

— 13 —

klejnotami srebrnej bransolety ukrytej w zawiniątku przy pasie. Nagroda, wyznaczona za wskazanie strażom miejskim, w czyich rękach znajduje się ta sztuka biżuterii, była o stokroć większa, niż cena, jaką wycisnął z głupiego barbarzyńcy. Zamorańczyk był pewien, że bez względu na spryt, Cymmerianin nie wywinie się spod katowskiego topora. Hassem uniósł kubek do ust i uśmiechnął się do własnych myśli. Dopivszy wino, ruszył po schodach.

Pierwsze piętro „Pod Łękiem” było lepiej oświetlone niż parter. Stało tam zaledwie parę grubo ciosanych stolików i ław. Większą część sali zajmował wielki stół do gry w kości. Hazardziści tłoczyli się przy nim łokieć przy łokciu. Po każdym rzucie następowały głośne jęki przegrywających i radosne krzyki zwycięzców. Gwar rozmów i przekleństw w wielu językach sprawiał, że panowała tu atmosfera bardziej przypominająca bazar niż oberżę.

Gdy Hassem dotarł do szczytu schodów, niezwykle wysoki, muskularny gracz odszedł od stołu z garścią pełną monet. Zasiadł na pobliskiej ławie i zsypał pieniądze do sakiewki przy pasie. Równo przycięta grzywa czarnych włosów okalała jego zbrązowiałą twarz, w której odznaczały się gorejące niebieskim ogniem oczy. Krzepkie ramiona i barki pokrywały dziesiątki starych i świeżych blizn. Czarny kaftan ledwie osłaniał wypukłą, masywną pierś. Przy pasie gracza wisiał wielki pałasz, którego nagie srebrystobłękitne ostrze połyskiwało złowieszczo przy każdym kroku. Młodzieniec ten wśród okupujących stół utracjuszy wyglądał jak wilk w zgrai szczurów. Dziewka służebna postawiła przed Conanem dzban wina. Młodzieniec rzucił na stół srebrną monetę, nalał sobie pełny kubek i wypił go duszkiem. Zauważył, że Hassem wszedł na piętro, i czekał, aż Zamorańczyk do niego podejździe. Pomyślał, że opłaciła mu się znajomość z tym szubienicznikiem. Temu zamorańskiemu łotrzykowi nie można było ufać, lecz wiedział, że ubił z nim wyjątkowo korzystny interes. Podczas targów gotów był dać za tę bransoletę nawet trzykrotnie wyższą cenę.

Kiedy Hassem po raz pierwszy pokazał mu tę zdobioną klejnotami sztukę biżuterii, Conan natychmiast zorientował się, że pochodzi ona z kradzieży. Nie obchodziło go, kto padł ofiarą rabunku. Bransoleta doskonale nadawała się na podarunek dla Yvanny, Brythunki, u której zamieszkał po przybyciu do Pirogii. Kości sprzyjały mu tego wieczoru, dlatego też zapłacenie za błyskotkę nie oznaczało pozostania z pustką kiesą. Myśl o bujnym cieie i woni płowych włosów namiętnej Yvanny w połączeniu z wypitym winem podsyciła żądzę Cymmerianina. Zamierzał spędzić z dziewczyną ostatnią noc rozkoszy, podarować jej bransoletę i ruszyć do Shadizar. Hassem przysiadł się do Conana i wyciągnął zza pasa szmaciane zawiniątko. Nerwowo gładząc rzadki wąsik, Zamorańczyk spojrział uważnie na ogorzałego barbarzyńcę.

— Witaj, Conanie. Jak ci szło dzisiaj przy kościach?

— Nieźle — Cymmerianin skinął głową w stronę rojowiska graczy. — O wiele lepiej niż wielu z nich, Hassemie.

Conan mówił po zamorańsku z barbarzyńskim akcentem. Nauczył się tego języka niedawno, lecz postugiwał się nim biegle.

— W takim razie nie będzie kłopotów z zapłatą. Czterdzieści sztuk srebra lub dwie złote korony, tak jak się umówiliśmy.

— Zgoda, Hassemie, ale najpierw chcę zobaczyć twój towar.

Ostaniając zawiniątko dłonią, Conan rozchylił sukno i dokładnie przyjrzał się bransolecie, by upewnić się, czy zamorański złodziej nie podsuwał mu bezwartościowej imitacji. Oględziny te rozdrażniły Hassema.

— Zapewniam cię, że jest prawdziwa. Moja reputacja ucierpiałaby, gdybym oszukiwał klientów. Poza tym widać, że jesteś doskonałym wojownikiem. Nie puściłbyś płazem oszustwa, a ja nie mam ochoty przez resztę życia oglądać się niespokojnie przez ramię.

— Znam dobrze honor zamorańskich złodziei. Sprzedałbyś własną matkę handlarzom niewolników, gdybyś mógł dostać za nią dobrą cenę. Masz swoją zapłatę!

Przygana Cymmerianina rozgniewała Hassema. Ciebie również spotka dzisiaj godziwa zapłata, północny dzikusie, pomyślał z wściekłością. Sięgnął po złote monety, skłonił się nisko i podszedł do graczy.

Uśmiechając się na myśl o Yvannie, Conan wetknął zawiniątko do kieszeni. Gdzie, na Croma, podziwała się ta dziewczyna? Miała spotkać się z nim tu dwie godziny po zachodzie słońca, gdy skończy ostatni taniec w zajeździe „Pod Żółtym Lwem”. Barbarzyńca szybko dopił wino i nalał sobie następny kubek. Był zbyt zajęty swoimi myślami, by dostrzec, że Hassem wyszedł z obozu.

Niecałą godzinę później Conan nalał do kubka resztę wina z dzbana. Nie był jeszcze pijany, lecz wino wprawiło go w lekki rausz. Yvanny wciąż nie było. Cymmerianina ogarnęła zniecierpliwienie. Przyszło mu do głowy, że może pogra jeszcze trochę w kości, a potem zrezygnuje z czekania. Gdy zastanawiał się nad tym pomysłem, z parteru dobiegła go wrzawa. Rozległ się ogłuszający łoskot, po którym nastąpiły nie dające się z niczym pomylić odgłosy wyciągania mieczy. Conanowi od razu przejaśniło się w głowie. Położył dłoń na rękojeści pałasza. Pozostali goście, o wiele bardziej pijani od niego, nie zwracali uwagi na dobiegające z dołu hałasy. Bez wątpienia nocne bijatyki były „Pod Łękiem” pospolitym zjawiskiem. Conan odprężył się nieco, lecz zachował czujność.

Chwilę później na schodach rozległ się głośny tupot podkutych butów. Conan ujrzał, że na piętro wkracza prowadzony przez oficera patrol straży miejskiej. Dowódca różnił się od pospolitych miastowych słabeuszy, częstokroć obejmujących znaczące stanowiska. Jego wyrazistą twarz ograniczały krótko przystrzyżone, czarne jak smoła włosy oraz równo przycięta czarna broda i wąsy. Najwyraźniej nie był to Brythuńczyk. Niemal dorównywał wzrostem Conanowi, a przewyższał go szerokością barów. Oficer miał na sobie kolczugę, w prawej dłoni dzierżył zakrzywiony miecz. Jego ciemnobrązowe oczy omiotły piętro obozu, najwyraźniej poszukując kogoś, na kim bardzo mu zależało.

Na piętrze natychmiast wybuchło zamieszanie. Ponad połowa gości była przekonana, że strażnicy przybyli, by właśnie ich aresztować. Niektórzy czynili niemrawe próby zasłonięcia swych twarzy, inni spoglądali nerwowo w stronę wychodzącego na zaułek dużego, zalepionego brudem okna. Paru wczółgało się pod stół w kącie.

Na dole rozległo się gniewne wołanie. W chwilę później tysy Immanus wpadł na górę po schodach, roztrzając jak słomki trzech strażników. Stanąwszy twarzą w twarz z oficerem, położył dłoń na rękojeści szabli, a drugą zacisnął w przypominającą młot pięść. Jego śniada twarz była purpurowa, nie wiadomo, czy od biegu po schodach, czy gniewu wywołanego wtargnięciem straży miejskiej.

— Co to ma znaczyć, Salvorus? Zapłaciliśmy haracz, żeby straż się nas nie czeptała. Jako kapitan powinienś to wiedzieć, a nie narażać się na gniew swojego przełożonego.

— Jeżeli nawet dałeś łapówkę generałowi, on nie wspominał mi o tym ani słowem, Immanus. W każdym razie ja nie jestem ci nic winien. Pocziesz się, że nie obchodzi mnie rynsztok, który przez omyłkę nazywasz oboznią, ani poniewierające się tu ścierwo. Przybyłem z rozkazu samego króla. Szukam pewnego człowieka. Odsuń się, chyba nie jesteś taki głupi, by sądzić, że dasz radę mnie i całemu patrolowi? No?!

Immanus warknął z wściekłością, rozwarł pięść i dźgnął palcem w kolczugę Salvorusa.

— Śmiesz mnie obrażać?! „Pod Łękiem” jest daleko od pałacu króla, a w tej dzielnicy łatwo o wypadek. Wyjdźcie natychmiast, albo, na Isztar, jedyna służba królowi, do jakiej zaraz będziecie zdolni, to tuczenie kanałowych szczurów własnymi trupami!

Twarz Salvorusa stwardniała. Zaskakująco szybko wyrzucił przed siebie lewą rękę, zacisnął dłoń na gardle Immanusa i pchnął go na ścianę. Dławiąc się, gospodarz odepchnął oburącz oficera od siebie i błyskawicznie wyciągnął szablę. Jej zakrzywione ostrze zabłysło złowieszczo. Zapadła cisza. Przerwali ją gracze przy stole, którzy szeptem zaczęli obstawiać zakłady, co do końca pojedynku dwóch olbrzymów.

Salvorus cofnął się o krok i uderzył mieczem w broń przeciwnika. Posypały się błękitne skry. Immanus sparował uderzenie i wyprowadził pchnięcie, lecz ciężkie ostrze ześlizgnęło się po kolczudze kapitana. Zanim Immanus zdążył się zasłonić, Salvorus doskoczył i ciął w dół. Szabla

upadła na podłogę wraz z paroma odciętymi palcami gospodarza. Salvorus wyprowadził z półobrotu cios lewą pięścią wprost w brodę Immanusa. Krzyk bólu oberżysty zagłuszył okropny chrzęst łamanej szczęki. Oberżysta osunął się na podłogę, zaciskając lewą dłoń na krwawiących kikutach palców. Oniemiali gracze nie mogli oderwać wzroku od jatki sprawionej przez Salvorusa, lecz przegrane w zakładach pieniądze natychmiast trafiły do rąk nowych właścicieli. Conan przyglądał się starciu ze zwężonymi powiekami. Pierwsze wrażenie nie myliło go: kapitan nie był utytułowanym fircykiem, lecz doświadczonym szermierzem. Ponieważ Cymmerianin nie zrobił nic złego, nie wierzył, by straż zjawiała się tu po niego. Zabłyśło mu, że być może to szubrawiec, Hassem, ściągnął na siebie gniew króla. Conan przeniósł wzrok na graczy przy stole i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że Zamorańczyk zniknął. Otarłszy czubek miecza o pantalony powalonego przeciwnika, Salvorus pewnie ruszył do stołu, przy którym siedział Conan. Barbarzyńca wsparł łokieć na stole, lecz prawą dłoń wciąż trzymał na rękojeści pałasza.

— Ty jesteś Conan z Cymmerii? — zapytał kapitan tonem świadczącym, że z góry zna odpowiedź.

— Czego ode mnie chcecie? Nic nie zrobiłem.

— Masz udać się ze mną do pałacu, gdzie czeka cię przesłuchanie. Jeżeli nic nie zrobiłeś, jak powiadasz, będziesz zwolniony.

— Za co jestem poszukiwany? Jestem zwykłym wędrowcem, przybyłem do Pirogii niecały tydzień temu. Jestem tutaj tylko przejazdem. Zostawcie mnie w spokoju.

— Moja cierpliwość się wyczerpała, Cymmerianinie. Jeżeli nie pójdziesz z nami po dobroci, weźmiemy cię siłą. Widziałeś, co spotkało Immanusa. Nie chcę wyrządzić ci krzywdy, jedynie doprowadzić na przesłuchanie.

Conan zaczynał tracić opanowanie. W swojej ojczyźnie zabiłby człowieka rzucającego bezpodstawne oskarżenia, lecz zdążył nauczyć się, że obyczaje cywilizowanych ludzi są zupełnie odmienne. Ponadto nie miał ochoty gnić miesiącami czy latami w jakimś cuchnącym, brythuńskim lochu.

— Powiedz mi, o co jestem oskarżony, a zdecyduję, iść z tobą czy nie.

— Męczy mnie ta zabawa, psie! Masz za pazuchą zawiniątko z kradzioną bransoletą. Należała do córki króla, którą zamordowałeś zeszłej nocy. Co z ciebie za diabeł, barbarzyńska hieno, że porąbałeś jej ciało na kawałki? Gdyby mi pozwolono, wymierzyłbym ci sprawiedliwość tu i teraz!

Conan spojrzał wstrząśnięty. Powinien był zorientować się, że Hassem zażądał o wiele za niskiej ceny. Bezczelny zamorański pomiot wydał go strażnikom, być może dla nagrody, w tej chwili motywy Hassema nie miały znaczenia.

Conan pojął, że nikt nie uwierzy słowu wędrownego barbarzyńcy. Musiał obezwładnić kapitana i uciekać z miasta.

Korzystając z zaskoczenia Conana, Salvorus chwycił jego prawy nadgarstek w kleszczowy uścisk wielkiej dłoni. Cymmerianin spróbował wyrwać się z gniewnym pomrukiem, lecz siła kapitana była tak wielka, że kość w nadgarstku pękła z przejmującym trzaskiem.

Rozwścieczony Conan złapał w lewą rękę pusty dzban po winie i rąbnął nim Salvorusa po głowie. Ciężkie naczynie trafiło kapitana prosto w twarz, łamiąc mu nos. Z obydwóch nozdrzy trysnęły fontanny krwi. Oficer rozluźnił uścisk na nadgarstku barbarzyńcy, który ponownie zamachnął się dzbanem jak maczugą. Tym razem trafił Salvorusa w skroń. Odłamki gliny posypały się na podłogę, a ze szpetnego rozcięcia na głowie kapitana pociekła struga krwi.

Na zbroczonej twarzy Salvorusa odmalowała się ślepa furia. Rycząc przekleństwa, kapitan potrząsnął głową i ze śmiercionośną wprawą zadał cięcie w szyję Cymmerianina. Conan zdołał uchylić się przed ostrzem, staczając się z ławy. Wyszarpnął pałasz lewą ręką, sparował kolejne cięcie Salvorusa, zerwał się z podłogi i rąbnął z całych sił w odstoniętą głowę oficera. Z powodu otrzymanych ciosów zastawa Salvorusa była odrobinę spóźniona. Klinga Conana trafiła go płazem w skroń i nieprzytomny kapitan runął jak wór piasku na podłogę.

Conan przeskoczył przez niego i pognał w stronę schodów. Przerażeni widokiem pędzącego na nich olbrzyma strażnicy pierzchli mu z drogi. Cymmerianin dodał im impetu paroma kopniakami i zbiegł po schodach po parę stopni naraz. Drzwi oberży były wyważone z zawiasów, bez wątpienia przez patrol Salvorusa. Barbarzyńca przebiegł między zaskoczonymi biesiadnikami i wypadł w zaułek. Przed wejściem o mało nie zderzył się z Yvaną. Rozjaśniający wąską uliczkę blask księżyca podkreślał szczupłą figurę i pełne piersi dziewczyny. Kaskady złocistych za dnia włosów spadały na jej smukłe ramiona. Miała na sobie skąpą, jedwabną tunikę, a przy boku na cienkim pasku nosiła pochwę ze sztyletem; jeszcze jeden widać było wetknięty w cholewę buta.

— Na Croma! Gdzie się podziewałaś, dziewczyno?! Czekałem na ciebie całymi godzinami!

Moore Sean U - Conan niezłomny

Oczy Yvanny rozszerzyły się na widok grymasu na twarzy Cymmerianina. Teraz spostrzegła, że jego prawa dłoń jest nienaturalnie wykręcona i pokrywa ją narastająca, sina opuchlizna.

— Conanie, co ci się stało w rękę?! Z kim się biłeś??

— Złamałem nadgarstek podczas szarpaniny z głupim kapitanem, oskarżającym mnie o czyn, z którym nie miałem nic wspólnego. Chciałem mu wytłumaczyć, że to Hassem zamordował królową i zrabował jej klejnoty, lecz Salvorus, ten kapitan, nie chciał słuchać i próbował wziąć mnie siłą. Muszę natychmiast wydostać się z miasta. Niedługo cała straż miejska będzie mnie tropiła jak sfora ogarów!

— Ale... twoja ręka! Jak w takim stanie chcesz uciekać? Ukryję cię, póki się nie zagoi, a do tej pory straż straci początkowy zapał. Znam miejsce, do którego strażnicy nigdy nie dotrą. Sprowadzę też uzdrowiciela, żeby wyleczył to złamanie.

— Nic z tego — Conan potrząsnął głową. — Zbyt rzucam się w oczy. Cymmerian rzadko widuje się w tym mieście. Żadne przebranie nie ukryje mojego wzrostu. Muszę znaleźć tego gada Hassema, wydusić z niego prawdę i oddać go strażom, inaczej nie dadzą mi spokoju. Odpłacę Hassemowi za to, co zrobił! — uniósł złamaną rękę, po czym ochłonął. Rozejrzawszy się po zaułku, zdarł wyświechtany płaszcz ze śpiącego opodał żebraka i narzucił sobie okrycie na ramiona, nie zważając na bijący od niego odór starych wymiocin. — To na razie wystarczy. Wyjdziemy z zaułka razem, jak para kochanków, szukających miejsca dla siebie. Yvanna zmarszczyła nos.

— Przynajmniej nikt nie będzie chciał się do ciebie zbliżyć — powiedziała ponuro.

Conan otoczył ją ramieniem. Ruszyli szybkim krokiem ku wylotowi zaułka, a stamtąd bocznymi uliczkami w stronę zachodniego muru Pirogii, w pobliżu którego mieszkała Yvanna. Po drodze Conan rozmyślał nad sytuacją, w jakiej się znalazł. Nie wyglądało to dobrze, ale nie zwykł litować się nad sobą. Poza tym dobry los najwyraźniej nie porzucił go doszczętnie. W drodze do mieszkania Yvanny ani razu nie natknęli się na strażników.

Dziewczyna mieszkała w dużym budynku z suszonych na słońcu cegieł i prymitywnym, lecz solidnym dachu ze smołowanego drewna. W domu tym mieszkało kilka rodzin. Dziewczyna upewniła się, że wejście jest wolne, po czym dała znak Cymmerianinowi. Niepostrzeżenie wśliznęli się do wnętrza. Mieszkanie Yvanny składało się z dwóch małych pokojów, zastawionych prostymi meblami. Dziewczyna utrzymywała je w czystości i porządku. Tańcząc w zajeździe „Pod Złotym Lwem”, zdołała zapewnić sobie przyzwoity poziom życia. Parę dni temu, gdy w zajeździe pojawił się Conan, natychmiast go zauważyła. Różnił się od większości mężczyzn, których znała. Był młodszy, lecz bardzo poważny i pod pewnymi względami naiwny. Obserwował ją w skupieniu, bez śmiechów i dowcipkowania, tak jak wielu innych.

Później przysiadła się do milczącego olbrzyma, pragnąc dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Nim noc dobiegła kresu, znaleźli się w mieszkaniu dziewczyny. Wciąż podziwiała jego zwierzęcą witalność i namiętność. Żaden mężczyzna nie zadowolił jej dotąd tak, jak ten niezwykle Cymmerianin.

Podczas gdy dziewczyna opatrywała jego rany, Cymmerianin opowiadał o wydarzeniach tego wieczora. Yvanna uporowała się z drobnymi skaleczeniami i zmartwiona zaczęła przyglądać się opuchniętemu nadgarstkowi. Bez pomocy uzdrowiciela Conan mógł stracić na zawsze możliwość posługiwania się prawą ręką. Dziewczynę ogarnęło zdumienie, gdy zobaczyła, jak obojętnie barbarzyńca znosi okropny ból. Podczas jej oględzin nawet się nie skrzywił.

Gdy Conan skończył swoją opowieść, pogrążył się w milczącej zadumie. Potem sięgnął po broń i rzucił się na zasłane grubymi futrami łóżko. Zapadł w płytką drzemkę, nie spuszczał dłoni z rękojeści.

Dziewczyna doskonale wiedziała, jak czujny jest sen Cymmerianina. Poruszając się z gracją tancerki, wyśliznęła się po cichu z mieszkania i wyruszyła na poszukiwanie uzdrowiciela.

2. BRYTHUŃSKA KREW

— Idiota!

Kapitan Salvorus stał przed czerwonym z gniewu generałem Valtreską. Przełożony kapitana był niewiele niższy od swojego podwładnego, lecz o wiele szczuplejszej budowy. Brodę, wąsy i rzędniejące, jasne włosy Valtreski przetykały pasma siwizny. Aczkolwiek siwizna sprawiała, iż wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat z okładem, na jego twarzy malowało się mało znamion tak słusznego wieku. Generał miał na sobie doskonale dopasowany stalowy napierśnik, pokryty zawiłymi żłobieniami. Z ramion spływała mu sięgająca goleni peleryna z ciemnoczerwonej wełny. Dłonie i nadgarstki okrywały kunsztownie wykonane rękawice ze stalowych ogniw. Przy pasie zwisał długi, wąski miecz z artystycznie zdobioną rękojeścią. Pochwę pokrywały mistrzowsko położone srebrne i złote płatki.

Generał wywierał władcze wrażenie, z czego dobrze zdawał sobie sprawę. Jego postawa i zachowanie było jednocześnie szorstkie, lekceważące i pompatyczne.

W tej chwili Salvorus prezentował się o wiele gorzej od swojego zwierzchnika.

Pokiereszowaną twarz oficera pokrywały olbrzymie sińce i zadrapania. W nie opatrzonej ranie na skroni połyskiwała świeża krew. Kapitan straży stał na baczność, w milczeniu przyjmując wyzwiska. Jednak spływający na brwi pot przeczył jego kamiennej minie. Salvorus był wyraźnie przestraszony. Valtreska kontynuował swoją tyradę z tak wielkim gniewem, że żyły wystąpiły mu na skroniach:

— Twoja głupota sprawiła, że straż stała się pośmiewiskiem całego miasta! Miałeś dzikusa w rękach i pozwoliłeś mu się wymknąć. Gdybyś użył mózgu zamiast mięśni, oprawca ukochanej córki Eldrana siedziałby teraz w kajdanach i słuchał, jak kat ostrzy obcęgi! Zamiast tego wracasz z pustymi rękami i żalnymi wymówkami. Miałeś ze sobą sześciu ludzi. Jestem pewny, że nawet najpotężniejszy barbarzyńca nie zdołałby oprzeć się wam w pojedynkę, zwłaszcza że, jak twierdzisz, złamałeś mu nadgarstek. Tego już za wiele! Jak posługujący się tylko jedną ręką dzikus mógł uciec szóstce doborowych gwardzistów, prowadzonych przez Salvorusa, bohatera wojen pogranicznych!

— Generale, z całym szacunkiem muszę stwierdzić, że moich ludzi trudno nazwać doborowymi. — Salvorus zdobył się na odwagę i spróbował przeciwstawić zwierzchnikowi. — Świadkowie twierdzą, że te tchórzliwe matoly mało nie zadeptały się nawzajem, by umknąć z drogi temu barbarzyńcy. Widywałem już ryszokowe szczury obdarzone większą odwagą od miejskich strażników. Ci ludzie potrafią położyć kres ulicznej bijatyce i rozwalić tby paru pijaczkom, lecz nie mają dość męstwa, ani umiejętności, by stawić czoła poważniejszym przeciwnikom. Gdybym miał ze sobą paru swoich chłopaków zaprawionych w walkach na nemediańskiej granicy, zareczam, że w lochach znalazłby się dzisiaj nowy mieszkaniec. Na Mitrę, jeszcze nigdy nie widziałem kogoś równie szybkiego i silnego! Dziewka służebna twierdzi, że barbarzyńca wypił dwa dzbany wina...

— Szkoda, że nie przyszło ci to do głowy, nim zabrałeś się do roboty — przerwał mu Valtreska. — Wierzę, że nie powtórzysz tej pomyłki, Salvorusie. Byłem dobrym przyjacielem twojego ojca, niech Mitra ma w opiece jego duszę. Kiedy doszły mnie wieści o twoich wyczynach na pograniczu, mianowałem cię na poważne stanowisko i przeniósłem do stolicy. Zdołałeś zawiść mnie, nim minął miesiąc od twojego awansu. Przez pamięć dla twojego ojca dam ci jeszcze jedną szansę: musisz znaleźć barbarzyńcę. Możemy być pewni, że jest winny. Jego reakcja na przedstawione przez ciebie zarzuty nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Idź i sprowadź go żywego lub umarłego. Poślij po swoich towarzyszy z pogranicza, jeżeli to ci pomoże. Użyj wszelkich niezbędnych środków!

— Tak jest, panie!

Salvorus zasalutował, obrócił się na pięcie i natychmiast wyszedł z komnaty. Musiał przyznać, że potwierdziła się prawdziwość rozpowszechnionego powiedzenia, że język Valtreski jest ostrzejszą bronią od jego miecza.

Idąc kamiennym korytarzem pałacu, kapitan zastanawiał się nad wydarzeniami ostatnich tygodni. Zaledwie miesiąc temu z powodzeniem udaremnił próbę najazdu nemediańskiego barona, który rościł sobie prawo do znacznej połaci brythuńskiej ziemi w rozwidleniu Rzeki Żółtej. W owym czasie Salvorus był zwykłym porucznikiem. Jego przełożony zginął podczas pierwszej bitwy z Nemediańczykami, pozostawiając Salvarusowi dowodzenie nad liczącym pięciuset ludzi oddziałem. Mimo trzykrotnej przewagi przeciwnika, Salvorus utrzymał przez ponad tydzień brzegi rzeki, aż do przybycia posiłków. Z jego ręki zginęło ponad czterdziestu Nemediańczyków, sam kilkakrotnie został lekko ranny. Gdy król Nemedii zaprzeczył, by w jakikolwiek sposób popierał oburzające żądania swojego wasala i wysłał do Pirogii posła z przeprosinami, broniący granicy porucznik został okrzyknięty bohaterem. Sam Eldran wydal ucztę na jego cześć.

Kiedy Valtreska zaproponował mu szaczone stanowisko dowódcy straży miejskiej Pirogii, Salvorus zgodził się natychmiast. Obecnie zaczynał żałować pochopnej decyzji. Służba w stolicy wymagała zupełnie innych umiejętności niż obrona granicy. Miejskie „bitwy” wymagały taktyki zupełnie innej od tej, do której był przyzwyczajony. Co prawda ryzyko było nieco mniejsze, a nagrody większe, lecz do tej roboty bardziej nadawałby się ktoś o większym doświadczeniu w polityce, a mniejszym w żołnierskim rzemiośle.

Salvorus nie zamierzał jednak poddać się przy pierwszych trudnościach. Valtreska rozpoczął karierę w tym samym pogranicznym garnizonie i z pewnością stawiał czoło podobnym trudnościom. Salvorus chciał dowiedzieć, że on również potrafi im sprostać. Wierzył, że pewnego dnia zastąpi Valtreskę na stanowisku wodza brythuńskiej armii.

Kapitan uznał, że jego rany jak na razie nie wymagają pomocy medyka. Rozesłał tyle patroli,

ile to było możliwe, by strzegły wszelkich bram, umożliwiających opuszczenie Pirogii. Nakazał podlegającym mu porucznikom zebrać się za godzinę na odprawę w wartowni. Obmyślił już plan mający na celu schwytanie Cymmerianina i nie zamierzał spocząć, dopóki nie zacznie go realizować. Była tylko jedna sprawa, której dotąd nie przemyślał; jeszcze nikt nie pokonał go w bezpośredniej walce! Pocierając ostrożnie grzbiet złamanego nosa pełnego zaschniętej krwi, Salvorus stwierdził, że ów Conan okazał się jego najbardziej wymagającym przeciwnikiem. Valtreska zaczął krążyć z pochyloną głową po opuszczonej przez Salvorusa komnacie. Od czasu do czasu przegarniał starannie ufryzowaną brodę. W końcu stanął, wyprostował się i podszedł do polerowanego dębowego stolika w kącie komnaty. Na blacie leżał niewielki gong. Generał uderzył weń drewnianym młotkiem. Po chwili w odpowiedzi rozległo się ciche stukanie do drzwi.

— Wejść! — powiedział niecierpliwie Valtreska. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Do środka wkroczył bladokóry mężczyzna w szatach z niebieskiego jedwabiu. Skłonił się i zamknął drzwi za sobą. Valtreska zwrócił się do niego zniżonym głosem:

— Możemy mieć kłopot, Lamici. Wydałem ci ścisłe polecenia, w jaki sposób masz pozbyć się ciała. W jaki sposób klejnoty królowy trafiły do rąk barbarzyńcy z Północy?

— Zapewniam cię, generale, że zajmę się tą sprawą, zachowując najwyższą ostrożność i tajemnicę — odpowiedział eunuch miękko, śpiewnym głosem. — Chyba nie podejrzewasz mnie o obrabowanie nieboszczki?

— Nie, ale ktoś to zrobił. Królowna otrzymała naszyjnik i bransolety jeszcze jako dziecko. Kiedy podrosła, stały się za ciasne i nie dawały się zdjąć, taki jest kazahiański zwyczaj. By je zabrać, złodziej musiał odciąć trupowi głowę i ręce. Nic dziwnego, że ciało znaleziono w tak strasznym stanie! Gdybym był wczoraj w mieście, mógłbym nie dopuścić do tego, by cała straż została postawiona na nogi. Teraz, gdy król dowiedział się o wszystkim, wyznaczono nagrodę za odnalezienie lub schwytanie winnego.

— Powiadomiłem cię natychmiast, kiedy dowiedziałem się, że straż odnalazła ciało.

— Nie dość szybko! — warknął Valtreska i zaklął. — Na szczęście naiwny Salvorus wierzy, że to Cymmerianin zamordował królownę. Tylko jedna osoba oprócz nas wie, że to nieprawda. Salvorus twierdzi, że Zamorańczyk imieniem Hassem doniósł mu, gdzie i w czyich rękach znajduje się bransoleta. Nasz wierny kapitan pogonił po nią jak pies po kij rzucony przez swojego pana. Gdybyż tylko zabił Cymmerianina!

— Ach, generale, słyszałem o tym Hassemie. To rysztokowy szczur bez krzty sumienia. Chociaż tacy łotrowie są czasami użyteczni, nie można im ufać. Czy odebrał już nagrodę za wskazanie zbrodniarza? O ile sobie przypominam, za wiadomość o miejscu jego pobytu wyznaczono dwieście złotych koron. Hassem na pewno pali się do tego złota. Być może powinieneś nakazać Salvorusowi przyprowadzenie go, byś mógł mu je osobiście wypłacić?

— Oczywiście! Zostaw to mnie, eunuchu. Hassem zgarnie o wiele większą nagrodę, niż się spodziewa. Ciekaw jestem, czy ma jeszcze jakieś dowody winy Cymmerianina.

— Hm... Założę się, że wie o wiele więcej, niż powiedział kapitanowi. Być może wyjawi ci to przy właściwej zachęcie.

Na twarzy Valtreski pojawił się złowieszczy wyraz. Jego oczy zabłyśły niczym zimne, bezduszne szafiry. Uśmiechnął się okrutnie i zacisnął pięść w stalowej rękawicy.

— Powie mi wszystko, co wie. Odejdź teraz. Miej oczy i uszy otwarte, żeby nie przegapić, co się dzieje. Muszę wiedzieć o wszystkim, co dochodzi do króla — zniżył głos niemal do szeptu.

— Czy Azora wie o tym?

— Nie mówiłem jej o tym osobiście — eunuch wbił wzrok w podłogę. — Nie rozmawiałem z nią od... rytuału dwie noce temu. Wiesz przecież, generale, że Azora w niepojęty sposób dowiaduje się o wielu rzeczach, o których jej nie mówiono. Gdyby ją coś zaniepokoiło, na pewno by mnie wezwała.

— Musimy zadbać, by nie musiała cię wzywać w tej sprawie. Nie boję się żadnego śmiertelnika, ale wolałbym, żeby nie użyła przeciwko mnie swoich czarów. Zajmę się Hassemem i powiadomię cię później, z jakim skutkiem.

Lamici skłonił się ponownie i wyszedł równie cicho, jak wszedł. Mimo obojętnej miny, w głowie eunucha kłębiły się niespokojne myśli. Wolał nie zastanawiać się, jaki los czeka go, jeżeli ktoś odkryje jego udział w śmierci królowy. Był wytracony z równowagi faktem odnalezienia ciała i zachodził w głowę, jak mogło do tego dojść. Chociaż istotnie nie obrabował zwłok, miał pewność, że Valtreska go o to podejrzewa.

Przez ponad dwadzieścia lat eunuch służył ostatniemu królowi z poprzedniej dynastii. W odróżnieniu od obecnego monarchy, w żyłach panującego wówczas Khullana płynęła prawdziwa brythuńska krew. Lamici gardził Eldranem, którego przodkami byli nie tylko Brythuńscy, lecz także Kezankiańscy a nawet Hyperborejczycy. Mieszkańców gór Lamici uważał za motłoch,

mający wyłącznie paść koźły i uprawiać ziemię. Wciąż przeklinał dzień, w którym przed ponad rokiem niegodny wieśniak został obrany królem. Co prawda Eldran dobrze się spisał jako wódz, lecz nie pochodził z królewskiego rodu. Sprawdziły się najgorsze obawy Lamici dotyczące nowego władcy: Eldran wolał pertraktować i handlować z sąsiednimi królestwami, jakby brythuńskie ziemie i poddani stanowili towar na targowisku. Brak mu było hardości, by narzucać wrogom swą wolę, okazał się słabeuszem kryjącym się za traktatami wartymi tyle, co pergamin, na którym je napisano.

Tylko silny potomek szlachtetnego rodu mógł zjednoczyć lud Brythunii i przywrócić należny tronowi majestat. Za czasów młodości Lamicięgo stara służąca wielokrotnie opowiadała mu o bogactwach i potędze, która uczyniła jej ojczyznę powszechnie respektowanym królestwem. Lamici był dumny, iż został wybrany nadwornym eunuchem. Ofiara z własnej męskości była niczym w porównaniu z honorem służenia panującemu domowi.

Przez lata przyglądał się z boku, jak tron Brythunii powoli, lecz stale traci znaczenie.

Oslabienie władzy sprawiło, iż królestwu groził rozpad na zwaśnione ze sobą prowincje. Od kilku pokoleń dumny niegdyś naród zamieniał się w zbiorowisko barbarzyńców. Najazdy sąsiadujących państw były na porządku dziennym. Władcy ościennych królestw traktowali obecną dynastię jako pośmiewisko, zaś Eldran był dla nich „królem osłów”. Słowa te głęboko utkwily w sercu Lamicięgo. Eunuch gorąco pragnął, by wzdurliwi monarchowie gorzko ich pożałowali.

Lamici liczył, że człowiekiem, który to sprawi, będzie Valtreska. Wojowniczy generał nie tolerował „przypadkowych” wypadków przez brythuńską granicę, podejmowanych coraz częściej przez ościennie królestwa. Valtreska chciał zebrać armię i ruszyć na zachód, poza rzekę Żółtą i na południe, w głąb Koryntii. Gdyby został królem, rozpoczęłaby się nowa era Cesarstwa Brythuńskie — go, które być może sięgnęłoby w końcu aż po Zachodni Ocean. Serce Lamicięgo upajało się tą wizją; już widział brythuńskie sztandary powiewające nad dumnymi miastami Zachodu.

Eunuch przez wiele miesięcy rozmyślał, jak pozbyć się uzurpatora Eldrana. Króla strzegła dzień i noc ślepo mu wierna, kezankiańska gwardia. Byli tak oddani swemu panu, że uważali za zaszczyt oddanie za niego życia. Czujności górali dorównywała ostrość ich mieczy.

Szansę na pozbycie się Eldrana spadły po tym, jak pewien żądny władzy baron z południowo — wschodniej prowincji Brythunii wynajął niedawno truciciela, by zgładził króla. Niestety, plan magnata nie powiódł się. Rozwścieczeni Kezankiańczycy spalili go żywcem we własnym zamku. Po obudzeniu podejrzliwości Eldrana nie można było liczyć na powodzenie nawet najzręczniejszego zabójcy, a Lamici nie mógł pozwolić sobie na popełnienie błędu. Gdyby król dowiedział się o jego zdradzie, katowski topór położyłby kres wizjom eunucha. Lamici modlił się o pomoc do wszystkich bogów.

Trzy tygodnie temu jego modły zostały wysłuchane. Późnym wieczorem, gdy robił w mieście zakupy dla pałacu, podeszła do niego niezwykła młoda kobieta, która nie wiadomo skąd znała jego imię. Wynurzyła się z bocznej uliczki i przedstawiła jako Azora. Miała na głowie ocieniający twarz kaptur. W pierwszej chwili Lamici zauważył wyłącznie jej oczy, które gorzały w mroku ciemnoczerwonym blaskiem jak oświetlone pochodnią rubiny. Gdy spojrzął na nią ponownie, jej oczy miały zwykłą brązową barwę. Azora powiedziała mu, skąd przybywa, lecz on tego nie zapamiętał. Spotkanie z nią przypominało sen, po którym zostały tylko szczątkowe wspomnienia.

Z powodów, których Lamici również nie mógł sobie przypomnieć, kobieta zabrała go do opustoszałej, starej dzielnicy, w której eunuch nigdy wcześniej nie był. Stożące tam wiekowe gmachy były znacznie starsze niż miasto, które wybudowano dookoła nich. Azora doprowadziła eunucha do starego, rozpadającego się gmachu. Lamici mimo lęku podążał za nią.

Surowa, pozbawiona ozdób budowla przypominała świątynię. Na dźwięk głosu Azory wielki kamienny blok w jej głębi przesunął się w bok, ukazując kręte, prowadzące w dół schody. Potem był korytarz wysłany puszystym dywanem o barwie zakrzepłej krwi. Na ścianach osadzone były osobliwe pochodnie, pałace się nie wydzielającym dymu zielonym ogniem. Lamici dotarł za Azora do dwukrotnie wyższych od niego dwuskrzydłowych drzwi z brązu. Na rozkaz kobiety zamek i drzwi otworzyły się, jakby pchnięte niewidzialną dłonią.

Z wnętrza buchnęła fala zatęchłego powietrza. Odór śmierci i rozkładu sprawił, że eunuch o mało nie dostał torsji. Zaprzagnął uciec, lecz zamiast tego potulnie wszedł w mrok. Kobieta zapaliła dziesięć świec, starannie rozstawiając je wokół jakiegoś wielkiego bloku na środku sali. Kiedy oczy Lamicięgo przywykły do światła, zobaczył, że blok ten jest ołtarzem, a trupia woń bucha właśnie od niego. W tym momencie Azora odwróciła się w stronę dworzanina.

— Wiem, kim jesteś i czego chcesz, eunuchu — powiedziała wyniosłym głosem odbijającym się niesamowitym echem w tajemnej sali. — Tego rodzaju wiedza to dar kapłanek Mutare.

Przyprowadziłam cię tutaj dlatego, że możesz przynieść mi coś, na czym mi zależy. W zamian wspomogę cię moją mocą w dziele obalenia króla i umieszczenia na tronie tego, kogo wybierzesz na jego miejsce.

— Masz taką moc, pani? — zapytał Lamici i natychmiast pożałował, że w to wątpił. — Czego ode mnie chcesz?

— Król ufa ci. Możesz swobodnie poruszać się po pałacu. Co więcej, powierzył ci edukację swojej córki. Dam ci balsam, który po wtarciu w skórę człowieka sprowadza na niego sen. Wystarczy, że nabierzesz balsamu na dłoni i dotkniesz nią królowny. Kiedy zaśnie, dostarczysz ją tutaj.

— A jeżeli zostanę zauważony? Skoro masz tak wielką moc, dlaczego sama nie...

— Zajmę się tym? — dopowiedziała Azora. — Nie mogę skryć przed kobietą mojego prawdziwego oblicza. Bycie kapłanką Mutare pociąga za sobą pewne ograniczenia.

— Prawdziwe oblicze? Jakie... — Lamici zaniemówił, gdy kapłanka ściągnęła kaptur i zdjęła rękawiczki. Gdy uśmiechnęła się do niego, obnażając dwa rzędy czarnych jak sadza zębów, jęknął z przerażenia. Spozregł też, że pierwsze wrażenie nie myliło go: oczy kapłanki istotnie rozgorzały czerwonym blaskiem jak wyjęte z paleniska w kuźni sztaby żelaza. Czarne jak smoła paznokcie Azory ostro kontrastowały z białą jak śnieg skórą dłoni.

Lamici ponownie zadygotał na to wspomnienie.

— Widzisz, kim jestem, eunuchu — powiedziała mu Azora. — Nie mogę pokazywać się ludziom. Kapłani Mitry są odwiecznymi wrogami Mutare. Nie mam ochoty pozwolić, by wtrącali się w moje sprawy. Nie obchodzi mnie, co dzieje się w tym kraju i nie dbam, kto przewodzi ludzkiemu stadu. Interesują mnie zupełnie inne rzeczy, wykraczające daleko poza ludzkie rozumienie. Chcę od ciebie jedynie, byś dostarczył mi tę dziewczynę zdrową i nienaruszoną. Długo czekałam na dziewicę o białej skórze i złotych włosach, zrodzoną w tym mieście królewską córkę. Tak zostało zapisane. Jeżeli wypełnisz moje polecenie, nie zostaniesz wykryty i nikt nie będzie cię o nic podejrzewać. Sprowadź ją tutaj. Gdy z nią skończę, będziesz mógł pozbyć się jej ciała, jak uznasz za stosowne. Kiedy dostarczysz królownę, sprawię, że król umrze wskutek wyniszczającej choroby. Jego własne ciało stanie się jego wrogiem. Nie potrzebujesz nic więcej. Nie będzie go można wyleczyć, nie pomogą mu modły stetryczających, śliniących się kapłanów Mitry, przywołujących w swojej głupocie słabego i obojętnego boga. Eldran umrze, a lud okrzyknie królem tego, kto zasiądzie po nim na tronie.

Wyjawiwszy Lamiciemu swoje plany, kapłanka wręczyła mu dwa klucze. Jeden uruchamiał mechanizm otwierający kamienną płytę w głębi świątyni, drugi pasował do zamka w wielkich spiżowych drzwiach sali ofiarnej. Eunuch otrzymał również słoiczek z balsamem.

Było bardzo późno, gdy opuścił świątynię i z okropnym bólem głowy wrócił do pałacu.

Następnego ranka po przebudzeniu był przekonany, że wyśnił sobie to wszystko, lecz klucze i słoiczek stanowiły nieme świadectwo, że kapłanka istniała naprawdę.

Lamici wiernie wypełnił swoją część umowy. Teraz nadszedł czas, by Azora spełniła to, co przyrzekła. Eunuch wyrzwał przez okno pałacu na oblicze wstającego nad górami słońca. Coraz cieplejsze promienie przebijały się przez rzadkie, kłębiaste obłoki. Tak, pomyślał Lamici, moje stare oczy stały się wreszcie świadkami świtania nowej ery, w której Brythunia odzyska dawną moc i chwałę. Uśmiechając się do swoich myśli, ruszył prowadzącym do komnat Eldrana korytarzem. Być może król nie czuł się dobrze tego ranka.

3. ŁOWCA I UZDROWICIEL

Conana obudził nagły odgłos zamykających się drzwi. Spał przez kilka godzin, lecz natychmiast odzyskał ostrość zmysłów. Odruchowo chwycił rękojeść pałasza, gotów stawić czoło kłopotom. Skrzywił się lekko, gdy spróbował posłużyć się prawą dłonią. Miał sztywne palce, a w przedramieniu pulsował tępy, nie ustający ból. Bolała go również głowa, lecz tylko za sprawą osuszonych poprzedniego wieczora dzbanów wina. Usta miał wyschnięte jak zamorańska pustynia.

Odpnął się, gdy zobaczył, że drzwi otworzyła Yvanna wracająca z uzdrowicielem.

Mężczyzna miał na sobie strój kapłana Mitry, lecz był młodszy od większości spotkanych przez Conana przedstawicieli stanu duchownego. Szaty przybysza były połatane lecz czyste, a stopy obute w wielokrotnie naprawiane ciężkie sandały. Poważną twarz o jasnej karnacji okalały długie, rude włosy. Usta kryły się pod gęstymi wąsami i brodą. Mężczyzna dzierżył w prawej dłoni okuty żelazem kostur. Na lewym ramieniu miał zawieszoną znoszoną skórzaną sakwę, zaś jego szata była przepasana grubym sznurem. Nie miał broni, a przynajmniej nie nosił jej na widoku.

Conan wstał powoli z rozścielonych futer i podszedł do sporej urny z wodą w kącie pokoju.

Oparł broń o ścianę, uniósł urnę jedną dłonią i zaczerpnął głęboki łyk. Odstawiwszy naczynie, wytarł usta.

— Conanie, to Madesus, uzdrowiciel, o którym mówiłam ci zeszłej nocy — rzekła Yvanna stroskanym tonem. — Można mu zaufać, nie zdradzi twojej kryjówki.

Cymmerianin obrzucił przybysza podejrzliwym spojrzeniem.

— Jesteś kapłanem, Madesusie? — zapytał, wskazując jego szaty.

— Trzy lata temu służyłem w świątyni Mitry w Koryntii. Teraz jestem po prostu Madesus uzdrowiciel. Noszę ten strój z wyboru, mam zresztą do niego prawo i wciąż jestem wiernym wyznawcą Pana Światła — przybysz zmienił nagle temat, jak gdyby chciał uniknąć dalszych wyjaśnień: — Masz paskudnie złamany nadgarstek. Pozwól, że się nim zajmę i ruszę w swoją drogę. Yvanna ma rację: nie wyjawię nikomu, że jesteś tutaj. Jako uzdrowiciel leczę chorych, a nie wypytuję ich ani zdradzam.

Madesus otworzył sakwę i zaczął wyjmować z niej rozmaite fiołki i garnuszki, rozstawiając je obok siebie na stole. Poprosił Yvannę, by przyniosła wody, rozstawił kilka świec i pozapalał je. Conan zmarszczył brwi, lecz milczał. Jeżeli uzdrowiciel kłamał, było za późno, by temu zaradzić. Wyleczony czy nie, Cymmerianin zamierzał odnaleźć Hassema i policzyć się z dwulicowym szubrawcem za jego zdradę. Przysiągł sobie, że Zamorańczyk będzie wkrótce handlować kradzionymi dobrami w piekle.

Barbarzyńca patrzył, jak Madesus miesza obrzydliwie wyglądającą ciecz i zmarszczył nos pod wpływem jej wstrętnego odoru.

— Wyciągnij przed siebie rękę dłonią do góry, proszę — Madesus nałożył balsam na spuchniętą, zasinią skórę, ujął nadgarstek Conana w dłoń i zamknął oczy. — Święty Ojczy, zwiastunie światła, obrońco dobra, wysłuchaj modlitwę swojego pokornego sługi... — zaczął mówić, pochyliwszy głowę.

Kapłan modlił się w ten sposób przez kilka minut. Conan poczuł nagle niezwykle świerzbiecie w przedramieniu. Włosy na karku stanęły mu dęba. Stłumił instynktowną chęć wyrwania ręki z dłoni posługującego się magią uzdrowiciela. Nie żywił niechęci wobec Mitry ani jego wyznawców, ale jego bogiem był Crom, mieszkający na szczycie góry Ben Morgh. Jego rodacy rzadko modlili się do swojego wyniosłego bóstwa. Uważali, że Crom obdarowuje każdego człowieka przy urodzeniu siłą do walki i modlenie się do Cromy o cokolwiek więcej równało się przyznaniu do słabości.

Madesus zakończył wreszcie modły i puścił nadgarstek Cymmerianina. Kapłan otarł drżącą dłonią pot z brwi, wyspał zawartość małej fiołki do kubka z wodą i wypił ją. Zauważywszy pytający wyraz twarzy Conana, uśmiechnął się i powiedział uspokajająco:

— Chociaż modły uzdrowicielskie są bardzo krótkie, niezmiernie wyczerpują. Spróbuj zgiąć palce.

Conan zacisnął dłoń i powoli ją otworzył. Zesztywniałe palce słuchały niechętnie jego woli.

Nadgarstek był wciąż obrzmiały i zasiniąły, lecz wyraźnie wracał do normalnego stanu. Conan stwierdził, że choć nie czuje sympatii do kapłana, nie może zarzucić mu oszustwa.

— Czego sobie życzysz jako zapłatę?

— Osobiście nie mogę przyjąć od ciebie niczego. Musisz jednakże dać mi coś, co będę mógł zabrać do świątyni jako ofiarę. Zwykle kapłan za taką usługę dla człowieka innej wiary zażyczyłby sobie trzy złote korony. Jeżeli odmówisz ofiary, uzdrowicielski czar wkrótce przestanie działać.

Conan nauczył się już dawno, że nie warto wyklócać się z kapłanami i czarnoksiężnikami.

Powinien wciąż mieć pieniądze wygrane poprzedniego wieczora. Jego sakiewka zawsze szybko się opróżniała, lecz zwykle równie szybko udawało mu się napełnić ją ponownie. Sięgnął po nią i z nieprzyjemnym zaskoczeniem stwierdził, że nie ma jej na właściwym miejscu. Przeszukał wzrokiem pokój, mając nadzieję, że Yvanna odłożyła ją gdzieś na bok, opatrując w nocy jego rany.

— Moja sakiewka! Widziałaś ją, Yvanna?

Spojrzenie dziewczyny powędrowało do jego pasa. Zobaczyła jedynie parę wystrzępionych nitek z podtrzymującego ją ongiś paska.

— Musiałeś rozedrzeć troczek zeszłej nocy podczas... — Conan rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, więc dokończyła: — ...twojego wypadku.

— Rozumiem — odparł Madesus, potrząsając głową. — Jeżeli jednak wkrótce nie złożę ofiary w twoim imieniu...

— Zaczekaj! Mam coś wartego o wiele więcej niż trzy korony, ale jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc.

Conan wyciągnął wciąż tkwiące za pazuchą zawiniątko ze srebrną bransoletą. Zamierzał podarować ją Yvannie, jednak doszedł do wniosku, że zważywszy na pochodzenie ozdoby,

dziewczyna nie będzie mogła jej nosić bezpiecznie. Ponieważ dał za nią tylko dwie korony, wychodził na swoje. Rozwinął błyskotkę i podał ją Madesusowi. Kapłan wziął ją i natychmiast upuścił z krzykiem, jak gdyby dotknął jadowitego skorpiona.

— Niech Mitra ma nas w opiece! — wybuchnął wstrząśnięty Madesus, po czym ostrożnie podniósł bransoletę i przyjrzał się jej z niezwykłym napięciem: — Z tego przedmiotu emanuje aura piekielnego zła. Zmalała, lecz wyczuwam ją wyraźnie. Ktokolwiek ją nosił, zginął w potworny sposób. Sądząc po sile aury, musiało się to zdarzyć bardzo niedawno. Jak wszedłeś w jej posiadanie?

Conan przez chwilę miał ochotę zmyślić jakąś opowieść, lecz powiedzenie uzdrowicielowi prawdy i tak nie mogło niczego pogorszyć.

— Kupiłem ją zeszłej nocy od Zamorańczyka imieniem Hassem. Żądał niskiej ceny, dlatego nie pytałem, skąd ją ma.

Madesus patrzył wprost w oczy mówiącemu Conanowi, jak gdyby chciał się przekonać, czy Cymmerianin jest szczery. Na bladej twarzy uzdrowiciela zastygł wyraz poważnej troski.

— Gdzie można znaleźć Hassema? Obawiam się, że w tym mieście przebudziło się prastare zło! Jeżeli ktoś go nie powstrzyma, będzie nabierało siły, aż wreszcie nikt nie będzie w stanie mu się oprzeć. Niech Mitra ma nas w swojej opiece!

Zaczęły trząść się mu ręce. Napełnił kubek wodą, wrzucił do niego zawartość kolejnej fiolki i wypił mieszaninę wielkimi haustami. Conan i Yvanna przyglądali mu się z powątpiewaniem, zastanawiając się, czy nie mają do czynienia z szaleńcem. O jakim prastarym złe bredził? Conanowi trudno było uwierzyć, że Hassem mógł być zamieszany w cokolwiek prócz zwykłych kradzieży i podobnych występków.

— Ten tchórzowski pomiot umknął już pewnie do Zamory — stwierdził Cymmerianin. — O jakim złe mówisz? Jak możesz wyczuć jego obecność od samego dotknięcia bransolety?

— Kapłanów Mitry uczy się rozpoznawać ślady wrogów światłości. Już akolici uczą się wrażliwości na przedmioty, a nawet miejsca, w pobliżu których znalazły się diabelskie istoty. Silniejsze zło zostawia łatwiejsze do wykrycia ślady. Nazywamy je „aurą”. Tak jak wytrawni tropiciele potrafią rozpoznać rozmaite zwierzęta po kształcie ich tropu, tak i kapłani uczą się rozróżniać aury wielu rodzajów zła i określać, z jakim nieprzyjacielem mają do czynienia. Ci, którzy nie opuszczają świątyń, często tracą tę umiejętność, ponieważ rzadko przychodzi im stawiać czoło wysłannikom piekieł. Ja, chociaż jestem młody, widziałem na własne oczy więcej demonów niż wielu starców, którzy spędzili życie w zaciszu swoich świątyń. Powiadam ci, że tę bransoletę tknęło zło, z jakim nie miałem jeszcze do czynienia. Wyczułem żądzę torturowania i mordowania oraz bezbrzeżną nienawiść tej kreatury wobec wszystkich żywych istot. Być może Pan Światła raczy obdarzyć mnie większą wiedzą o tym wysłanniku piekieł. Jeżeli nie, będzie to znaczyć, iż wola Mitry jest, bym nie wchodził mu w drogę. Muszę cię teraz opuścić, ale ostrzegam: strzeż się Hassema! Może być tylko pionkiem w diabelskiej rozgrywce, lecz zbyt silnie związał się z siłami ciemności. Bądź ostrożny, inaczej ugrzęzniesz w ich sieci tak, że nie zdołasz się z niej wydostać!

W trakcie tej przemowy Madesus coraz bardziej podnosił głos. Ostatnie słowa podkreślił uderzeniem kostura o podłogę. Wstawszy, starannie spakował podrózną sakwę, zawiązał bransoletę w białe sukno i wrzucił ją do torby.

Conan nie przejął się przestrogami kapłana. Nie wierzył w opowieści o aurach i pajęczynach zła. Nie obchodziły go sprawy wiary rozgrywające się na niewidzialnej płaszczyźnie. Zależało mu wyłącznie na Hassemie, człowieku z krwi i kości. Krwi, którą można było rozlać i kościach nadających się do zgruchotania. Nie obchodziło go, czy odziany w kapłańskie szaty szaleniec będzie ścigał po Pirogii urojone spiski, o ile tylko nie utrudni mu zemsty. Skinał Madesusowi na pożegnanie głową i przypasał pałasz, zdumiewając się, jak bardzo poprawił się stan prawego nadgarstka.

Uzdrowiciel miał rację co do jednego: Conan musiał zachować ostrożność. Barbarzyńca uznał, że straż miejska pilnuje teraz bram miasta, by uniemożliwić mu opuszczenie Pirogii. Mogło to być korzystne, jeżeli dzięki temu mniej patroli strzegło ulic stolicy. Yvanna dowiedziała się, że za wskazanie mordercy królowny wyznaczono dużą nagrodę. Barbarzyńca spodziewał się, że zamorański opryszek zechce ją zgarnąć. Conan postanowił więc obserwować z ukrycia wejście do królewskiego pałacu, a Yvannie polecił, by spróbowała dowiedzieć się więcej o ostatnich wydarzeniach. Liczył, że w „Złotym Lwie” będzie trzęsło się od plotek. Pogłoski krążyły po Pirogii szybciej niż szczury w kanałach.

Opuściwszy mieszkanie Yvanny, Madesus poszedł prosto do najstarszej i najbiedniejszej z trzech pirogiańskich świątyń Mitry. Był pewny, że Conan nie powiedział mu całej prawdy, lecz wątpił, by Cymmerianin miał coś wspólnego ze złem, które emanowało z bransolety. Zauważył, że dwójka słuchaczy nie potraktowała poważnie jego ostrzeżeń. Musiał więc sam zgłębić naturę

Moore Sean U - Conan niezłomny

wykrytego zła. Aczkolwiek w myśl świątynnych reguł nie był już kapłanem Mitry, nie wolno mu było udać, że nic się nie stało. Za każdym razem, kiedy natrafiał na zło, czuł się zobowiązany zmierzyć z nim, aczkolwiek mogło to równać się jego zagładzie. Nauczył się tego przed wieloma laty w Koryntii od swojego nauczyciela, Kaletosa, podczas rozmowy, z której mimo upływu lat nie zapomniał ani słowa: „Zakarbuć sobie moje słowa, Madesusie, i módl się do Mitry, byś nigdy nie musiał z nich skorzystać. Wiele jest zła na obliczu ziemi, lecz nie całe kryje się w ludzkich sercach. Zaiste, człowiek nie rodzi się zły, lecz takim się staje. Można zabić złego człowieka, lecz nie uśmierci się w ten sposób zła, które się w nim zagnieżdżyło. Przeklęty, węzowy bóg Set to zło w czystej postaci, lecz jest on zaledwie jedną z wielu pradawnych wrogich światłości potęg, które czają się w trzewiach ziemi. Siły te cechuje nieśmiertelność. Mogą spać przez stulecia, lecz w końcu się budzą, by siać wśród nas zepsucie. Słabi, pożądlivi ludzie łatwo ulegają ich fałszywym obietnicom. Są pożywką dla zła, pojmują to wtedy, gdy przestają mu być potrzebni, lecz wówczas jest za późno, by cokolwiek naprawić. Przeznaczeniem niektórych ludzi jest tropienie gnębiącego bliźnich zła i niszczenie go. Mój mistrz należał do takich właśnie mężów; czuję, że jest to również twój los. Na łożu śmierci mój nauczyciel dał mi ten amulet i nauczył mnie modlitw, pozwalających przyzwać przeciw złu potęgę dobra. Przekazuję ci teraz talizman z przestroga, byś uciekał się do tych inkantacji wyłącznie w razie wielkiej potrzeby. Wybrałeś drogę, która jest udziałem niewielu. Przez nią nie możesz być kapłanem Mitry, przynajmniej nie w zwykłym sensie. Opuść świątynię i idź przed siebie. Wyszukuj czające się na twojej drodze zło i przepędzaj je na wsze czasy z oblicza ziemi. Nie zaniedbaj jednak swojej powinności wobec ludzi i nie zapominaj sztuki uzdrawiania, którą ci wpoiliem. Amulet nie pomoże temu, kto chce użyć go do własnych celów, dlatego zawsze musisz kierować się powszechnym dobrem. Będę się modlił do Mitry za ciebie. W tej świątyni zawsze zostaniesz przyjęty z radością”. Madesus opuścił Koryntię trzy lata temu, mając nadzieję, że kiedyś wróci, by opowiedzieć Kaletosowi o swoich wędrówkach. Wiedział już, że mistrz miał rację: jego przeznaczeniem nie było zostać kapłanem, lecz zwalczać zło, któremu człowiek nie był w stanie przeciwstawić się z pomocą stali.

Madesus namacał przez fałdy szaty zawieszony na szyi amulet w kształcie siedmioramiennej gwiazdy. Czuł, że zło, którego tropem wędrował, jest tu, w tym mieście. Przypadek czy zrządzenie niewidzialnych sił sprawiło, że znalazł się w Pirogii właśnie w czasie, gdy zło podnosiło głowę. Bransoleta stanowiła wiodącą do niego nić. Madesus zamierzał dzięki niej odkryć, jaka diabelska istota zagnieżdżyła się w Pirogii i zniszczyć ją. Z poważną miną wszedł po stopniach świątyni.

— Zatrzymaj się! Ty tam, stój, mówię!! — ryknął strażnik w kolczudze, wskazując barbarzyńcę mieczem.

Conan rzucił mu mordercze spojrzenie, po czym odwrócił się i spojrzał w głąb zaułka. Drogę zagrażał gruz z zawalonego budynku. Cymmerianin zmierzał w stronę pałacu, unikając w miarę możliwości głównych ulic. Do tej pory nie widział ani jednego patrolu. Wątpił, czy zdoła przebyć tę stertę gruzu, nim strażnik go dopadnie. Na ten zaułek nie wychodziły żadne tylne drzwi ani okna. I bardzo dobrze, pomyślał, wyciągając pałasz. Jeżeli ci głupcy chcieli go schwytać, pokaże im, jakie to trudne. Odwrócił się i rzucił biegiem w stronę nadchodzącego strażnika. Po paru krokach stwierdził, że jest to porucznik Ekkar, stały gość „Złotego Lwa”.

Ekkar, który spodziewał się, że Conan będzie uciekać, zatrzymał się zaskoczony. Za nim wyciągali broń pozostali członkowie patrolu, w odróżnieniu od swojego dowódcy, odziani jedynie w skórzane kaftany i żelazne hełmy.

— Zatrzymajcie się! Nie chcę was zabić! Zostałem oskarżony fałszywie o coś, czego nie zrobiłem! — krzyknął Conan.

— Nie trać na mnie tchu, barbarzyńco! Oszczędź swoje kłamstwa dla kapitana. Jeżeli nie rzucisz broni i nie pójdziesz z nami dobrowolnie, będziemy zmuszeni cię zabić!

— Rzucić miecz? Prędeż zatopię go w twoim nienasyconym wałtuchu, psie!

Porucznik warknął i zaatakował. Po krótkiej wymianie ciosów rzucił się naprzód do

decydującego pchnięcia. Conan pewnie odtrącił miecz strażnika i odpowiedział sztychem.

Cudem jedynie ostrze nie przebiło nacierającego mężczyzny, lecz oderwało spory płat jego

kolczugi. Ekkar odskoczył pospiesznie. Conan zauważył, że w oczach porucznika pojawił się

strach. Mimo to jego przeciwnik nie zrezygnował z walki i spróbował zmusić barbarzyńcę do

ryzykownego ataku. Jeden ze strażników uniósł broń i zbliżył się do walczących, lecz zaułek był

zbyt ciasny, by mógł obejść Cymmerianina. Ekkar nabrał głęboko powietrza i wykrzyczał

rozkazy:

— Felg, poślij po posiłki! Jourand, wejdź do zaułka od tyłu!

Conan zdawał sobie sprawę, że o ile go nie pokona, wkrótce zaroi się tu od strażników. Napiął

potężne mięśnie i z całej siły ciął z góry w wysuniętą do przodu broń Ekkara. Lżejszy oręż porucznika pękł z głośnym szczękiem, w następnej chwili ostrze Conana przecięło kolczugę i żebra. Ekkar poleciał w tył, zmieciony siłą ciosu. Krew chlustała z ziejącej w jego piersi rany. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz słowa utonęły w powodzi krwi. Felg i Jourand ruszyli do ataku, przeskakując przez ciało poległego dowódcy. Conan schylił się przed mierzonym w głowę ciosem Jouranda, po czym jednym pchnięciem odtrącił w bok ostrze Felga i rozpruł mu brzuch. Zastawiając się niezgrabnie, Jourand cofnął się i poślizgnął na trzewiach swojego towarzysza. Conan nie zaprzestał ataku. Wykonał fintę, po czym ciął w odsłonięty bok przeciwnika. Ostra jak brzytwa stal z łatwością przecięła skórzany kaftan. Jourand wrzasnął i wypuścił broń w chwili, gdy Conan wyszarpywał pałasz z jego ciała. Strażnik runął na ziemię, daremnie próbując zatamować dłońmi krew buchającą z koszarnej rany. Conan otrząsnął posokę z miecza i obejrzał się szybko przez ramię. Nie widząc nikogo, przełaził przez stertę gruzu. W tym momencie usłyszał krzyki za plecami. Zaklął i rzucił się biegiem w głąb zaułka, mając nadzieję, że zdoła zgubić prześladowców. Uliczka skręcała w prawo i... kończyła się po kilkunastu krokach pozbawionym okien wysokim murem. Jedyną szansą ucieczki były solidne, drewniane drzwi wzmocnione grubymi, żelaznymi sztabami. Conan bez wahania przyspieszył i kopnął z całej siły. Drzwi zatrzęsyły się i zaskrzypiały, a metalowe sztaby ugięły się lekko. Cymmerianin cofnął się i uderzył ponownie, tym razem barkiem. Od impetu uderzenia gwiazdy stanęły mu przed oczami. Skrzypleniu drewna towarzyszył odgłos pękającej śruby mocującej jedną ze sztab. Conan podsadził pod nią palce i pociągnął, aż na ramionach wystąpiły mu postronki mięśni. Sztaba ustępowała powoli, jedna po drugiej pękały kolejne śruby. Pozostały jeszcze dwie, gdy pierwsi z goniących go strażników wychynęli zza zakrętu.

— Na Croma! — zaklął Conan.

W następnym szarpnięciu włożył wszystkie swoje siły. Tym razem zdołał oderwać sztabę i natychmiast zamachnął się nią jak maczugą. Najbliższy strażnik padł bez jęku na ziemię ze zgruchotaną czaszką. Barbarzyńca rzucił sztabą w następnego i wydał z głębi piersi mrozący krew w żyłach cymmeriański okrzyk bojowy. Improwizowana broń trafiła przeciwnika w brzuch. Impet ciosu odrzucił strażnika w ramiona jego towarzyszy. Tymczasem zza zakrętu wyłonił się kolejny stróż porządku, odziany w zbroje. Jeden z nich zakładał strzałę na cięciwę. Rezygnując z ataku, Conan skorzystał z chwilowego zamieszania wśród strażników i kopnął mocno w drzwi. W środku pękła zasuwa i drzwi runęły z łoskotem do wewnątrz. Conan zaklął, widząc, że jest to magazyn wypełniony po strop wielkimi beczkami z winem. Ściągnął jedną z nich, dźwignął nad głowę i cisnął w zbliżających się strażników. Masywny pocisk wyładował na trzech z nich, miażdżąc ich w jednej chwili i powalając na ziemię pozostałych. Żelazna obręcz pękła, a tanie wino chlusnęło na wszystkie strony. Conan wytoczył jeszcze kilka beczek, skutecznie tarasując przeciwnikom drogę, po czym przelał górą do frontowej części magazynu i zeskoczył na podłogę. Wyrzawszy przez jedno z wąskich okienek, zobaczył, że na ulicy kłębi się tłum strażników. Nie zostało mu nic innego, jak tylko stawić im czoło. Skoro nie mógł się wymknąć, zamierzał przynajmniej posłać do piekieł jak najwięcej wrogów, nim ci pozbawią go życia. Zbierając siły do ostatniej walki, poczuł na stopach powiew dobiegający ze szpary w podłodze z desek.

Odepchnął beczkę i ujrzał kłapę w podłodze. Pomieszczenie w dole musiało prowadzić na zewnątrz, inaczej Conan nie czułby powiewu. Cymmerianin wepchnął w szparę klingę pałasza, podważył kłapę i zajarzał w dziurę. Toporne stopnie nikięły w mrocznej głębi. Chociaż dolatujące z dołu powietrze cuchnęło rynsztokiem, nie było zatęchłe.

Frontowe drzwi zadrżały w zawiasach, a z głębi magazynu słychać było nawoływania i przekleństwa wchodzących po beczkach strażników. Conanowi nie pozostało nic innego, jak zejść w dół, przyciągnąć najbliższą beczkę i zasłonić nią jak najdokładniej kłapę. Tę blokowała od spodu solidna zasuwa. Conan zatrasnął ją i odczekał, aż jego wzrok przywyknie do ciemności.

Niebawem dostrzegł w dole bladą poświatę. Macając ostrożnie każdy stopień, zaczął schodzić wąskim szybem. Po wielkości powlekających jego ściany pajęczyn Cymmerianin ocenił, że tunel nie był używany od lat. Wielonodzy mieszkańcy pokrytych kurzem sieci pierzchali, kryjąc się w mroku.

Po dotarciu do dna szybu Conan stwierdził, że znajduje się w miejskim kanale. Światło wpadało przez zardzewiałą kratę umieszczoną na dnie rynsztoka. Z głębi ściekowego kanału dobiegł go słaby pisk szczurów.

Nie namyślając się długo, Cymmerianin postanowił zaufać swemu zmysłowi orientacji i ruszył kanałem, który w jego przekonaniu prowadził w kierunku pałacu. Liczył, że strażnicy zgubią jego ślad. Do tej pory nie słyszał, by próbowali wyważyć kłapę.

Nabrawszy nieco otuchy, Conan pomaszzerował kanałami pod ulicami miasta.

4. KRÓL ELDRAN

Król Eldran otarł pot z pobladłego czoła i spojrzął w zwierciadło wiszące na ścianie komnaty sypialnej. To, co ujrzał, nie mogło go zadowolić. Tego ranka na pobrużdżonej twarzy i w ściągniętych brwiach malował się każdy dzień z przeżytych czterdziestu pięciu lat. Zeszłego wieczora Eldran miał uczucie, że zaczyna się u niego jakaś choroba. Na wszelki wypadek napił się kezankiańskiego wywaru z ziół i poszedł spać. Rano czuł się zdecydowanie gorzej. Podejrzewałby, że ktoś chce go otruć, gdyby nie to, że po niedawnym zamachu każdy ze strzegących go gwardzistów jadł z tego samego półmiska. Samo jadło, z kolei, było zbyt niewyszukane, by mogło mu zaszkodzić. Gust Eldrana w ogóle skłaniał się ku prostocie, tak pod względem stroju, jak i sposobu sprawowania władzy. Skłonność ta obniżała jego wartość w oczach wielu baronów, którzy uważali króla za prymitywnego gbura, przypadkiem koronowanego poganiacza kóz. Eldran wiedział jednak, że zaskarbia mu to większą miłość ludu. Nie był dyplomatą o srebrnym języku, lecz jego szczerość i bezpośredni sposób mówienia zachwycały większość jego poddanych.

Król potarł twarz i zamrugał oczami, starając się pozbyć mgiełki zasnuwającej pole widzenia. Postanowił, że jeżeli do południa nie poczuje się lepiej, wezwie uzdrowiciela. Podczas wojen znosił wiele powszednich żołnierskich dolegliwości i miał nadzieję, że nie zestarzał się na tyle, by złożyła go jakaś pospolita choroba.

Król był wciąż pogrążony w żałobie po świeżej stracie swojej jedynej córki, Elspeth.

Pomyślał, że to właśnie może być powodem złego samopoczucia. Nie mógł pozbyć się poczucia winy za jej śmierć. Elspeth pewno padła ofiarą wymierzonego przeciwko niemu spisku. Nie czuł już gniewu, lecz pozostało uczucie okrutnej straty i pustki. Elspeth była tak piękna, jak jej matka, Cassandra. Eldran uznał, że świat, który zabrał mu żonę, a po zaledwie paru latach córkę, jest bezsensownie okrutny. Nauczył się żyć po stracie Cassandry. Samotność zagłuszył większym zaangażowaniem w żołnierskie rzemiosło. Na stratę córki nie był w stanie znaleźć lekarstwa. Uśmiechając się smętnie, zaczął nakładać zwykłe czarno-szare szaty. Przypasawszy broń w znoszonej pochwie, stwierdził, że czuje się nieco lepiej. Wyprostował się, czując przy boku znajomy ciężar odziedziczony po ojcu kezankiańskiego miecza.

Wpadający przez okno blask wschodzącego słońca sprawiał, że Eldran wyglądał bardziej majestatycznie, niż sam sądził. Jego przyszczyżone, ciemne włosy przetykała siwizna, a stalowoszare oczy odbijały siłę charakteru. Lata wojaczki na północno-wschodnich rubieżach Brythunii zapewniły mu godną podziwu muskulaturę. Słyszał ze zręczności w posługiwaniu się mieczem.

Przystępna natura Eldrana i szacunek dla innych sprawiały, że łatwo przychodziło mu zawieranie przyjaźni, zaś ludzie zawsze uważali go za godnego zaufania wodza. Mimo iż szybko awansował podczas służby w brythuńskiej armii, rzadko towarzyszyła temu zawiść. W czasie krwawych pogranicznych konfliktów wielokrotnie ratował przed śmiercią swoich przyjaciół. Eldran został generałem w tym samym czasie co jego przyjaciel, Valtreska. Obydwaj przez lata walczyli w tych samych kampaniach, dowodząc oddziałami na wschodniej granicy. Gdy kilka lat temu najwyżsi dowódcy i szlachta zwrócili się do niego, by zajął miejsce poprzedniego króla, bezpotomnego Khullana, Eldran był zaskoczony. Brythuńscy władcy zazwyczaj wywodzili się spośród wojowników, lecz przeważnie byli wyżej urodzeni od niego. Eldran spodziewał się, że o objęcie tronu zostanie raczej poproszony Valtreska. Rozważał nawet zrzeczenie się panowania na jego korzyść, ponieważ wątpił, czy podoba czekającym go obowiązkom.

Stoczywszy wewnętrzną walkę, Eldran postanowił w końcu zasiąść na tronie. Uczynił Valtreskę głównodowodzącym brythuńskich wojsk. Sądził, że generał będzie rozczarowany, lecz Valtreska nie wyrażał niezadowolenia z obrotu wypadków. Ponadto okazało się, że panowanie Eldrana położyło kres nie kończącym się walkom brythuńskich magnatów o wpływy w królestwie, powodowanym przez fakt, iż król pochodził z jednego z ich rodów. Był również pierwszym od wielu pokoleń monarchą cieszącym się poparciem niesformnych górali. W ostatecznym rozrachunku właśnie to przeważało szalę jego wątpliwości.

Eldran pojął, że przyjmując koronę, może liczyć na zjednoczenie Brythunii i zakończenie nieustannego nękania jej granic przez ościenne monarchie. Nie pragnął imperium. Jego kraj nie miał zasobów, pozwalających wyposażyć wielką armię, zdolną do podboju możliwych sąsiednich królestw. Sam Eldren nie czuł ochoty by wszczynać morderczą wojnę o kawałek ziemi. Krew była zbyt cenna, by zamienić ją na spłacheć gruntu. Eldran marzył, że pod jego rządami Brythunia stanie się państwem spokojnym i bezpiecznym. Rozpoczął negocjacje z władcami

Koryntii, Zamory i potężnej Nemedii. Potraktowano go poważniej niż poprzednich brythuńskich monarchów, lecz nadal dochodziło do łupieżczych napaści, tłumaczonych jako „awantury” wywoływane przez „renegatów”. Eldran był pewny, że ataki te stanowią próbę jego zdecydowania i siły. Im więcej rozgramiano wrogich najazdów, tym pomyślniejszy obrót przybierały negocjacje.

Niestety, znaleźli się tacy, którzy uważali panowanie Eldrana za zagrożenie. W ciągu ostatnich miesięcy podjęto kilka nieudanych prób pozbawienia go życia. Król zdawał sobie sprawę, że ma potężnych wrogów, lecz nie istniał prosty sposób rozwiązania tego problemu. Traktował zamachy jako dowód słuszności obranej przez siebie drogi. Jego plany musiały przynosić pożądane efekty, inaczej spiskowcy nie staraliby się go zgładzić.

Ostatnia próba otrucia sprawiła, że Eldran stał się jeszcze ostrożniejszy. Nie znosił nieustannego nadzoru swojej gwardii, lecz wiedział, że to konieczne. Jedyna zaleta polegała na tym, że czuł się dobrze w towarzystwie górali. Żałował poniewczasie, że nie rozkazał pilniej strzec Elspeth.

Odepchnął od siebie smutne myśli, skupiając się na sprawach państwowych. Ponownie wyjrzał przez okno. Lamici miał przynieść odpowiedź jednego z zamorańskich książąt na propozycję rozstrzygnięcia starego granicznego zatargu. Wtem za drzwiami komnaty rozległy się znajome ciężkie kroki jego najbliższego przyjaciela i strażnika, kezankiańskiego wodza Kailasza.

— W przedsiönku czeka Lamici, panie — powiedział zwalisty góral grzmiącym głosem. — Na Erlika, wolałbym rzucić się do stawu z khitajskimi żmijami wodnymi, niż słuchać jego rad. Jego głos doprowadza mnie do szału. Nie mam pojęcia, jak możesz go znieść.

— Spokojnie, przyjacielu. Służę ludowi tak samo jak ja czy ty, chociaż też za nim nie przepadam. Królestwo tworzą rozmaici ludzie, mali i wielcy. Każdy ma w nim swoją rolę. Nie cierpię wielu ludzi w tym mieście, lecz nauczyłem się ich znosić, Kailaszu. Wprowadź Lamiciego. Mamy... — Eldran urwał i otarł pot z czoła — ... mnóstwo spraw do omówienia. Kailasz zmrugał oczy i spojrzał na króla z niepokojem.

— Jesteś chory, panie? Błado wyglądasz.

— Hm? Och, to jakaś błałostka. Za bardzo się o mnie troszczysz, Kailaszu. Nie jestem dzieciakiem. Każ sługom zastawiać do śniadania i pozwól, bym sam martwił się o siebie. I wprowadź eunucha, zanim zmarnujemy cały poranek na czcze gadanie.

— Oczywiście, panie — Kailasz uśmiechnął się i poklepał Eldrana po plecach.

Król skrzywił się z bólu. Góral nie zauważywszy tego, ruszył do drzwi. W progu minął się z eunuchem. Eldran usiadł w fotelu pod oknem i utkwiał wzrok w mapie Brythunii i sąsiednich królestw.

— Witaj, panie. Piękny mamy dzisiaj ranek! — zawołał entuzjastycznie Lamici, lecz jego oczy miały zimny, nieprzenikniony wyraz. Podeszedł do stołu, skłonił się i wyprostował jak świeca. Eldran dał mu znak, by usiadł, po czym zdał sobie sprawę, że eunuch bacznie mu się przygląda.

— Panie, wyglądasz na znużonego. Czy mam sprowadzić uzdrowiciela? — spytał dworzanin.

— Nie, Lamici, to drobiazg — odparł Eldran z niechęcią. Zaczynało go drażnić ciągłe dopytywanie o jego zdrowie. — Czy są już jakieś wieści od zamorańskiego księcia?

— Posłaniec jeszcze nie wrócił, panie. Wysłano go dwa tygodnie temu, ale na drogach...

— Tak, jest na nich niebezpiecznie, jak już wiele razy mówiłeś! — przerwał mu król. —

Mimo to ten człeczyna mógł do tej pory dojechać do Vendhii i z powrotem. Wysłał oddział, by sprawdził, czy nie przytrafiła się mu jakaś... przygoda. — Eldran ponownie otarł pot z czoła, tym razem obfity niż poprzednio. Był na siebie zły za wybuch złości w obecności eunucha. Złe samopoczucie sprawiało, że brakowało mu cierpliwości. Do tego dochodził ciągły żal po stracie Elspeth. — Pewnie masz rację, Lamici. Nie czuję się dzisiaj najlepiej. Źle spałem. Przyda mi się jeszcze trochę odpoczynku, zanim porozmawiamy.

— Chodzi... o królowę, panie? Lud współczuje ci w twoim bólu. Słyszałem, że Valtreska wykrył, kto dopuścił się tej ohydnej zbrodni i ściga tego łotra. Kat zaczął ostrzyć topór, aczkolwiek szybka śmierć to za mała kara za taką potworność.

— Stracenie winnego to dla mnie niewielka pociecha. Mimo to zbrodniarz winien trafić do piekła. Tam zostanie osądzony bardziej surowo i poddany okrutniejszej karze, niż jest w stanie wymierzyć człowiek. Powiedz mi jego imię, bym wiedział, kto jest sprawcą mej rozpaczki.

— Conan, panie. Wędrowny barbarzyńca, który zabił ją dla jej biżuterii. Gdyby nie fatalna omyłka kapitana Salvorusa, jego głowa leżałaby już obok pniaka. Kapitan ubiegłej nocy prawie miał Conana w swoich rękach, lecz pozwolił mu się wymknąć.

— Salvorus? Ten młody dowódca z południowo-zachodniego pogranicza? Porządny wojak.

Szkoda, że nie zdołał złapać tego Conana. Jeżeli jemu się to nie udało, ten barbarzyńca musi być naprawdę sprytny. Dopilnuj, by straż zachowała ostrożność. Człowiek, który w tak potworny

sposób zamordował królewską córkę, stanowi jeszcze większe zagrożenie dla zwykłych poddanych. Jeżeli nie będzie można wziąć go żywcem, niech strażnicy zabiją łotra na miejscu. Każ przygotować rozkaz stracenia i dostarczyć mi go do podpisu.

Lamici bez słowa rozwinął zwój, który przyniósł ze sobą. Nie pytając, dlaczego eunuch tak pośpieszył się ze sporządzeniem dokumentu, Eldran przeczytał go pobieżnie i odcisnął na dole swą pieczęć. Eunuch zauważył z zadowoleniem, że król poci się obficie, ma przyspieszony oddech, zaś pieczętując dokument, Eldran wyraźnie pobladł i zadrżały mu ręce. Doskonale, pomyślał Lamici. Azora dotrzymała umowy!

Eunuch stwierdził, że obserwowanie cierpień tego syna pasterza kóz sprawia mu przyjemność. Gdyby tylko wiedział, jak zginęła jego smarkata córeczka! Gdyby tylko słyszał jej żalosne jęki, gdy wiła się w agonii... Zresztą wkrótce ona sama opowie mu o tym w piekle! — Valtreska zapewnił mnie, że znajdzie i osobiście ukarze tego złoczyńcę, panie — powiedział głośno. — Życzysz sobie ode mnie czegoś jeszcze?

— Nie, dziękuję ci, Lamici. Zostaw mnie teraz, proszę. Muszę zastanowić się nad wieloma sprawami. Powiadom mnie natychmiast, jeżeli wróci posłaniec z Zamory. Możesz odejść.

— Tak, panie. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej — rzekł Lamici, dokładając wszelkich starań, by zabrzmiało to szczerze.

Skłonił się i wyszedł. Eldran powoli podniósł się z fotela i zawołał Kailasza. Zwalczając zawrót głowy, zdał sobie sprawę, że czuje się coraz gorzej. Podszedł z wysiłkiem do łóża i osunął się na nie. Kailasz podbiegł do niego.

— Posłałem już po uzdrowiciela, panie! — oznajmił z troską. — Wybacz mi, że zrobiłem to bez twojej zgody, ale znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy go potrzebujesz. Uparty z ciebie góral, wyzionąbyś ducha, nim wezwałbyś pomoc — Kailasz zażartował, by ukryć troskę. — Pamiętam, jak dziewięć lat temu, w czasie wojny o Góry Graskaal, przeszedłeś dziesięć mil z hyperborejską strzałą w brzuchu. Tej nocy było ciemno jak w stygijskim grobowcu, dlatego nie wiedzieliśmy, że jesteś ranny, póki nie runąłeś na twarz.

— To prawda, nieraz byliśmy w opałach — Eldran uśmiechnął się z wysiłkiem. — Ale przesadzasz o ile sobie przypominam, przeszliśmy najwyżej dwie–trzy mile. Daj mi odpocząć. Jak mam poczuć się lepiej, skoro ryczysz mi prosto w ucho jak osioł? Nie martw się, przyjacielu, wkrótce stanę na nogi.

Eldran starał się mówić pogodnie, lecz wątpił, czy zdołał zwieść Kailasza. Przymknął oczy i wkrótce zasnął.

Nawiedził go dziwny sen. Ujrzał grupę ludzi zebranych wokół osobliwego ołtarza z czarnego kamienia. Niektórzy z nich byli jego bliskimi przyjaciółmi. Patrzyli na ołtarz, obok którego Lamici wygrywał na lirze żalobną melodię. W tłumie wokół ołtarza znajdował się także Valtreska. Gdy Eldran odezwał się do niego, generał w milczeniu odwrócił głowę. Król wszedł między zebranych, pytając, kogo oplakują. Nikt nie chciał mu odpowiedzieć, nawet Kailasz, który patrzył na swojego przyjaciela, jak gdyby go nie poznawał. Zbliżywszy się do ołtarza, Eldran zobaczył, że stoi na nim pociągająca kobieta o czarnych jak sadza włosach i gładkiej skórze. Kobieta wyciągnęła do niego dłoń. Ujął ją i bez wysiłku dołączył do niej. Zebrani odwrócili się i zaczęli rozchodzić. Nieznajoma kobieta objęła Eldrana i zaczęła go namiętnie całować. Szarpnął się zaskoczony, lecz nie mógł wydostać się z uścisku. Zza jej ramienia dostrzegł stojącą za ołtarzem żonę i córkę, przyglądające się mu bez słowa. Lamici grał żalobną pieśń coraz szybciej, aż w końcu jego palce tworzyły nad lirą rozmazaną plamę. Nagle pojawił się zdyszany, potężnie zbudowany mężczyzna o czarnych włosach i błyszczących niebieskich oczach, z zachodniej roboty pałaszem w dłoni. Przybysz rzucił się wprost na żonę i córkę Eldrana. Naprzeciw niego niespodziewanie stanął Valtreska — bez broni. Generał spojrzął na swojego władcę, błagając niemo, by król dał mu swoją broń. Eldran wyciągnął miecz i rzucił go Valtresce. Generał chwycił broń w locie i ciał czarnowłosego mężczyznę, nim ten zdołał dotrzeć do dwóch kobiet. Pod dotknięciem kezankiańskiego ostrza napastnik rozpląnął się jak rzucona na wiatr garść piachu. Wtedy Valtreska odwrócił się i przebił mieczem Elspeth i Cassandrę. Eldran przyglądał się temu bezsilnie; krzyczał, lecz z jego ust nie dobywał się żaden dźwięk. Lamici zaśmiał się i mocniej uderzył w struny, zaczynając grać starą, brythuńską melodię taneczną. Niesamowita kobieta, która uwięziła Eldrana w swoim stalowym uścisku, odchyliła głowę i roześmiała się, ukazując dwa rzędy czarnych zębów ostrzejszych niż u węża. Pochyliła się naprzód, wbiła je w gardło króla i zaczęła wysysać z niego krew. Opadając z sił, Eldran próbował się jej wyrwać, lecz powoli czuł, że traci świadomość...

Przebudził się zlany potem i rozdygotany. Miał uczucie, jakby w jego żyłach krążył płynny ogień. Usiłował odezwać się, ale szorstki ucisk w gardle tłumiał każdy dźwięk. Czuł się słaby i zdezorientowany. Wszystko wokół niego na zmianę przejaśniało się i zachodziło mgłą. Jak długo spał? Niejasno przypominał sobie koszmar, w którym była kobieta, ołtarz i... Wspomnienie

Moore Sean U - Conan niezłomny

pierzchło, wszelkie szczegóły wysliznęły się z rozgorączkowanego umysłu króla. Dostrzegł, że Kailasz i uzdrowiciel szepczą przy jego łożu. Usiłował podnieść się, lecz otłowiane członki nie chciały go usłuchać. Uzdrowiciel otarł czoło Eldrana chłodną, wilgotną tkaniną i powiedział do Kailasza coś, czego sens umknął królowi. ... obudził się nagle... wczoraj... ziola... czary... rzucał się i... znajdźcie kapłana... Kailasz nachylił się i utkwivszy w swym panu zatroskane spojrzenie, położył mu na ramieniu twardą dłoń.

— Stary druhu, bądź silny... uzdrowiciela z powrotem. Znajdziemy go...

Król zamknął oczy i zaczął pogrążyć się w dręczącym półśnie, w którym stale powtarzał się, wciąż od nowa, ten sam koszmar, jak sztuka wystawiana w piekielnym teatrze.

Kailasz zdjął rękę z ramienia króla, wstał i zaczął krążyć po komnacie. Przez lata widywał Eldrana pijanego, gorączkującego z powodu odniesionych ran, czy też po prostu wyczerpanego. Jednak nigdy dotąd jego przyjaciel nie opadł z sił tak szybko, tak raptownie poddając się chorobie. Poprzedniego dnia król był blady, a dziś wyglądał wręcz upiornie.

Władca zapadł w niespokojną drzemkę, co chwila rzucając się w łóżku i jęcząc. Uzdrowiciel nie mógł go dobudzić ani ulżyć jego cierpieniu. Jedzenie ani napoje nie przechodziły królowi przez gardło. Próby karmienia o mało nie doprowadziły do udławienia.

Kailasz czuł, że kryją się za tym czary. Jakiś niewidzialny demon z piekła rodem, przybył, by gnębić ciało i duszę Eldrana. Żaden uzdrowiciel nie był w stanie uchronić króla przed czarną magią. Cierpiącemu przyjacielowi górala mogli pomóc obecnie jedynie kapłani lub czarnoksiężnicy. Kailasz posłał trzech najszybszych gońców po kezankiańskiego szamana, lecz nawet gdyby niosły ich tam skrzydła orłów, ich powrotu można było spodziewać się najwcześniej za kilka dni.

Bądź silny, przyjacielu, zwrócił się w duchu Kailasz do Eldrana. Oprzyj się wyzerającemu twe serce demonowi. Na Erlika, wiem, że jesteś do tego zdolny!

Góral, krążąc po komnacie, zastanawiał się, ile czasu zostało jeszcze jego druhowi. Sam mógł tylko patrzeć, jak z Eldrana nieuchronnie wysącza się życie.

5. CZYHAJĄCY W PODZIEMIACH

Conan nadepnął na coś wilgotnego i oślizgłego, co natychmiast wymknęło się spod sandała. Od wielu godzin wędrował wiekowymi kanałami. Zaczynało go nużyć brnięcie po kolana przez niekończącą się rzekę cuchnącej brei. Ohydny smród unosił się falami nad tym gęstym jak syrop trzęsawiskiem. Cymmerianin myślał, że zmysł powonienia miłosiernie opuścił go przed paroma godzinami, lecz najwidoczniej było inaczej, bo co chwila chciało mu się wymiotować.

Spojrzał na sklepienie kanału, licząc, że dojrzy blask światła, tak jak na początku wędrówki. Zaczynało go dręczyć wrażenie, że zabłądził. Od paru godzin nie widział ulicznych kratek, lecz miał nadzieję, że mimo wszystko zmierza w kierunku królewskiego pałacu.

Mijając godzinę wcześniej rozwidlenie tuneli, nie mógł zdecydować, który z nich wybrać.

Ten, który jak sądził, prowadził w stronę pałacu, był lekko nachylony w dół, co wielce niepokoiło Cymmerianina. Mimo to Conan ruszył właśnie tędy. W miarę posuwania się słabe światło zastąpiły atramentowe ciemności, których nie mógł przeniknąć nawet przyzwyczajony do mroku wzrok barbarzyńcy. Wreszcie gdzieś w oddali zamajaczyła blada poświata.

Conan przyspieszył kroku i zatrzymał się nagle, spostrzegając, że to tylko jeden z wystających ze ściany kamieni jest jaśniejszy od pozostałych. Właśnie on był źródłem fosforycznej poświaty.

Na Croma, miał tego dość! Postanowił wrócić do rozwidlenia i powędrować drugą odnogą.

Gdy się odwracał jego palce natrafiły na coś osobliwego. Zaciekawiony, obmacał dokładniej ścianę i stwierdził ze zdumieniem, że kawałek kamienia został mu w dłoni. Odłamek miał z jednego końca zaokrąglone wypukłości, a długością i grubością odpowiadał... ludzkiemu przedramieniu! Ustaliwszy, że istotnie jest to stara kość, odrzucił ją z obrzydzeniem. Zmieniwszy zamiar, ruszył dalej w głąb tunelu, wodząc palcami po murze.

Włosy stanęły mu dęba na karku, gdy zdał sobie sprawę, że cała ściana została zbudowana z ciasno ułożonych kości ludzi i zwierząt. Posuwanie utrudniała mu zalegająca na dnie kanału breja, głośno cmokająca przy każdym kroku.

Wtem potknął się o coś włochatego i runął twarzą w nieczystości. Klnąc, zerwał się na równe nogi i otarł obrzydliwą maź z oczu. Dzięki temu w porę dostrzegł wynurzającą się z brei koszmarną istotę.

Nadymające się w rytm oddechu, ociekające cielsko olbrzymiego potwora doszczętnie zatarasowało tunel. Bestia z ohydny bulgotem pobrnęła w stronę Conana. Cymmerianin zaczął się cofać. Wyglądu potwora mógł się jedynie domyślać. Z grzybowatej bryły wystawało kilkanaście macek z włochatymi zakończeniami i gąbczastymi przyssawkami. Jedna z macek bez ostrzeżenia trzasnęła jak bicz. Conan uniknął uderzenia, skacząc w górę. Niestety, źle ocenił

Moore Sean U - Conan niezłomny

wysokość tunelu i rąbnął głową w sklepienie. Posypały się na niego odłamki kości. Ogłuszony, stanął chwilę w bezruchu, tymczasem kolejne macki oplotły ciasno jego nogę i tułów. Nadwątłony sufit rozsypywał się dalej. Wśród lawiny żwiru i szczątków szkieletów trysnęła przesywająca mrok smuga blasku. Najwyraźniej barbarzyńca znajdował się bliżej powierzchni, niż sądził.

Promień słońca oświetlił tunel wystarczająco, by Cymmerianin zobaczył napastnika w całej okazałości. Białożółtą, guzłowatą skórę pokrywały kępki splątanej włosów o barwie ochry i przypominające zroplione pęcherze plamy zielonej pleśni. Na środku cielska stwora znajdowała się pozbawiona zębów paszcza, wystarczająco wielka, by naraz połknąć człowieka. Dobywało się z niej hałaśliwe mlaskanie i wypływała spieniona wydzielina.

Potwór zmienił nagle ułożenie macki otaczającej Conana w pasie i zaczął miażdżyć go w jej uścisku. Cymmerianinowi momentalnie zabrakło tchu. Gąbczaste przyssawki na spodzie macki wpiły się w jego skórę jak setki łapczywych pijawek. Barbarzyńca stracił czucie w nieubłaganie ściskanej lewej nodze. Doszedłszy do siebie po uderzeniu głową w sklepienie tunelu, ciął pałaszem w mackę otaczającą go w pasie. Ostrze przecięło ją w pół. Bestia z rykiem cofnęła kikut, a drugą macką szarpnęła Cymmerianina za nogę.

Conan ponownie padł na dno kanału, uderzając głową o kamienne podłoże. Gdyby w ostatniej chwili nie ugiął karku, zapewne jego czaszka rozbiłaby się o głązy jak jajko. Pałasz wypadł mu z dłoni. Zaczął macać na oślep, szukając брони, równocześnie starając się wyrwać z uścisku potwora.

Bestia zaczęła wlec barbarzyńcę w stronę łapczywie rozwartej paszczy. Sączące się z niej pasma czarnego śluzu skwierczały w zetknięciu z podłożem. Grube fałdy skóry powyżej gęby rozstały się, ukazując pojedyncze czerwone ślepie, większe od głowy Conana. Czarna, pionowa żrenica utkwiała w Cymmerianinie spojrzenie świadczące o demonicznej inteligencji.

Conan rozpaczliwie starał się dosięgnąć pałasza znajdującego tuż poza zasięgiem ręki. Zahaczył się wolną nogą o występ w ścianie, daremnie próbując uniemożliwić potworowi wciągnięcie go w ociekającą śluzem paszczę. Usiłował znaleźć oparcie dla rąk, lecz jego palce bezsilnie przesuwali się po oślizgłych kamieniach. Zdesperowany namacał spory głąz i cisnął go z furją w rozwarte ślepie bestii. Pocisk trafił w wielkie oko z głośnym plaśnięciem i pograżył się we łbie potwora. Śmiertelnie zranione monstrum zwinęło się konwulsyjnie, wymachując mackami we wszystkie strony.

Bestia nie puściła jednak uwiecznionej nogi Conana, a nawet wzmogła ucisk, aż zatrzeszczały kości. Potwór dźwignął Cymmerianina i zaczął tłuc nim o dno kanału. Ściany tunelu zatrzęsły się od przedśmiertnych drgawek bestii. Ze sklepienia runęły zwały ziemi, kamieni i kości, przysypując konające monstrum. Uścisk na nodze Conana zelżał stopniowo, a w końcu macka odpadła bezwładnie.

Łapczywie chwytając dech, Cymmerianin odpełznął od martwej bestii, która o mało nie pozbawiła go życia. Jego noga jakimś cudem nie była złamana, czuł w niej bolesne mrowienie powracającego krążenia. Zawalenie się sklepienia tunelu sprawiło, że do wnętrza wpadałoienne światło. Barbarzyńca zobaczył, że na tułowiu i nodze ma dziesiątki czerwonych kręgow, pozostawionych przez przyssawki. Na całym ciele miał otarcia po ostrych jak tarka szczecinkach na mackach. W pasie czuł taki ból, jak gdyby został rozdarty w pół. Podejrzewał, że pobyt na kole tortur nie zadałby mu tylu cierpień, co zetknięcie z niesamowitym mieszkańcem kanałów. Po uderzeniach o podłoże tunelu zostały mu olbrzymie sińce.

Cymmerianin podniósł pałasz i powoli wyprostował się, oszczędzając pulsującą bólem nogę. Stwierdził, że w sklepieniu powstał otwór wystarczająco szeroki, by się przez niego przecisnąć. Jakimś cudem strop nie zawalił się zupełnie, grzebiąc go razem z potworem. Osobliwa konstrukcja kanału okazała się zadziwiająco solidna. Conan zobaczył, że od powierzchni dzieli go kilka pięter wspinaczki, lecz dla cymmeriańskiego górala nie był to duży kłopot. Barbarzyńca zaczął się wspinać ostrożnie, by nie dopuścić do dalszego osunięcia się ścian szybu. Wierzył swojemu szczęściu, że na powierzchni nie czekają na niego strażnicy. Potyczka z potworem była wystarczająco hałaśliwa, by na górze zebrała się gromada ciekawskich. Conan był tak poobijany, że nie powinien nadawać się do żadnej walki, lecz jego zwierzęca żywotność pozwoliła mu przygotować się zawczasu do tego, co mogło go spotkać na zewnątrz. Wspinaczka zajęła więcej czasu, niż się spodziewał. Utrudniało ją osypywanie się ścian szybu. Kilkakrotnie barbarzyńca osuwał się kilka łokci w dół, nim zdolał się czegoś uczepić. W końcu jego upór został nagrodzony i dotarł do powierzchni. Natychmiast dostrzegł, że słońce znajduje się znacznie niżej, niż podejrzewał. Musiał stracić rachubę czasu. Wędrówka kanałami zabrała mu cały dzień. Wycucie kierunku posłużyło mu lepiej — znajdował się w ustronnym zakątku królewskich ogrodów, a pałac wznosił się zaledwie kilkaset kroków dalej.

Conan ukrył się w kępie starannie przyszyronych iglastych drzewek i bacznie rozejrzał, by

Moore Sean U - Conan niezłomny

zorientować się, czyjego pojawienie się zostało przez kogoś dostrzeżone. Wszędzie panował spokój. W oddali widać było paru wartowników snujących się leniwie przed portykiem pałacu. Po przeciwnej stronie wznosiły się zewnętrzne, pałacowe mury, co najmniej trzykrotnie wyższe od Conana i wystarczająco szerokie, by mogło po nich iść dwóch ludzi obok siebie. Conan zmarszczył brwi, uświadomiwszy sobie, że oto znalazł się w kolejnej pułapce. Musiał gdzieś przeczekać do zachodu słońca. Pokrywające barbarzyńcę błoto i zasychający szlam mogły upodobnić go do szaroburego głazu.

Cymmerianin wpadł jednak na lepszy pomysł. Niecałe pięćdziesiąt kroków od kępy, w której się zasył, stał załadowany sianem, nie pilnowany wóz. Conan postanowił podkraść się tam i zakopać w sianie. Spomiędzy szczelbi drabiniastego boku miałby doskonały widok na frontowe wejście do pałacu. Cymmerianin liczył, że Hassem nie zjawił się jeszcze po nagrodę. Za sprawą ostatnich przejść gniew na zamoriańskiego łotra co najmniej się podwoił.

Najbardziej ukradkowo jak potrafił, Conan ruszył w stronę wozu. Pochylał się jak najniżej, by nie dostrzegli go strażnicy stojący pod bramą pałacu. Na koniec rzucił się szczupakiem na wóz i błyskawicznie zagrzebał w sianie.

Chwilę po tym, gdy znalazł się na wozie, prowadząca do miasta żelazna brama stanęła otworem. Do środka wjechał oddział straży miejskiej wraz z kilkoma kapłanami Mitry. Grupa ta przejechała spieszenie wprost pod wejście do królewskiej siedziby i natychmiast została wpuszczona do środka. Zaraz potem z gmachu wybiegł goniec. Conan poczuł, że dzieje się coś niezwyklego.

Jak gdyby potwierdzając ten wniosek, z pałacu wyszła kolejna grupa kapłanów w nieznanych Cymmerianinowi ciemnozielonych szatach, przybranych zagadkowymi symbolami. Świątobliwi mężowie dyskutowali głośno i gorączkowo gestykulowali. Gdy byli już blisko bramy, zostali niemalże stratowani przez samotnego jeźdźcę na wielkim, czarnym koniu. Nowoprzybyły miał na sobie wypolerowany napierśnik oraz ciemne, skórzane bryczesy. Jego ciemnoczerwona peleryna furkotała w pędzie jak flaga na wietrze. Ponieważ jeździec nie miał hełmu, widać było, że jego włosy przetyka siwizna. Dłońmi w żelaznych rękawicach pewnie dzierżył wodze spienionego rumaka. Godło na napierśniku mężczyzny było identyczne jak na tarczach strażników.

Jeździec bezceremonialnie roztrącił kapłanów i pocwałował wprost do pałacu. Gdy wyniosły rycerz zniknął w królewskiej rezydencji, Cymmerianin wrócił do obserwowania bramy. Przez kilka następnych godzin przejechało przez nią wielu ludzi, lecz po początkowym zamieszaniu nie działo się już nic niezwyklego.

Nadszedł zmierzch. Pałacowy ogród zasnuwały długie cienie. Conan zaczynał dochodzić już do wniosku, że Hassem się nie zjawi, lecz jeszcze raz spojrzął na drogę do pałacu i gorączkowo zacisnął zęby. Przez bramę wmaszerował oddział strażników, prowadzony przez kapitana Salvorusa. Obok niego szedł obiekt łowów Cymmerianina — zdradziecki Zamorańczyk Hassem. Conana zaświerzbiała ręka, by natychmiast wbić pałasz we flaki tego zrobaczywałego łotra, lecz opanował się i czekał cierpliwie. Był pewien, że Hassem nie zabawi długo w pałacu i zamierzał ruszyć jego śladem, gdy tylko Zamorańczyk stamtąd wyjdzie.

Wówczas Conanowi przyszedł do głowy nowy pomysł. Gdyby miał na sobie strój i hełm strażnika, mógłby podążyć za Hassemem. Jedyne kłopot polegał na zdobyciu wystarczająco dużego przebrania. Conan ześliznął się ostrożnie z wozu, wczółgał pod niego i przyczał. Czas mijał, lecz wciąż nie trafiała się żadna okazja.

Nagle barbarzyńca dostrzegł ruch kątem oka. Do wozu zbliżał się prowadzący konia mężczyzna. Sądząc po ubłoconym ubraniu, był to ogrodnik lub dozorca. Mężczyzna ten przypominał Cymmerianina wzrostem i budową ciała. Uśmiechnąwszy się, barbarzyńca postanowił wprowadzić zmianę do swego planu. I tak po wędrowce w kanałach wyglądał bardziej na ogrodnika niż strażnika.

Mężczyzna zaczął zaprzęgać konia do wozu, odwrócony tyłem do skradającego się Cymmerianina. Conan przemknął bezszelestnie i chwycił zaskoczonygo mężczyznę. Dłonią zakrył ogrodnikowi usta i powalił na ziemię, chcąc pozbawić go przytomności. Mężczyzna wywinął się jednak zręcznie i Cymmerianin również runął twarzą w pył. Orodnik pierwszy zerwał się z ziemi i zaczął gorączkowo nawoływać strażników.

— Na Crom! — zaklął Conan, wypluwając z ust żdźbła trawy. Otoczył ramieniem nogi wrzeszczącego ogrodnika i szarpnął. Krzykacz runął na ziemię, trafiając po drodze podbródkiem w dyszel. Conan poderwał się na równe nogi i wyciągnął pałasz, szykując się, by stawić czoło nadbiegającym wartownikom. Wtem wystraszony koń rzucił się prosto w ich stronę. Burta wozu zawadziła o ramię Cymmerianina, wytrącając mu broń z ręki i powalając na ziemię.

Sięgając po upuszczony pałasz, Conan przypadkowo trafił stopą w ześlizgującą się z orczyka pętlę uprzęży, która natychmiast zacisnęła się na jego kostce. Spłoszony koń powłókł Cymmerianina za sobą.

— A niech cię Set porwie, bydlaku! — wrzasnął barbarzyńca, nim zderzenie z murawą pozbawiło go tchu.

Zapomniawszy o broni, włożył wszystkie siły w niemal beznadziejne zadanie uwolnienia kostki z upręży spłoszonego konia. Rozpędzające się zwierzę wlokło barbarzyńcę przez bezlitosny tor przeszkód, składający się z krzewów, kamieni i ogrodowych ławek. Zdawało się, że nic nie powstrzyma go w biegu przez pałacowy ogród. Cymmerianin odnosił wrażenie, że jego stopa lada chwila zostanie urwana. Zdawał sobie sprawę, że nawet on nie wytrzyma długo tak srogiej przeprawy. Desperacko wyciągał rękę w stronę pętli i na wprost siebie ujrzał szereg posadzonych w równej odległości drzew. Rozpędzony koń nie skręcił, lecz pobiegł wprost w odstęp między dwoma pniami.

Conan gwałtownie wygiął się w górę, wyciągnął ramiona i kurczowo uczeplił się drzewa. Koń stanął jak wryty, ale wszystkie mięśnie i stawy Cymmerianina dosłownie zawyły z bólu.

Barbarzyńca rzucił całą moc wszystkich mięśni do walki z siłami pociągowego zwierzęcia.

Gdyby rzemienna pętla nie pękła pierwsza, impet konia rozdarłby Conana na kawałki.

Wyczerpany Cymmerianin zwałił się na ziemię. Przywołując ostatnie zasoby sił, podniósł się chwiejnie. Miał trudności z utrzymaniem ciężaru ciała na skręconej kostce. Zataczając się jak pijany, usiłował zawrócić w stronę wozu, przy którym leżał jego pałasz. Oczy przesłaniała mu coraz gęstsza czerwona mgła. Po chwili zdał sobie sprawę, że to krew spływająca na oczy z pokaleczonego czoła.

Otarcie twarzy pozwoliło przejrzeć mu na czas, by zobaczyć rozwścieczonego ogrodnika biegnącego nań z groźnie zaciśniętymi pięściami. Conan zastawił się ramieniem, lecz kończyły ciężyły mu jak bryły granitu. Jego odruch okazał się znacznie spóźniony. Ogrodnik uniósł wielką jak kafar pięść i dzielił nią Cymmerianina w twarz. Pod nieprawdopodobną siłą ciosu szczęki Conana kłapnęły donośnie, a tułów przegiął się w tył. Barbarzyńca padł z łomotem na twardą ziemię. Jego świadomość ogarnął mrok.

6. TRUCIZNA I ZDRADA

Hassem siedział w kunsztownie rzeźbionym fotelu w kwaterze Valtreski w pałacu królewskim. Pocił się obficie, podczas gdy generał krążący po pokoju jak lew w klatce łajał go i wyklinął:

— Hassem, ty chciwy głupcze! Mówiłem ci, żebyś sprzedał te błyskotki nie tutaj, ale w Shadizar, gdzie nikt nie domyśliłby się ich pochodzenia! Zamiast tego przehandlowałeś jedną z bransolet barbarzyńcy i próbowałeś bez mojej wiedzy zgarnąć nagrodę! Powiedziałaś mi, że opuścisz Pirogię dwa dni temu. Wiem, jacy kłamliwi potrafią być zamorańscy złodzieje, ale nie podejrzewałem, że pazerność weźmie u ciebie górę nad rozsądkiem!

— Czcigodny generale, źle odczytujesz powody, którymi się kierowałem — zaczął przymilnie Hassem, obmyślając jednocześnie plan dający mu szansę wywinąć się z tarapatów. Zamierzał opuścić stolicę poprzedniej nocy, lecz bramy miejskie zamknięto, by Cymmerianin nie wymknął się z Pirogii, a Salvorus powiedział Zamorańczykowi, że nagrodę może odebrać dopiero następnego dnia. Hassem odchrząknął i kontynuował spokojniejszym tonem:

— Dostarczyłem ci kozła ofiarnego, panie. Nikt nie ma wątpliwości, że ten barbarzyńca jest winny, nawet Salvorus. Conan nie znajdzie świadków swojej niewinności. Upewniłem się, że będzie się doskonale nadawał do swej roli. Inaczej śmierć królowy pozostałaby nie wyjaśniona. Byłaby to plama na twojej nieskazitelnej reputacji, generale. Za moje usługi należą mi się zatem przynajmniej pieniądze z nagrody. Potem wrócę do Shadizar. Oczywiście, w jednym masz rację, panie: nie jestem tak głupi, by próbować cię oszukać. Sądziłem, że będziesz mi wdzięczny za ostatnie posunięcie, wieńczące tak doskonale opracowany przez ciebie plan.

— Hassem, jesteś zabawny, nawet gdy kłamiesz — Valtreska zaśmiał się, a mars zniknął z jego czoła. — Podziwiam twoją zaradność, ale ostrzegam cię, że czymkolwiek będziesz zajmować się w przyszłości, najpierw poradź się swoich mocodawców. Dzięki temu żyjesz dłużej — generał przestał się śmiać. Podeszedł do wysokiego, dębowego kredensu z kryształowymi okienkami i wyjął stamtąd zakurzoną butelkę wina oraz srebrne kielichy. Z szafki obok kredensu wziął niewielką sakiewkę.

— Dosyć tej kłótni, dobrze się spisałeś. Wzniesmy toast za śmierć tego cymmeriańskiego obwiesia najwspanialszym winem z Kyros. Wyświadczyłeś Brythunii wielką przysługę. Król pewnie osobiście złożyłby ci podziękowania, gdyby lepiej się czuł... — w oczach generała zamigotał ironiczny błysk. Nalał wina i podał jeden kielich Zamorańczykowi. Hassem obrzucił naczynie podejrzliwym spojrzeniem, lecz Valtreska, nie bacząc na to, wychylił duszkiem zawartość własnego i zawołał: — Za śmierć dzikusa, który zamordował królowę! Odprężając się, Hassem upił duży łyk, a potem jeszcze większy. Bez wątpienia miał do

czynienia z wyśmienitym napojem, pochodzącym z krainy słynącej z przednich winnic.

Valtreska uśmiechnął się z zadowoleniem i rzucił sakiewkę na posadzkę koło fotela Hassema. Rozległ się brzęk i rozsypały się złote monety. Zamorańczyk przyklęknął, by je pozbierać, wtem zakrzuszył się i chwycił za gardło, upuszczając kielich z dłoni.

— B... brythuński p... psie! — wystękał, sięgając niemrawo po sztylet.

Nim zdołał zacisnąć na rękojeści słabnącą dłoń, Valtreska wy dobył miecz i podszedł do niego.

W tym momencie rozległo się głośnie pukanie.

— Generale? Usłyszałem odgłosy walki?... — rozległ się głos Salvorusa.

Valtreska zareagował błyskawicznie. Ciężkim butem kopnął w twarz zwijającego się na posadzce złodzieja. Ze zmiażdżonych ust Hassema trysnęła krew, posypały się wyłamane zęby. Zamorańczyk stracił przytomność.

— Salvorusie! — wykrzyknął generał, udając wzburzenie. — Ten szubrawiec przyznał się właśnie, że był współnikiem Cymmerianina! Wydał Conana, ponieważ pokłócili się przy podziale klejnotów królowny. Ten szubienicznik usiłował ugodzić mnie nożem!

Zabierz łotra do lochu, jeżeli jeszcze żyje i każ go zakuć w łańcuchy. O świcie katowski topór spadnie na dwa karki!

Valtreska uśmiechnął się pod wąsem. Był pewny, że ostatni człowiek, który mógł ujawnić jego udział w zamordowaniu królowny, umrze następnego dnia o świcie, o ile trucizna nie zadziała wcześniej. Szkoda tylko, że Zamorańczyk nie wypił wina do końca... Spojrzał z irytacją na swoje buty. Zbrukały je plamy krwi Hassema. Z pogardą wytań je o tunikę nieprzytomnego złodzieja. Ten łotr był naprawdę głupi, próbując go oszukać. Valtreska płacił szczerze Hassemowi za szpiegowanie Lamiciego. Chciał mieć pewność, że eunuch pozbędzie się ciała królowny zgodnie z poleceniami i nie zdradzi generała.

W przeszłości Valtreska wykorzystywał Hassema w wielu podobnych sytuacjach. Na Zamorańczyku można było dotąd polegać. Zapłata za śledzenie eunucha miała być bransoleta i amulet królowny, pod warunkiem, że złodziej sprzeda ją w Shadizar — stolicy swego kraju.

Kiedy Valtreska dowiedział się, że Hassem z chciwości złamał umowę, natychmiast zdał sobie sprawę, że musi na wsze czasy uciszyć zdradliwego Zamorańczyka.

Generał w milczeniu patrzył, jak Salvorus pochyla się nad leżącym bezwładnie złodziejem.

Zwalisty kapitan obłuskał Zamorańczyka z sztyletów, w które ten szczerze wyposażył wszystkie zakamarki swej szaty, po czym dźwignął go z ziemi.

Salvorus był zdziwiony, słysząc, że Cymmerianin był w zmoiwie z Hassemem. W jeszcze większe zdumienie wprawiał go fakt, iż Hassem okazał się na tyle głupi, że rzucił się na generała w jego własnej kwaterze. Kapitan uznał jednak, że nie zna się na zwyczajach Cymmerian i Zamorańczyków. Podczas służby w stolicy zdążył naoglądać się mnóstwa nedorzecznych postępów. Wzruszywszy ramionami, wziął Zamorańczyka pod pachę.

Czekała go teraz wyprawa do pałacowych lochów. Salvorus unikał schodzenia do cuchnących podziemi, jeśli nie był osobiście odpowiedzialny za trafiających tam więźniów. Zaledwie godzinę temu zawiókł Conana do jednej z zagrybionych cel i przykuł go łańcuchami do ściany. Wzrost i budowa barbarzyńcy wzbudziły w nim podziw. Zaiste, Cymmerianie stanowili krzepki lud!

Jeszcze nigdy Salvorus nie spotkał człowieka silniejszego od siebie. Swoją żołnierską sławę zawdzięczał między innymi wyczynom, przekraczającym siły większości śmiertelników. Jego ojciec był kamieniarzem. Salvorus często pomagał mu przy przecinaniu wielkich skalnych bloków, przenosił je lub szlifował. Dorastając, cały czas pracował w kamieniołomach oraz warsztatach kamieniarskich. Potem zasmakował w żołnierskim rzemiośle i walce z mieczem w dłoni. Chciał walczyć jak najdłużej. Ryzyko sprawiało, że czuł, że żyje.

Schodząc do pałacowych lochów z przerzuconym przez ramię Hassemem, kapitan doszedł do wniosku, że zgoda na przeniesienie do stolicy była omyłką. Marzył, by udowodnić, że nadaje się do dowodzenia wojskami jako generał. Na razie jednak mógł tylko wpajać służącym w straży miejskiej ciemniom podstawowe zasady musztry i dyscypliny. Zależało mu, by jego podwładni poznali przynajmniej podstawy żołnierskiego rzemioła.

Salvorus był tak pochłonięty własnymi myślami, że nie dostrzegł, iż Hassem odzyskuje przytomność. Kapitan, wchodząc na schody wiodące do podziemi, zarzucił sobie Zamorańczyka na ramię. Teraz przytrzymał pewnie jedną ręką nogi Hassema, podczas gdy tułów, ramiona i głowa więźnia zwiślały mu za plecami. Zamorańczyk oddychał z trudem, bowiem trucizna wciąż krążyła w jego żyłach. W dźwiękach pulsowało mu nieznośny ból, a usta wypełniał smak krwi. Poruszywszy językiem, Hassem wyczuł kilka szczerb po wyłamanych zębach. Zaryzykował rozejrzenie się dookoła i zorientował się, że jest znoszony do lochów pod pałacem. Kilka lat temu zdołał z nich uciec lecz dokonał tego z pomocą z zewnątrz.

Zorientował się, że odebrano mu sztylety, lecz dostrzegł ich rękojeści, wystające z sakwy przy pasie niosącego go mężczyzny. Gdyby zdołał dosięgnąć któregoś z nich, wbiłby go strażnikowi

między łopatki i spróbował odnaleźć drogę, którą niegdyś wymknął się z podziemi. Na razie postanowił udawać nieprzytomnego i zbierać siły do jednego bezlitosnego ataku. Skupił spojrzenie na jednym ze sztyletów, który nazywał „czarnym smokiem”, ponieważ jego ostrze było namaszczone pastą z liści czarnego lotosu. Jedno zadrapanie wystarczyło, by pozbawić życia silnego mężczyznę. Hassem uśmiechnął się ponuro, stwierdzając, że Valtreska nie wybił mu wszystkich zębów. Niedługo generał przekona się, że Zamorańczyk może jeszcze kąsać...

Nieświadom zagrożenia ze strony niesionego człowieka, Salvorus kontynuował wędrówkę po podziemiach. Korytarze lochów oświetlone były z rzadka rozstawionymi, ledwie tłącymi się lampkami. Salvorus znał tajemnicę poruszania się labiryntem korytarzy. Służyły do tego znaki na lampkach, naśladujące część ornamentów. Silny odór dał znać kapitanowi, że zbliża się do cel więźniów. Skręciwszy za róg, Salvorus znalazł się na miejscu.

Małe cele znajdowały się po obu stronach korytarza. Były ciasne i wąskie, mogły pomieścić najwyżej sześciu więźniów. Prowadzący między nimi korytarz miał zaledwie dwa kroki szerokości. Conan znajdował się w pierwszej celi. Kapitan zobaczył przez kraty, że barbarzyńca ciągle zwisa na łańcuchach umocowanych do ściany. Salvorus wybrał z pęku klucz pasujący do celi. Zanim zdążył obrócić go w zamku, poczuł przenikliwe ukłucie powyżej biodra.

— Na brodę Erlika! — krzyknął z bólu i wypuścił Hassema z rąk. Sięgnąwszy do boku, namacał sterczący zeń wąski sztylet. Wyekłął swą nieuwagę. Po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni nie docenił przeciwnika! Rycząc z wściekłości, wyciągnął miecz i zamierzył się do morderczego cięcia w kark leżącego na ziemi złodzieja.

Śmiercionośny cios zamarł w pół ruchu. Salvorus padł na ziemię jak zdzielony obuchem. Hassem dźwignął się niepewnie na nogi. Ledwie mógł chodzić. Cios sztyletem wyczerpał cały zapas energii, jaki zdołał zebrać. Mimo że nie trafił tam, gdzie chciał, wąskie jak igła ostrze przemknęło pomiędzy ogniwami kolczugi przeciwnika. Dopiero teraz Zamorańczyk dostrzegł, że jest to kapitan Salvorus.

Hassem podszedł do leżącego bezwładnie żołnierza i wyciągnął zatruty sztylet z jego boku. Za sprawą czarnego lotosu Salvorus pograżał się we śnie, z którego miał się już nigdy nie obudzić. Hassemowi pozostała do zrobienia jedna rzecz. Musiał stworzyć wrażenie, że to Conan walczył z Salvorusem i zadał mu śmiertelne pchnięcie. Najlepiej by nadzorca lochów znalazł dwa trupy ze sztyletami w dłoniach. Złodziej obrócił klucz w zamku i wszedł do celi.

Odgłosy walki przywróciły Conanowi przytomność. Hassem z zadowoleniem stwierdził, że przewleczone przez żelazne pierścienie łańcuchy uniemożliwiają barbarzyńcy choćby najmniejsze poruszenie. Conan wyglądał marnie. Był pokryty zaschniętym brudem, pod którym można było dojrzeć niezliczone sińce i zadrapania. Mimo to Zamorańczyk zbliżył się do niego ostrożnie.

— Znowu się spotykamy, głupi dzikusie — rzekł szyderczo. Jego zazwyczaj głęboki, dźwięczny głos przypominał teraz gardłowe charczenie. — Tym razem będę miał przyjemność osobiście pośłać cię do piekła, czy gdziekolwiek, gdzie trafiają dusze barbarzyńców — kontynuował z uciechą. — Dokończę to, co zacząłem, przekonując tego tępaka — wskazał rozciągniętego na korytarzu Salvorusa — że królowna zginęła z twojej ręki. Szkoda, że nie wie, że za jej śmiercią stoi jego ukochany generał!

Zaniósł się chrapliwym, urywanym śmiechem, zakrzuszył i splunął Conanowi w twarz krwią i odłamkami zębów. Cymmerianin bezsilnie szarpnął się w łańcuchach. Był zbyt osłabiony, by je rozzerwać. Mimo to wzięt głęboki wdech i napiął mięśnie z całych sił. Wężlaste mięśnie nabrzmiały na jego ramionach i nogach, lecz łańcuchy nie puściły.

— Niech cię Crom zadcpcze, zamorański szczurze! Choćbyś mnie wysłał do piekła, ścierwo, wiedz, że będę tam na ciebie czekał!

Skończywszy kłąć, zaczerpnął tchu i jeszcze raz spróbował zerwać łańcuch. Hassem przysunął się do niego, unosząc nóż. Postanowiwszy wyprać trzewia z odsłoniętego brzucha Cymmerianina, opuścił nieco sztylet.

— Twoja śmierć będzie powolna i bolesna, barbarzyńskie łajno... uuugh!!!

Conan zobaczył ze zdumieniem, jak Hassem pada twarzą w dół na posadzkę celi. Między łopatkami złodzieja sterczał wbity po rękojeść ciężki nóż do miotania. Przy upadku Zamorańczyk nadział się na własny zatraty sztylet. Cienkie ostrze przebiło skórę tuż obok trzonka drugiego noża.

W progu celi klęczał Salvorus z wciąż wyciągniętym ramieniem. Uczepił się kraty i powoli podniósł z podłogi. Był pewny, że Zamorańczyk użył zatrutej broni, czuł, jak trucizna pali go żywym ogniem. Salvorus nie wiedział, jaki jad krąży w jego żyłach, lecz jego moc była znaczna. Kapitan usiłował nie poddawać się, lecz nie wiedział, na jak długo starczy mu sił.

— Na Cromie i Mitre! — wykrzyknął Conan, widząc, że to Salvorus uratował mu życie. —

Niezgorszy rzut! Nie liczyłem na kolejne spotkanie, ale witam cię ze szczerą radością, Salvorusie!

Zobaczył, że kapitan ma trudności z utrzymaniem się na nogach. Dopiero teraz dostrzegł krew na kolczudze kapitana.

— Conanie... — przemówił Salvorus. — Wierzę teraz, że jesteś niewinny... W pałacu doszło do podłej zdrady! Nie mogę dać wiary, że generał Valtreska spiskuje przeciw królowi... — kapitan wypowiadał kolejne słowa nierównym, pełnym cierpienia głosem. — Muszę donieść o tym Eldranowi... — urwał, jak gdyby zapomniał, o co mu chodziło — ... uwolnię cię i zabiorę do króla i Kailasza...

Słabnącymi rękami Salvorus wziął klucze i otworzył kajdany na jednej z kostek Cymmerianina. Zmrużył oczy i potrząsnął głową, chcąc przywrócić sobie ostrość wzroku, po czym zaczął otwierać okowy na drugiej stopie Conana. Dopiero wtedy śmiertelny jad z odległego Khitaju odebrał mu resztę sił. Zwykły mężczyzna zginąłby od razu, lecz Salvorus miał takie same zapasy żywotności jak Cymmerianin.

Conan przeklął zły los. Jedyne człowiek, który mógł uwolnić go od niesłusznego oskarżenia o zbrodnię, konał właśnie na posadzce lochu. Nawet klucze w wyciągniętej ręce kapitana znajdowały się poza zasięgiem Cymmerianina.

Salvorus zdołał przynajmniej rozkuć jedną nogę Conana. Barbarzyńca zgiął ją w kolanie i z całej mocy zaparł się o mur. Bolało go całe umęczone ciało, lecz wiedział, że nie wolno mu zrezygnować. Po paru minutach, które zdawały się godzinami, poczuł, jak kruszy się zaprawa którejś z cegieł. Conan ciągnął dalej, skupiwszy wszystkie siły na tej jednej bryle kamienia. W końcu chrobocząc wysunęła się ze ściany.

Miał teraz całkowicie wolną nogę i częściowo rękę. Wyrwanym kamieniem zaczął tłuc w okowy na drugiej nodze. Parę razy trafił w stopę, zamiast w żelazo. Zaciśnięwszy zęby z bólu, nie ustawał, aż żelazo nie puściło. Kamień wyszczerbił się i popękał. Conanowi zostało teraz uwolnić drugą ręką. Szarpnął za ostatni wpuszczony w ścianę żelazny pierścień. Okazało się, że zaprawa jest zbyt solidna. Zaczął uderzać w ścianę wokół niego resztką kamiennej cegły.

Niespodziewanie żelazny pierścień odłamał się od muru i Conan runął na podłogę celi.

Chwycił klucze, rozkuł się do końca i nachylił, by sprawdzić, czy Salvorus jeszcze żyje. Pierś kapitana unosiły płytkie oddechy. Cymmerianin oderwał kawałek tkaniny od bluzy Hassema i wepchnął ją pod kolczugę kapitana, by zatamować krwawienie. Skraj rany przybrał okropną, purpurowoczarną barwę. Pozostawienie Salvorusa w celi oznaczało skazanie go na śmierć.

Cymmerianin pomyślał, że spróbuje namówić Madesusa, by zaopiekował się kapitanem.

Rozważywszy wszystkie możliwości, Conan postanowił w końcu uciekać, nie obciążając się masywnym ciałem nieprzytomnego kapitana. Musiał szybko sprowadzić tu Madesusa!

Zabrawszy klucze i miecz Salvorusa, Conan wyszedł z celi i rozejrzał się w obie strony. Był nieprzytomny, kiedy zniesiono go do celi, dlatego nie wiedział, w którą stronę powinien ruszyć. Wybrał kierunek, z którego nadeszli Salvorus i Hassem. Nie minęło wiele czasu, a zorientował się, że korytarze lochów celowo wielokrotnie zakręcają i rozwidlają się, tworząc labirynt. Na szczęście niektóre rozgałęzienia oświetlały lampki i Cymmerianin posuwał się od jednego światełka do drugiego.

Mimo to musiał zachować wyjątkową ostrożność, by nie zgubić się w labiryncie. Czasu było za mało. Usiłując wymyślić sposób wydostania się z lochów, dostrzegł na kamieniach podłoga niewielką płamę. Umoczył w niej palec i zbliżył do latarni. Była to świeża krew. Conan przypomniał sobie, że Hassem krwawił, kiedy wniesiono go do celi. Podły złodziej mimowolnie oznaczył Cymmerianinowi drogę ucieczki.

Conan odprężył się nieco. Z dłonią na rękojeści miecza ruszył szkarłatnym śladem.

7. WIDOK W ZDROJU

Drżący Madesus położył inkrustowaną klejnotami bransoletę na skraju grubo ciosanego stołu w swojej zakonnej celi i przetarł zaczerwienione z niewyspania oczy. Od chwili, gdy po raz pierwszy dotknął bransolety, dręczyły go we śnie niepokojące wizje, jednak po przebudzeniu nie mógł przypomnieć sobie ich treści. Ubiegłej nocy postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o jej pochodzeniu. Conan twierdził, że nie zna historii ozdoby i Madesusowi nie pozostawało nic innego, jak odprawić wieszczę rytuał, by ujrzeć prawdziwą naturę zła, którego ślady zachowały się na bransolecie.

Od zachodu do wschodu słońca Madesus wyśpiewywał zaklęcia, paląc na trójnogu roztaczające kwaśną woń liście maljorny — drzewa poznania. Jako młody akolita Madesus zastanawiał się niekiedy, czy Pan Światła był obdarzony poczuciem humoru. Tylko tak można było wyjaśnić fakt, że Mitra wybrał na swoje święte drzewo maljornę o woni gorszej od

krowiego nawozu! Dlaczego nie nakazał swoim wyznawcom korzystać z innej rośliny, obdarzonej przyjemniejszym aromatem i równie skutecznej? Oczy kapłana łzawiły od kwaśnego dymu, odczuwał zawroty głowy. Na domiar złego wieszczy rytuał okazał się całkowicie nieskuteczny. Znużony Madesus rzucił się w końcu na trzeszczącą pryczę, modląc się, by tym razem dany mu sen był spokojniejszy. Zamknął oczy, zaczął równo oddychać i po chwili zasnął. Obudził go skrzyp otwieranych drzwi. Natychmiast wstał. Na widok przybysza zaszcło mu w gardle, a jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Był to jego dawny nauczyciel, Kaletos.

— Mistrzu! Wspaniale cię znów widzieć po tylu latach! Niedawno rozważałem, czy nie wrócić do Koryntii, by sprawdzić, co się z tobą dzieje. Wyglądasz na równie zdrowego, jak za dawnych czasów. Wiek okazał się dla ciebie łaskawy.

— Madesusie!

Starzec stojący w progu miał na sobie obszerne, białe szaty. Mówił głębokim głosem, zaostrzonym nieco przez podeszły wiek. Jego kontrastujące z bladą cerą świetliste oczy miały szmaragdową barwę. Był łysy, za wyjątkiem paru kępek siwych włosów nad uszami. Na szyi nosił amulet podobny do talizmanu Madesusa — siedmioramienną, srebrną gwiazdę z osadzonym w środku szlifowanym ametystem. Starzec wspierał się na kosturze przypominającym laskę jego ucznia, lecz znacznie bardziej wykrzywionym od długiego używania.

— Mistrzu? — rzekł z wahaniem młodszy mężczyzna.

— Wybacz mi, Madesusie, że zjawiam się bez uprzedzenia. Zimny księżyc, domena Derketo, sześćdziesiąt razy znalazł się w pełni od czasu naszego rozstania, a teraz jak widzę zmartwienie znaczy twą brew. Co cię trapi, przyjacielu?

Madesus wciąż oszołomiony po nagłym przebudzeniu nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia wywołanego widokiem dawnego nauczyciela. Zdołał wreszcie zebrać myśli i odparł:

— Przez kilka ostatnich nocy źle spałem, mistrzu. Obawiam się, że w tym mieście podnosi głowę prastare zło. Ten przedmiot... — wskazał inkrustowaną klejnotami bransoletę na stole — ...w jakiś sposób jest z nim związany. Modliłem się przed zaśnięciem do Mitry o wskazówki, lecz Pan Światła widocznie nie uznał mnie godnym. Niezwykłe i wspaniałe zrządzenie losu sprawiło, że znalazłeś się w Pirogii w godzinie potrzeby. Mimo to nie śmiem narzucać się ci z prośbą o wsparcie w moim trudnym położeniu. Jak potoczyły się twe losy przez ostatnie trzy lata, mistrzu? Co się dzieje w Koryntii?

— Brzemie lat przygniata me barki, Madesusie. W naszej świątyni dzieje się dobrze, lecz nim Mitra wezwie mnie do siebie i da odpoczynek moim znużonym kościom pragnąłem dowiedzieć się, jak radziłeś sobie po naszym rozstaniu. Byłeś moim najlepszym adeptem, dlatego nałożyłem na ciebie największy ciężar. Obrąłeś niełatwy szlak. Sam podążałem nim przez wiele lat, nim Mitra w swej nieskończonej mądrości skierował me kroki do świątyni w Koryntii, gdzie wprowadziłem cię w tajniki prastarego i sekretnego Zakonu Xuoquelosa. W swoim czasie przekazesz je komuś innemu, jak dzieje się to od niezliczonych stuleci. Jesteś ostatnim z Zakonu, który strzeże Ziemi od czasów Cesarstwa Lemuriańskiego. Wyroki boskie sprawiły, że trafiłeś właśnie tutaj. Odrzuć zatem wątpliwości, czy godzien jesteś sprostać wyzwaniu. Podaj mi bransoletę! Unieśmy zasłonę, kryjącą przed nami oblicze zła. Niech ta podłoga posłuży za źródło, z którego z wolą Mitry wytryśnie upragniona przez nas wiedza. Przygotuj się do Rytuału Zdroju! Madesus wziął ze stolika gliniany dzbanek z wodą i zaczął rozlewać ją na podłogę tak, by powstała owalna kałuża o średnicy dwóch kroków. Gdy skończył, odstawił dzban, ujął bransoletę i podał ją Kaletosowi. Starzec przyjrzał się jej dokładnie, a następnie przymknął oczy, marszcząc z zadumą czoło. W chwilę później dookoła jego dłoni pojawił się srebrzysty nimb. Poświata stopniowo objęła bransoletę i ramię Kaletosa. Równocześnie jego amulet rozjarzył się jaskrawo. Stożek białego światła padł z ametystu na rozlaną wodę, nad którą natychmiast uniosły się kłęby pary.

— Wejrzyj w źródło! — wykrzyknął Kaletos. — Spoglądaj weń ostrożnie, bo wizje, jakie w nim ujrzysz, mogą zwieść człowieka na manowce nieprawości!

Przez opończę pary Madesus dostrzegł na powierzchni wody prastarą kamienną budowlę. Widział ją tak, jakby znajdował się przed nią. Po chwili w źródle ukazało się wnętrze gmachu. Madesus poznał po wystroju, że jest to jakaś świątynia.

Po chwili powierzchnia źródła zmętniała ponownie, po czym pojawiła się na niej znajoma sylwetka Conana. Barbarzyńca skradał się ulicami miasta jak drapieżnik w poszukiwaniu ofiary. Madesus spostrzegł, że Conan zbliża się do budowli ukazanej w pierwszej scenie.

Cymmerianin daremnie załomotał do wielkich drzwi. Wejście pozostało zamknięte. Madesus próbował przypomnieć sobie położenie gmachu, w którego architekturze było coś dręcząco znajomego. Miał uczucie, że przechodził obok tej świątyni w niezbyt odległej przeszłości.

W źródle ponownie ukazało się pogrążone w półmroku wnętrze świątyni. Znajdowała się w

nim kobieta w długim, czarnym płaszczu z odrzuconym do tyłu kapturem. Widać było, że jest młoda i piękna. Kaskady prostych, kruczoczarnych włosów spadały na jej ramiona i plecy, kontrastując z nieskazitelną białą skórą i twarzą o idealnych proporcjach. Pełne wargi kobiety wyglądały jak zwilżone przez deszcz pąsowe róże.

Przed kobietą stanął wysoki, postawny mężczyzna w średnim wieku. Madesus rozpoznał w nim króla Brythunii Eldrana. Kobieta poprowadziła go do wielkiego kamiennego bloku w głębi budowli, przywodzącego na myśl stół ofiarny. Gdy dotarła do ołtarza, odwróciła się do Eldrana, rozchyliła płaszcz i pozwoliła okryciu osunąć się na posadzkę. Pod spodem była naga. Podeszła do króla, przycisnęła białe jak kość słoniowa ciało do jego torsu, otoczyła go ramionami i zaczęła całować z niepokohamowaną lubieżnością.

Eldran gorliwie odwzajemniał jej namiętne awanse. Pieścił ją i przyciskał do siebie z rosnącym zapamiętaniem, zaś kobieta czyniła wszystko, by jeszcze bardziej rozpalic jego żądzę. Widok bezwstydných karesów pary kochanków sprawił, że twarz Madesusa oblała się rumieńcem. Nagle wstrząśnięty kapłan zaczerpnął gwałtownie tchu. Scena zmieniła się, a ściślej mówiąc, zmieniła się kobieta. Madesus zauważył najpierw czerwony blask jej oczu, które zaczęły przypominać gorejące węgle. Paznokcie kobiety wydłużyły się, przekształcając w zagięte czarne szpony. Gdy otworzyła usta, ukazały się dwa rzędy ostrych, czarnych zębów.

Kobieta zatopiła je w szyi króla. Eldran bezskutecznie szarpał się i kopał, próbując się uwolnić. Madesus patrzył ze zgrozą, jak wysiłki króla słabną. Kobieta nadal wysysała krew i po długiej chwili rozwarła szczękę i odchyliła głowę. Parę kropli krwi pociekło jej po brodzie. Nagle podniosła wzrok i spojrzała wprost na Madesusa. Zdawało się, że widzi go tak jak on ją. Powierzchnia wody pokryła się zmarszczkami, widok zmętniał. Po chwili reszta wody wyparowała z sykiem.

Kaletos nie ruszył się z miejsca, w milczeniu przyglądając się Madesusowi. Przez chwilę panowała cisza. Uzdrowiciel usiłował ogarnąć umysłem to, co widział. Gdy w końcu przemówił, jego głos przepełniał strach i odraza.

— Mutare! Ta kobieta wyglądała jak kapłanki Mutare, przedstawione na ilustracjach Księgi Skelos. Widziałem, ale nie wierzę własnym oczom. Sądziłem, że ten wynaturzony kult duchowych spadkobierców węzowego ludu Thurii został unicestwiony przed wieloma wiekami! Jak to możliwe?

— Mutare wymarł kilka tysięcy lat po ostatnich Thurianach — odparł poważnie Kaletos. — Mimo to wzrok cię nie mylił. Zaiste, ujrzałeś w zdroju prawdy kapłankę Mutare. Pamiętaj, że chociaż ta religia była potężna, jej moc to zaledwie odblask thuriańskiego pierwowzoru. Wielu mędrców powiada, że wiedza Thurian zachowała się w tajemnych księgach, które zaginęły, gdy ich władztwo popadło w ruinę. Gdziekolwiek podziały się te przeklęte tomy, z biegiem czasu musiały znów ujrzeć światło dnia. Pan Światła posłał cię tutaj, byś stawiał pradawnemu złu czoło i odesłał je do piekła, z którego się wyłoniło.

Madesus usiadł na twardym łóżku i pokiwał głową z rezygnacją.

— A więc takie zło wyczułem w Pirogii... Kapłankę Mutare... Mogą mnie do niej zaprowadzić jedynie król Eldran, Conan z Cymmerii i ta bransoleta — westchnął i przez chwilę rozważał w milczeniu swoje położenie. — Mistrzu, chociaż przeczytałem większość „Księgi Skelos”, niewiele przypominam sobie o Mutare. Ilustracja zapadła mi głęboko w pamięć, lecz rozdziały dotyczące kultu naśladowców Thurian były dla mnie niejasne. Opowiedz mi o nim coś więcej.

— Przypominam sobie tylko okruchy, Madesusie. — Kaletos oparł się o ścianę i z namysłem potarł siwą jak śnieg brodę. — To temat tabu. Niejasno napomykają o nim jedynie najstarsi mędrzy, którzy z wiekiem postradali zmysły. Nie możesz całkowicie polegać na zapisach w Księdze Skelos. Wiele jej ustępów jest zbyt wieloznacznych. Mutare była to rasa okrutnych, straszliwych istot. Pochodziły od ludzi, lecz szaleńcze, krwawe rytuały wypaczyły ich dusze. Nie odczuwały ani głodu bogactw, ani cielesnych namiętności, pasjonowały je tylko chaos i nienawiść. Mutare szukali mocy pozwalających nieść śmiertelnikom ból i cierpienie. Gardzili ludźmi, bo chociaż od nich pochodzili, ludzie zachowali to, co oni sami utracili: dusze. Wykorzystując zakazaną wiedzę Thurii, Mutare zatracili sumienia w poszukiwaniach mocy, pozwalającej im rzucić czary straszniejsze i silniejsze od wszystkich kapłanów i magów ich ery. Ich potęgę przewyższała jedynie ich nienawiść. Sycili się dotykającymi śmiertelników nieszczęściami i plagami. Podczas stu lat ich władzy, głodem, zarazami i zwykłym okrucieństwem przyczynili się do śmierci milionów niewinnych ludzi. Podzegli do wojen i rozpalali na nowo waśnie, o których inaczej by zapomniano. Najstraszliwszym z Mutare był Skauraul, okrutny władca południowego królestwa, znanego obecnie jako Shem. Jego twierdzą, wylęgarnię obrzydliwości i zgrozy, otaczały tysiące zaostzonych pali, na które nadziewano tych, którzy występowali przeciw jego panowaniu. Skauraul czerpał uciechę z rozbrzmiewających

dniem i nocą jęków i krzyków mordowanych przed jego fortecą nieszczęśników. Z tej epoki pochodzi wiele opowieści o podobnych potwornościach. Jednak jak zwykle dzieje się ze złem, najgorszym wrogiem Mutare okazali się oni sami. Było ich coraz więcej. Mutare walczyli między sobą o prawo do zabijania ludzi i zadawania im nieszczęść, jak stado pustynnych sępów bije się o ścierwo. Pospolici przedstawiciele tej rasy wyginęli szybko w brutalnych starciach, aż z początkowych setek pozostały dziesiątki. Niektórzy woleli się ukryć. Inni zostali pokonani przez ludzi — włącznie ze Skauralem. Tego zdeprawowanego władcę przebito wykutym przez jednego z członków naszego Zakonu srebrnym kolcem, na który rzucono zaklęcia, pozwalające uśmiercić Mutare. Nastąpiło wielkie oczyszczenie. Dziejopisowie snują opowieści o kapłanach, którzy poświęcili całe życie wyszukiwaniu i niszczeniu ksiąg oraz magicznych przedmiotów pozostałych po tej występnej rasie. Za sprawą owej krucjaty większość wiedzy o Mutare nie dochowała się do naszych czasów. Mimo to z dzieł takich, jak Księga Skelos można wyłuskać jej okruczności. Legendy podają niewiele szczegółów dotyczących wyglądu Mutare. Zapewne są tacy sami lub bardzo podobni do ludzi, lecz ich czerwone oczy goreją jak piekielne paleniska. Mają czarne jak obsydian kły i szpony oraz niesamowite, pusto dźwięczące głosy. Niektórzy twierdzą, że Skauraul w ogóle się nie starzał, że jego moc pozwalała mu oprzeć się niszczycielskiemu wpływowi czasu. Mutare było bardzo trudno zabić. Nie krwawili, nie odczuwali śmiertelnych dla zwykłych ludzi ran. Bardziej zabójcze były dla nich modlitwy do dobrych bogów i symbole wiary. Madesusie, jeśli przyjdzie ci stawić czoła Mutare, musisz najpierw uzbroić swe serce i umysł. Musisz polegać na sile swojej wiary oraz potędze twego amuletu. Talizman posłuży ci w godzinie potrzeby, lecz musisz go strzec jak żrenicy oka! Teraz tylko tyle mogę ci powiedzieć. Czuję już znużenie i muszę dać odpocząć moim skrzypiącym kościom. W tym wieku brak mi sił, by stanąć przy twoim boku, lecz moje modlitwy będą z tobą. Nie trać czasu na odpoczynek! Ruszaj natychmiast, bowiem siła Mutare rośnie z każdą chwilą. Opuszczam cię, lecz być może wkrótce znów się spotkamy. Do tego czasu żegnaj cię. Przyjmij błogosławieństwo Mitry. Niech Pan Światła strzeże cię i prowadzi. Bywaj, przyjacielu!

Kaletos wyprostował się i kuśtykając, wyszedł z pokoju. Gdy zamknął za sobą drzwi, Madesus przetarł oczy i ochlapał sobie wodą twarz. Zmówiwszy krótką modlitwę, obmyślił plan działania. Zamierzał przede wszystkim dostać się do króla Eldrana. Kapłan był pewny, że monarcha umiera od podłych czarów Mutare. Moc amuletu mogła doprowadzić do ustąpienia wyniszczającej choroby, a przynajmniej powstrzymać jej postępy.

Madesus ubrał się pośpiesznie, przypasał sakwę i ruszył do pałacu. W tym właśnie czasie kapitan Salvorus umierał w pałacowych lochach, a Conan szukał wyjścia z labiryntu podziemnych korytarzy.

Madesus łatwo przekonał strażników przy bramie, by go wpuścili. Jeden z nich, chudy i wysoki jak tyka grochowa, doprowadził kapłana do podwójnych drzwi pałacu, przypominających w blasku księżyca tajemnicze monolity z drewna i żelaza. Strażnik zastukał w lewe skrzydło.

Chwilę później, po drugiej stronie, swarliwy głos z zingarańskim akcentem zawołał:

— Gevaro! Zmykaj z powrotem do bramy! Na czarną brodę Erlika, jeszcze nie wzeszło słońce, łachmyto! A to co znowu? Czy mi się zdaje, czy to sługa Mitry chce się dostać do pałacu o tak pogańskiej godzinie? Czego chcesz, kapłanie?

Madesus uśmiechnął się, słysząc zawadiackie słowa odźwiernego. Zingarańczyków rzadko widywało się tak daleko na wschód od ich ojczyzny.

— Przybyłem w pilnej sprawie dotyczącej bezpośrednio króla. Proszę o natychmiastowe wpuszczenie!

— Hę?! Mam wpuścić do pałacu nieznanego włóczęgę, nim jeszcze rozwidniło się na dobre? Nie pozwolę nikomu wejść bez powodu, chociażby był nawet kapłanem!

— Posłuchaj uważnie, dobry człowieku! — powiedział powoli Madesus, marszcząc z namysłem brew i ściskając amulet w dłoni. — Otworzysz mi drzwi i odeślesz strażnika na posterunek. Potem zapomnisz, żeś w ogóle mnie wpuścił — wygłaszając te słowa władcym tonem, w duchu wyrzekł zaklęcie, by zmusić upartego odźwiernego do uległości.

— J... już otwieram, świątobliwy mężu! Gevaro! Wracaj na swoje miejsce, zanim przybiję cię do niego ćwiekami, żebyś się tunie pętał!

Madesus usłyszał szcęk kluczy. Po chwili drzwi pałacu stały przed nim otworem. Wszedł do środka i pomyślał, że to dopiero początek trudności w dostaniu się do króla. Wciąż skupiając myśli na wymuszającym posłuch zaklęciu, uzyskał od uległego odźwiernego wskazówki, jak dotrzeć do osobistych komnat Eldrana.

Przeszedł kilka długich i wąskich korytarzy, mając nadzieję, że strażnik przy wejściu powiedział mu prawdę. Spodziewał się, że komnaty króla znajdują się na jednym z górnych pięter, lecz od odźwiernego dowiedział się, że Eldran wolał mieszkać na parterze.

Na razie w pałacowych korytarzach nie zastał nikogo, nawet służących czy wartowników.

Pustka w pałacu było dla Madesusa zaskoczeniem, lecz kapłan cieszył się, że nie spotkał nikogo na swojej drodze. Po kolejnych kilku zakrętach zbliżył się do przedsionka komnat króla. Serce zaczęło mu łomotać. Bynajmniej nie był pewny wyniku starcia z siłami ciemności. Nie miał pojęcia, jak wielka jest moc kapłanki, lecz wiedział, że wkrótce się tego dowie. Dotarł do krótkiego, szerokiego korytarza, opisanego mu przez odźwiernego. Musiał teraz przejść przez drzwi po prawej. Zauważył, że po lewej znajduje się jeszcze dwoje drzwi. Jedne z nich były przekrzywione i zwisały na wygiętych zawiasach. Znajdujący się w nich zamek był zniszczony. Grube, żelazne blachy sterczały rozdarte jak arkusze pergaminu. Madesusa ogarnęło zdumienie. Zaintrygowany, podkraść się do drzwi. Niespodziewanie ktoś szarpnął go w tył tak gwałtownie, iż omal nie upadł. Nim zdążył krzyknąć, wielka dłoń zatkała mu usta. — Pst! — rozległ się za jego plecami znajomy, szorstki szept. — To ja, Conan! Bądź cicho. Potrzebuję twojej pomocy.

Madesus kiwnął głową. Przez głowę przemknęło mu pytanie, jakim cudem Cymmerianin znalazł się w pałacu. Conan zdjął dłoń z ust oszołomionego kapłana i dał mu znak, by przeszedł za nim przez wyważone drzwi. Madesus zobaczył, iż zamknięte przed chwilą drugie drzwi są obecnie otwarte i odgadł, że Cymmerianin krył się za nimi. Kapłan zdumiał się, widząc, że czarnowłosy olbrzym potrafi zachowywać się cicho jak kot. Madesus nic nie słyszał, a przecież najłabszy szmer odbiłby się echem w pustym korytarzu.

Kapłan z wahaniem podążył za Conanem do pomieszczenia za zrujnowanymi drzwiami. Zorientował się, że było to wejście do lochów. Nie wątpił, że to Cymmerianin doprowadził to miejsce do tak opłakanego stanu. Po przeciwnej stronie przedsionka lochów znajdowały się drugie strzaskane drzwi. Obok w kałużach krwi leżało dwóch nie dających znaku życia strażników. Dalej znajdowały się wąskie, prowadzące w dół schody. Conan zszedł kilka stopni i ponownie dał znak — Madesusowi, by podążał za nim. Zmarszczywszy brwi na widok martwych wartowników, kapłan przestąpił ciała.

Conan spróbował zamknąć drzwi za sobą, lecz wykrzywione skrzydło nie wchodziło w ościeżnicę. Dzięki dwóm znajdującym się tam kagankom, Madesus spostrzegł, że ciało Conana pokrywają niezliczone skaleczenia i granatowoczarne sińce. Parę niewielkich ran jeszcze krwawiło, lecz niebieskooki barbarzyńca nie zwracał uwagi na te obrażenia.

— Conanie! Krosno losu ponownie spłótkło nici naszego przeznaczenia! O ile sobie przypominam, zależało ci na uniknięciu spotkań ze strażami miejskimi. Co sprawiło, że znalazłeś się w pałacu?

— Szukałem Hassema, szubrawca, który doprowadził do oskarżenia mnie o zamordowanie królowy. Niech Erlik porwie wszystkie cywilizowane ludy i ich haniebne obyczaje! Na Croma, więcej honoru widywałem wśród piktyjskich dzikusów, niż u mieszkańców tego zatraconego miasta! — Dalej nastąpiła obficie okraszona przekleństwami relacja z wydarzeń ostatnich kilku godzin.

— Chodź, musisz zająć się Salvorusem! — zakończył Cymmerianin.

Madesus nie ruszył się z miejsca. Potrzebował trochę czasu na zebranie myśli. Wyczuł gorycz w słowach Conana i wierzył w jego szczerość, aczkolwiek niedokładnie pojął tę pogmatwaną opowieść. Jeżeli Valtreska zdradził króla, groziło im obu wielkie niebezpieczeństwo. Kapłan nigdy nie widział generała, lecz doszły do niego słuchy, że jest to człek ambitny i bystry, lecz absolutnie pozbawiony skrupułów. Trudno było spodziewać się, że kwestionowanie jego wierności tronowi ujdzie na sucho. Kapłan nie wiedział również, jak zdrada Valtreski ma się do choroby króla. Czy generała wiązało coś z kapłanką Mutare?

Ta ostatnia możliwość zaniepokoiła Madesusa. Wierzył, że jeżeli jego wrogiem jest tylko kapłanka, zdoła ją pokonać, jednakże Valtresce mógł stawić czoła tylko wytrawny wojownik. Kapłan odnosił się z niechęcią do przemocy. Widok martwych wartowników w przedsionku lochów wzbudził w nim żal. Ich jedyną winą była tylko wierność rozkazom. Mimo to Conan był przeciwnikiem godnym Valtreski. Na dodatek wizja sugerowała, że los barbarzyńcy jest związany z przeznaczeniem kapłana. Uzdrawiciel zdał sobie sprawę, że, tak czy owak, musi pomóc umierającemu kapitanowi. Mitra spoglądał krzywo na kapłanów odwracających się od chorych i konających. Westchnąwszy, Madesus ruszył śladem Conana.

— Spróbuję wyleczyć kapitana, lecz ty także musisz mi pomóc. Zostaliśmy uwikłani w oplatającą Pirogię sieć perfidnej intrygi. Mitra powierzył mi misję pokonania kryjącego się tu przastarego wroga, a Valtreska może być częścią zła, które muszę zniszczyć. Wobec przeciwników w rodzaju generała moja moc jest nieskuteczna. Podejrzewam, że pewna złowroga istota spróbuje wykorzystać generała, by doprowadzić do mojej zguby. W jej dłoniach Valtreska będzie śmiertcioną bronią. Chcę, byś w zamian za uzdrowienie Salvorusa strzegł mnie przed generałem, a nawet byś go zabił, jeśli okaże się to konieczne. Muszę jeszcze tej nocy dotrzeć do wroga i wrzucić go z powrotem w piekielną otchłań, z której się wynurzył. Będziesz mi

towarzyszyć?

Tym razem Conan potrzebował chwili na zastanowienie. Podjęcie decyzji nie zabrało mu jednak wiele czasu. Barbarzyński kodeks honorowy jasno wskazywał mu, jak ma postąpić. — Gdyby Salvorus mnie nie ocalił, smażyłbym się teraz w piekle. Uzdrów go, a będę stać przy twym boku. Przysięgam na Croma. Idziemy!

Conan odwrócił się i ruszył szybko po schodach. Zdawał sobie sprawę, że życie ucieka z Salvorusa z każdą mijającą chwilą. Osobliwa para; wojownik i kapłan, podążyla spiesznie labiryntem podziemnych korytarzy. Madesus miał spore trudności z dotrzymaniem kroku Cymmerianinowi.

Zdawało się, że droga zajmuje im całe godziny. Conan nachylał się co jakiś czas, by poszukać śladów krwi na ziemi, Madesus zaś zbierał siły do czekającego go zadania. Po drodze dowiedział się że Salvorus umierał od rany, zatrutej wywarem z czarnego lotosu. Kapłan uznał, że trucizna musiała być zwierzała lub niewłaściwie przyrządzona, inaczej kapitan zginąłby natychmiast. Hassem najprawdopodobniej padł ofiarą nieuczciwego kupca, czego w żadnym razie nie należało żałować. Madesus wiedział, jak doprowadzić do przerwania wywoływanych przez lotos, kończących się zgonem snów. Miał nadzieję, że nie zapomni żadnego szczegółu rytuału i będzie w stanie pomóc Salvorusowi.

Cymmerianin i kapłan dotarli w końcu do kapitana. Madesus zmarszczył brwi ze współczuciem na widok leżącego mężczyzny. Po rozpalonej twarzy Salvorusa lały się strumienie potu, jego wargi szczeniały i opuchły. Konający oficer na moment otwierał oczy, by w chwilę później z całej siły zaciskać powieki. Jego oddech przypominał szuranie łopata po żwirze. Madesus przykłęknął i wyjął z sakwy fiolkę balsamu. Usunął powstrzymujący krwawienie z boku Salvorusa zwitek tkaniny i wtarł odrobinę lekarstwa w szkaradną ranę. Sprawilo to, że kapitan zaczął krzyczeć i miotać się w konwulsjach.

— Przytrzymaj go! Natychmiast! — rozkazał Madesus, gdy majający mężczyzna o mało nie rzucił nim o ścianę.

Conan przycisnął Salvorusa do podłogi i unieruchomił jego ręce. Kapłan zaintonował monotonne zaklęcie i przesunął dłonią nad amuletem. W chwilę później jego rękę otoczyła migocząca purpurowa aura. Nie zaprzestając śpiewu, Madesus położył rękę na czole kapitana. Amulet rozjarzył się znacznie silniej, aura z dłoni kapłana objęła całe ciało Salvorusa. Conan zdrygnął się pod wpływem przemożnego, instynktownego łęku przed magią i nadnaturalnymi zjawiskami. Kapitan przestał się miotać, jego jęki zamieniły się w urywane pomruki.

Gdy Madesus skończył śpiewać zaklęcie, aura przygasła. Kapłan posypał twarz Salvorusa dziwnym, matowym proszkiem o barwie srebra. W powietrzu rozeszła się odświeżająca, słodko-gorzka woń. Gdy skóra wchłonęła proszek, kapitan powoli otworzył oczy, trzepocząc powiekami. Oddychał równo, siność i obrzęk warg ustąpiły. Usiadł z wysiłkiem i stęknął. — Na Mitrę, czuję się, jakbym miał w żyłach płynny ołów. — Skupił wzrok i utkwiał spojrzenie w Cymmerianinie. — Conan? Zatem trafiłem do piekła, tak? Zabito cię, tak jak mnie? Ale zaraz... — potrząsnął głową, dostrzegłszy Madesusa — ...gdyby to było piekło, nie byłoby tutaj kapłana Mitry.

— Nie, Salvorusie, wszyscy żyjemy, na Croma! — rzekł Conan. — Stałeś jedną nogą w grobie, ale ten uzdrowiciel wyciągnął cię z niego! Diabły muszą jeszcze zaczekać, zanim zaczną ogryzać twoje kości.

— Żyję! Nie wiem, jakim cudem, ale jestem wam głęboko wdzięczny. Wielka jest twoja moc, uzdrowicielu. Muszę zanieść królowi wieść o zdradzie Valtreski i wymierzyć sprawiedliwość temu podstępnemu gadowi!

Salvorus dźwignął się z podłogi i zatoczył na ścianę. Przytrzymując się jej, czekał, aż minie zawrót głowy. Madesus przyglądał się mu bacznie, oceniając jego stan.

— Powoli, kapitanie, powoli. Twoje ciało wciąż walczy z czarnym lotosem, lecz już mogę stwierdzić, że jesteś wyleczony. Z każdym krokiem będą ci wracać siły. Nie wolno ci jednak ich trwonić, więc zaczekaj, proszę. Ja również mam pilną sprawę do króla.

— Nie mam czasu na odpoczywanie, uzdrowicielu! Musimy ruszać natychmiast. Odzyskam siły, napawając się widokiem karku Valtreski na katowskim pieńku!

W tym momencie w głębi korytarza rozległ się szyderczy śmiech.

— Porzuć złudne mrzonki, kapitanie — rozległ się dobrze znajomy Salvorusowi głos. — Na twoim miejscu bardziej martwiłbym się o własną szyję.

Trzej mężczyźni odwrócili się zaskoczeni. W końcu korytarza stał roześmiany Valtreska. Jego miecz i pancerz lśniły w świetle lamp. Za generałem stało siedmiu czy ośmiu dobrze uzbrojonych strażników. Dwaj z nich dzierżyli przygotowane do strzału kusze. Znajdowali się w odległości zaledwie kilkunastu kroków, zbyt małej, by mieć jakiegokolwiek złudzenia co do celności strzału.

— Kłamco! — warknął Salvorus, sięgając do zatkniętych za pas noży Hassema. — Nie

została ci chociaż szczypta honoru? Chcesz zabić nas z zimną krwią? Eldran uratował ci życie! Zamierzasz wyrzec się króla? Dlaczego po prostu nie naplułeś mu w twarz?! Drogo zapłacisz za zdradę! Giń, piekielny pomociu!

Płynnym ruchem wyciągnął jeden z noży Hassema i cisnął nim prosto w gardło generała.

Valtreska cofnął się instynktownie i błyskawicznym ruchem miecza odtrącił nadlatujący sztylet.

— Zabić ich! — krzyknął do otaczających go mężczyzn.

Strażnicy z kuszami wypuścili bełty, a pozostali rzucili się do ataku.

8. SZCZURY W PUŁAPCE

Gdy kusznicy strzelili, Conan zanurkował do otwartej celi, wpychając do niej przed sobą Madesusa. Szybkość reakcji Cymmerianina uratowała im życie. Conan padł na sztywniejące zwłoki Hassema, błyskawicznie przetoczył się po nich i zerwał na równe nogi, dobywając miecz. Madesus miał mniej szczęścia. Rąbnął boleśnie skronią o żelazną framugę, a w chwilę potem uderzył głową o twardą podłogę. Przed oczami zawirowały mu gwiazdy. Padł na plecy i stracił przytomność. Conan tego nie zauważył, ponieważ już rzucał się na nadbiegających wartowników.

Salvorus uniknął trafienia, padając na podłogę. Ponieważ nie miał miecza, sięgnął po dwa sztylety Hassema. Zerwał się z ziemi, chcąc dopaść Valtreski.

— Conanie! — krzyknął kapitan. — Wypada po dwóch na każdego z nas, ale generała zostaw mnie!

— Najpierw kuszników! — odkrzyknął barbarzyńca. — Zanim nałożą nowe bełty...

Conan sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz nie było czasu na dłuższą rozmowę. Salvorus zaatakował jednego ze strażników, Conan drugiego. Korytarz wypełnił szcęk żelaza.

Conan szybko rozprawił się ze swoim przeciwnikiem. Wymierzył najpierw serię oszłamniających szybkich cięć w ramiona strażnika, przez co zmusił go do odsłonięcia tułowia, po czym złożył się do pchnięcia i przebił ciężkim ostrzem pancerz na jego brzuchu. Mężczyzna stęknął, upuścił miecz i padł na podłogę. Cymmerianin kopnął broń zabitego w stronę Salvorusa, który walcząc sztyletami, mógł się tylko bronić. Podczas gdy trzeci wartownik rzucił się w stronę Conana, barbarzyńca cięciem na odlew odrąbał głowę przeciwnikowi kapitała, dając Salvorusowi czas na podniesienie miecza. Nowy nieprzyjaciel, mierząc w szyję Conana, zadał zamaszyste cięcie kothyjskim mieczem o zakrzywionym ostrzu. Barbarzyńca umknął śmierci z łatwością, skoczył naprzód i zdzielił strażnika wielką jak kafar pięścią. Pech chciał, że Cymmerianin trafił nie w podbródek, lecz w żelazną kryzę na szyi. Conan cofnął pulsującą z bólu dłoń i wzniosł miecz, parując kolejny cios strażnika. Jego przeciwnik był doświadczonym szermierzem, lecz gwałtowność barbarzyńcy wytrąciła go z równowagi. Zaczął walczyć ostrożniej, dzięki czemu Cymmerianin samą siłą ciosów zmusił go do cofnięcia o kilka kroków. Wtedy strażnik stracił ostatecznie rozwagę i wzniosł miecz do niezdarnego cięcia znad głowy. W odpowiedzi Conan zamachnął się z całej siły i gdy jego broń zderzyła się z opadającym mieczem strażnika, lżejsze kothyjskie ostrze przysło na tuzin kawałków. Tym samym cięciem Cymmerianin rozplątał kolczugę i pierś przeciwnika.

Barbarzyńca wyszarpnął miecz z żołnierza i strząsając spływającą z ostrza szkarłatną posokę, ryknął jak osaczony przez wilki tygrys:

— Kto jeszcze chce zginąć?!

Podniesiony na duchu dzielnością barbarzyńcy, Salvorus ze zdwojoną mocą zaatakował stawiającego mu czoło strażnika. Szybko pozbawił go broni, po czym rąbał w tors przeciwnika. Ostrze przeszło kolczugę i pograżyło się głęboko we wnętrzościach żołnierza. Gdy kapitan szarpnął klingą w bok, z rozprutego brzucha bluznęły poszatkowane trzewia. Chwilę później z mieczem w prawym ręku i sztyletem w lewym, zaatakował czwartego strażnika, podczas gdy Conan ruszył w stronę trzech ostatnich przeciwników otaczających Valtreskę.

Strzelcy gorączkowo naciągali kusze. Skończyli napiąć cięciwy, gdy Conan rzucił się na nich i wystraszeni strzelili nie celując. Na to właśnie liczył Conan. Zanurkował i nie tracąc impetu, przetoczył się po podłodze. Jeden z bełtów drasnął go w czoło.

— Tchórzliwy psie! — krzyknął do Valtreski, zrywając się na równe nogi. — Zamierzasz kulić się za strażnikami jak dzieciuch pod babską spódnicą, czy stawisz mi czoło jak mężczyzna?!

— Śmiesz mnie twoje ryki, cymmeriański wieprzu! Nie zamierzam babrać mego ostrza twoją śmierdzącą barbarzyńską juchą! Poza tym, kapitan Rogar poprosił o przyjemność rozłupania twego kudłatego łba!

Za dwóch kuszników wysunął się niski, krępy mężczyzna o płaskim, kwadratowym obliczu,

sprawiającym wrażenie wyciosanego z kamienia. Jego szeroką pierś okrywał topornie kutły pancerz. Nowy przeciwnik Cymmerianina był uzbrojony w tarczę i maczugę. Napiął potężne mięśnie obnażonych ramion, przypominających małpie łapy i uśmiechnął się złośliwie, obnażając pożąłkłe pieńki zębów. Kusznicy ukryli się za nim.

Salvorus zerknął na Rogara, nadziewając na miecz swojego przeciwnika. Rozpoznał w oficerze jednego z najemników dobranych sobie osobiście przez Valtreskę. Już wcześniej zauważył, że żaden z ich przeciwników nie jest rodowitym Brythuńczykiem. Rogar był w istocie najemnym zamorańskim zbirzem. Valtreska usprawiedliwił przydzielenie mu oficerskiego stanowiska, powołując się na liczbę ludzi zabitych przez Zamorańczyka podczas pogranicznych zatargów. Salvorus wiedział, że to nie maczuga Rogara jest jego najniebezpieczniejszą bronią. — Conanie, nie wolno ci uderzyć w tarczę! Przestroga okazała się spóźniona. Cymmerianin ciął z całych sił w osłonę przeciwnika, licząc, że ostrze miecza rozbije ją i zagłębi się w ramieniu Rogara. Za moment z przerażeniem stwierdził, że mimo wszelkich starań nie może oderwać broni od tarczy. Osłona przeciwnika okazała się potężnym magnesem. Conan szarpnął z całej siły za rękojeść miecza. Rogar najwyraźniej na to czekał. Zamachnął się z ukosa i nabijana ćwiekami maczuga trafiła z łoskotem w skroń Cymmerianina. Ogłuszony barbarzyńca wypuścił miecz i wskutek siły ciosu zatoczył się na ścianę korytarza.

Gdy Rogar unosił maczugę do kolejnego uderzenia, Salvorus cisnął sztylet, modląc się, by jakiś życzliwy bóg raczył pokierować rzutem. 1 tak się stało. Nóż wbił się po rękojeść w mięsiste ramię Rogara. Zwalisty siepacz wypuścił tarczę z dłoni, a w jego małych, czarnych oczkach zabłysła wściekłość. Zamorańczyk ruszył na Salvorusa. Cofnąwszy się o krok, kapitan uchylił się przed uderzeniem i natychmiast wyprowadził pchnięcie w pierś przeciwnika. Ostrze bezsilnie ześliznęło się po pancerzu. Spojrzawszy za Rogara, kapitan dostrzegł z przerażeniem, że kusznicy kończą ładować broń. Musiał natychmiast rozprawić się z wymachującą maczugą osiłkiem, inaczej Conan stałby się łatwym celem.

Kapitan odrzucił miecz i z szybkością dorównującą jego desperacji rzucił się na potężnie umięśnionego Zamorańczyka. Zaskoczony Rogar zamachnął się maczugą, lecz w bezpośrednim starciu ciężka broń była bezużyteczna. Salvorus zacisnął dłonie na gardle Zamorańczyka. Rogar chwycił przeciwnika za ramiona, usiłując oderwać go od siebie. Mocowali się tak przez chwilę, aż Salvorus dostrzegł, że kusznicy wycelowali w Conana, który wciąż siedział pod ścianą, przyciskając rękę do skroni. Wykorzystując przewagę wzrostu i siły, kapitan pchnął Rogara wprost na linię strzału.

Uczynił to w idealnym momencie. Jeden z pocisków utkwiał w plecach Rogara, wywołując wrzask bólu, drugi przeleciał nad niższym Zamorańczykiem i trafił w bark Salvorusa. Kapitan rozluźnił uścisk na gardle przeciwnika. Rogar odskoczył charcząc i sięgnął do sterczącej z grzbietu strzały. Zdołał wyszarpnąć bełt i wznosił go nad głowę, jak gdyby chciał przebić nim szyję Salvorusa.

Cios nie dosięgnął celu, bo Conan doszedłszy do siebie, powalił Rogara na ziemię kopnięciem w kolana. Salvorus wyrwał bełt z ramienia. Z ust wydarto się mu wywołane bólem stęknienie. Conan sięgnął po upuszczony miecz, zaś Rogar po maczugę. Chwycili oręż równocześnie, lecz Rogar poruszał się wolniej. Gdy wyprostował się i podniósł wzrok, ujrzał spadającą z góry skrzwioną broń Cymmerianina. Ostrze miecza przecięło trzon maczugi i zagłębiło się w byczym karku Zamorańczyka. Rogar utkwiał oszołomione spojrzenie w kawałku maczugi w dłoni. Potem oczy strażnika zeszkliły się. Runął w tył, uderzając o posadzkę głową, która odpadła od reszty ciała. Z przeciętej szyi trysnęły strugi krwi. Conan ruszył wprost na kuszników. Potrząsnawszy mieczem, wydał z głębi piersi ogłuszający cymmeriański okrzyk bojowy. Valtreska o wiele mniej pewny siebie niż przed chwilą przyjął szermierczą postawę i cofnął się o kilka kroków.

— Szybko, głupcy! — krzyknął do kuszników. — Wyciągnijcie miecze i pozbądźcie się tego bandyty!

Dwaj mężczyźni odrzucili kusze i sięgnęli po broń, lecz nie znieśli widoku barbarzyńcy nacierającego na nich niczym jakaś machina wojenna. Rzucili się do ucieczki, pozostawiając Valtreskę skazanego na własne siły. Klnąc, generał ruszył za nimi, lecz zrobił to zbyt późno. Kusznicy zatrzasnęli za sobą żelazną kratę, zamykającą więzienną część labiryntu. Valtreska zdał sobie sprawę, że ma odciecią jedyną drogę ucieczki.

— Tchórzliwe świnię! — zawył. — Obedre ze skóry wasze przegniłe ciała! Nakarmię wami szczury! Rozkazuję wam otworzyć drzwi! Wracajcie natychmiast, słyszycie?!

Z drugiej strony słychać było wyłącznie oddalający się tupot uciekających kuszników. Valtreska odwrócił się, przybierając szermierczą postawę. Na twarzy generała odmalował się wyraz determinacji, lecz w jego oczach lśniły ogniki strachu. Wysunął przed siebie kosztownie grawerowany miecz i mocniej zacisnął na rękojeści dłoń w rękawicy z żelaznych ogniwi. Lewą

dłonią sięgnął do sakiewki przy pasie. Conan zbliżał się do generała ostrożnie, podejrzewając, że za wcześniejszymi przechwałkami Valtreski stoi rzeczywiste szermiercze doświadczenie. Cymmerianin nie żywił również wątpliwości co do tego, że generał jest gotów uciec się do podstępu.

W głębi korytarza Salvorus podniósł swój miecz lewą ręką i pospieszył, by pomóc Conanowi. Wiedział, że generał jest wyśmienitym szermierzem.

Cymmerianin nie zatrzymywał się, chcąc przyprzeć Valtreskę do kraty. Był dziesięć kroków od przeciwnika, gdy ten zaatakował. Conan natychmiast sparował wypad generała i błyskawicznie przeszedł do kontrataku. Ostrze miecza barbarzyńcy uderzyło w napierśnik Valtreski, ryjąc głęboką rysę między pokrywającymi go ornamentami. Generał cofnął się i rzucił w Cymmerianina wydobytą z sakiewki fiolkę. Spodziejając się czegoś takiego, Conan uchylił się i fiolka rozbiła się z brzękiem na kolczudze Salvorusa. W powietrzu rozeszła się gryząca woń. Opuściwszy wzrok, Salvorus dostrzegł ze zgrozą, że pod wpływem zawartego w fiolce płynu przód jego kolczugi mięknie, wydzielając kłęby żółtawego oparu. Stęknął z nieznośnego bólu, gdy ciecz przeżarła metal i zaczęła palić ciało.

Rzucenie fiolki sprawiło, że Valtreska odsłonił się na chwilę. Conan natychmiast to wykorzystał. Generał sparował cios barbarzyńcy odrobinę za późno. Ostrze Cymmerianina rozpruło kolczy rękaw i rozcięło ramię.

— Bydłę! — ryknął Valtreska. — Gotuj się na spotkanie w piekle swoich zwierzęcych przodków!

Miecz Conana na mgnienie oka uwiązł w solidnych ogniach kolczugi generała. Valtreska ciął z ukosa w gardę broni przeciwnika. Ostrze musnęło rękę Cymmerianina, wytrącając mu oręż z dłoni. Valtreska natychmiast uniósł ostrze i wyprowadził pchnięcie w odkrytą pierś Conana. Barbarzyńca odskoczył przed ciosem, lecz stracił równowagę. Bezbronny, runął na podłogę, zaś klinga generała opadła na Cymmerianina.

Conan rozpaczliwie wznosił ramię, by zasłonić się przed ciosem. W tej samej chwili rozległ się głośny krzyk. Ostrze Valtreski spadło daleko od zamierzonego celu wraz z odrąbaną, lecz wciąż zaciśniętą na broni ręką. Poparzony Salvorus wznosił miecz, by zadać mu ostateczny cios, lecz opuścili go siły. Wyczerpany z powodu doznanych ran, osunął się na podłogę.

Przez czas wystarczający na uderzenie serca Valtreska patrzył wprost w oczy Conana, po czym obaj opuścili wzrok na leżący między nimi miecz Cymmerianina. Zastygli w bezruchu, jak gdyby starali się ocenić, który z nich jest bliżej broni. Krew broczyła z przebitego uda barbarzyńcy i zacięcia na ręce, lecz ten nie zważał na ból. Był przyzwyczajony walczyć zajadłe jak ranne zwierzę, nie pozwalając sobie na okazanie słabości. Valtreska, człowiek cywilizowany, stał porażony bólem promieniującym z buchającego krwią kikuta.

Generał jednak poruszył się pierwszy. Ocalałą ręką sięgnął po upuszczony miecz. Wysiłek okazał się spóźniony. Palce Valtreski chwyciły powietrze. Patrzył, jak Conan unosi miecz i wbija mu go przez pancerz w pierś. Czuł, jak długie ostrze przechodzi między żebrami, po czym ogarnęła go czarna pustka. Z jego gardła dobyło się zdławione charczenie, a następnie padł na podłogę lochu.

Wyczerpany Cymmerianin kulejąc podszedł do Salvorusa. Nachylił się, by podnieść kapitana, po czym zmarszczył brwi. Zdał sobie sprawę, że Salvorus umiera. Z dziury w piersi oficera unosiły się pasemka dymu i dobiegało z niej okropne bulgotanie. Żrąca ciecz z rzuconej przez Valtreskę fiolki przeżarła już mięśnie i żebra, a teraz spalała wnętrze. Conan zadrzał na myśl, co mogło stać się z jego głową.

— Conanie — szepnął Salvorus. — Zabiłeś go?

— Tak, ale nie mów nic więcej, na Croma! Sprowadzę Madesusa, on zajmie się twoimi ranami. Nie ruszaj się!

— Nie, Conanie — Salvorus słabo potrząsnął głową. — Mitra wzywa mnie do siebie... Mój czas nadszedł... — Zachrypiął, walcząc o oddech, a czerwona piana pociekła mu z ust. — Nic mi nie jesteś winien, ale chciałbym cię prosić o przysługę. Zabierz kapłana do króla i pomóż mu pokonać zło, o którym mówił... Pomóż Eldranowi! — Salvorus przymknął oczy, wziął płytki wdech, po czym wyrzekł swe ostatnie słowa: — Nie ufaj nikomu... prócz górala Kailasza... Powiedz mu... król musi się dowiedzieć... obiecuj...

Salvorus zamknął zasnute cierpieniem oczy.

— Król dowie się o wszystkim albo zginie, próbując się do niego dostać. Pokonamy zło! Zostaniesz pomszczony, przysięgam na Croma i Mitrę!

W oczach Conana zabłyśły płomienie gniewu. Teraz celem jego życia stało się dokonanie zemsty za śmierć wojownika, który zapłacił najwyższą cenę za uratowanie mu życia.

Wydawszy zdławione westchnienie, kapitan Salvorus dołączył do swoich przodków.

Barbarzyńca zamknął oczy oficera i położył na piersi jego miecz. Pomyślał, że walczył tego

dnia u boku prawdziwego mężczyzny. Salvorus zginął jak wojownik. Nie zastanawiając się nad tym dłużej, Conan ruszył zobaczyć, co stało się z Madesusem.

Kapłan odzyskał przytomność na czas, by dostrzec wkraczającego do celi zlanego potem i krwią Cymmerianina. Madesus pomacał ostrożnie skroń. Nad uchem wyrósł mu wielki guz. Dotykając go, skrzywił się z bólu, lecz zdołał upewnić się, że ma całą czaszkę. Usiadł z jękiem i popatrzył na barbarzyńcę.

— Conan! Chwała niech będzie Mitrze, żyjesz! Salvorus jest z tobą, czy został pojmany?

— Ani to, ani to, Madesusie. Valtreska zabił go podstępnie, lecz już wysłałem tego zdradzieckiego psa do piekła. Pozostali zginęli lub uciekli.

— Muszę zobaczyć Salvorusa! Jeżeli jeszcze żyje, może zdołam go uzdrowić.

— Widziałem przedśmiertne spojrzenia tysięcy ludzi, chociaż liczę sobie mniej wiosen od ciebie — Conan potrząsnął głową i wzruszył ramionami. — Gdyby nie Salvorus, już bym nie żył. Obejrzyj go, jeśli taka twoja wola, ale nie trać na to zbyt dużo czasu. Pachołkowie Valtreski zdradzili swego pana, przez co zostaliśmy tutaj uwięzieni.

Conan dźwignął Madesusa z podłogi. Obydwaj ruszyli skapanym w krwi korytarzem, mijając ciała strażników. Na widok Salvorusa kapłan przymknął oczy i zwiesił głowę:

— Nic nie mogę dla niego zrobić, oprócz modłów za jego duszę. Ciało przeżarła mu krew skrzydlatego drakkena. To wywodzące się z zamierzchłej ery prastare bestie. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Valtreska mógł zdobyć posokę jednego z nich. Nikt nie widział tych zwierząt od czasów naszych pradziadów.

Madesus przyklęknął, wyciągnął z sakwy jakąś fiołkę i spryskawszy jej zawartością ciało Salvorusa, odmówił modlitwę do Mitry. Conan podszedł do trupa generała i zerwał sakiewkę z jego pasa. Gdy ją rozwiązał, ujrzał wewnątrz zawiniętą w płótno drugą fiołkę oraz błysk złota na dnie. Ostrożnie wsunął sakiewkę w kieszeń swojej skórzanej kamizelki. Madesus skończył modlitwę i wstał.

— Conanie — rzekł. — Pozwól, że opatrzę ci rany. Zaraz potem opuścimy to przekłete miejsce.

— Nie ma na to czasu — Conan potrząsnął głową i podszedł do kraty, która odcięła Valtresce drogę ucieczki. — Muszę dotrzymać złożonej obietnicy. Ruszamy natychmiast! — Cymmerianin przyjrzał się przeszkode. Krzepkie pręty zdawały się być w doskonałym stanie. Napał na nie, lecz ani drgnęły. Zaczerpnął głęboko tchu, napiął mięśnie i pchnął ponownie. — Na Crom! — zaklął, wypuszczając powietrze. — Można by ją wyważyć tylko taranem. Ugrzęźliśmy w tej piekielnej norze jak szczury w pułapce!

— Zaczekajmy, aż strażę nas stąd wypuszczą. — Madesus zmarszczył brwi. — Z pewnością zjawią się tu niedługo, by sprawdzić, co stało się z Valtreską.

— Mamy tu czekać? Za nic w świecie! Musi być jakaś inna droga.

Cymmerianin zaczął krążyć po korytarzu, wysilając umysł w poszukiwaniu sposobu opuszczenia lochów. Znalazł go, gdy jego spojrzenie padło na ciało Salvorusa. Wyciągnął z kieszeni szklaną fiołkę i bardzo ostrożnie ją odkorkował. Podszedł do kraty i hojnie polał zamek zawartością naczynka. Twardy metal natychmiast pokrył się pęcherzami i zaczął syczeć jak wrzątek. Rozeszły się kłęby zjadliwego oparu, przyprawiając Conana o łzawienie oczu.

Opar rozwił się powoli. Żrąca ciecz doszczętnie spaliła zamek. Conan ostrożnie włożył tam rękę i namacał zasuwę. Gdy otarł się ramieniem o skraj otworu, natychmiast poczuł koszmarny ból. Skóra zaczęła go palić, jakby żądliły ją setki os, lecz nie wypuszczał zasuwę z dłoni. Po chwili zdołał ją odsunąć. Na jego ramieniu nabrzmiała szkaradna czerwona pręga. Madesus spojrział na nią z troską, lecz milczał. Conan kopnął gwałtownie kratę. Otworzyła się bez trudu i z łoskotem odbiła od ściany.

— Szybko, kapłanie! Musimy dotrzeć do króla i jego zaufanego człowieka, Kailasza, zanim dopadną nas strażę. Za mną!

Madesus skinął głową i pośpieszył za barbarzyńcą. Z trudem udawało się mu nie tracić go z oczu. Pierwotny zmysł orientacyjny pozwalał Cymmerianinowi bez trudu odnajdywać poprzednio przebytą drogę w labiryncie krętych korytarzy. W lochach nie spotkali nikogo. Na szczycie schodów Conan przystanął, by rozejrzeć się za strażnikami. Zdyszany z wysiłku Madesus oparł się o ścianę u ich podnóża. Odzyskawszy dech, ruszył w górę, obserwując Cymmerianina. Barbarzyńca dał mu znak, by szedł za nim dalej i cicho wszedł do wartowni. Panująca tu cisza szarpała nerwy Conana, ponieważ jednak słońce jeszcze nie wzeszło, pomyślał, że być może jest to normalne. Wsparłszy dłoń na rękojeści miecza, ruszył przez pokoje na parterze, korzystając ze wskazówek kapłana dotyczących położenia komnat króla.

W końcu obydwaj dotarli do wielkich, okutych miedzianą blachą drzwi, które według informacji Madesusa prowadziły do sypialni i gabinetu Eldrana. Chociaż drzwi były zamknięte, Conan zastanowił się, dlaczego nikt nie pełni przed nimi warty. Obejrzał się przez ramię, by

sprawdzić, czy Madesus podąża jego śladem. Musiał przyznać, że nie docenił kapłana. Jego towarzysz nie tylko dotrzymywał mu kroku, lecz również zachowywał się cicho. Conan jeszcze nigdy nie spotkał podobnego duchownego. Kapłan zdecydowanie różnił się od pompacyjnych, zasiedziałych w świątyniach pasibrzuchów, których Cymmerianin napotykał podczas swoich wędrówek. Ciekawiło go, jaka była przeszłość Madesusa, lecz nie miał ochoty go o to wypytywać.

Niespodziewanie zza draperii za plecami Madesusa wyłoniła się ludzka ręka. Cymmerianin krzyknął ostrzegawczo, lecz kapłan został schwytany, nim wołanie zdążyło przejść Conanowi przez gardło. Po chwili okute blachą drzwi otworzyły się i wypadła przez nie gromada górali. Królewscy gwardziści błyskawicznie otoczyli barbarzyńcę. Conan odruchowo wyciągnął miecz, lecz znieruchomiał, gdy w progu pojawił się zwalisty, ciemnowłosy Kezankiańczyk, który rzekł donośnym głosem:

— Zaczekajcie szelmy! — Jego rozkazujący ton powstrzymał górali. Wysoki Kezankiańczyk wskazał Conana i uśmiechnął się srogo. — Ty! — rzucił i znacząco zawiesił głos — pewnie jesteś Conan. Kapłana nie znam. Jesteśmy ci dłużni za wykrycie zdrajcy i ujawnienie próby zamachu stanu. — Góral wskazał na leżącego przy jego nogach martwego strażnika. — Ten podlec był jednym z pomocników zdrajcy. Schwytaliśmy go, gdy uciekał z lochów i bez trudu rozwiązaliśmy jego język. Kiedy dowiedziałem się, w czym maczał palce, zatopiłem miecz w jego parszywych flakach! — splunął z pogardą na trupa. — Jestem Kailasz, przyjaciel i obrońca króla Eldrana. Wejdźcie, opowiedzcie mi, co wiecie. Czy Salvorus jest z wami?

— Nie — odparł Conan, spuściwszy wzrok. — Zginął, walcząc z Valtreską.

— Złe wieści! — Spojrzenie Kailasza stwardniało. Zaciśnął dłonie tak silnie, że zbieleły mu kłykcie. — Nie wymawiaj więcej imienia tego łotra! Od tej pory będzie znany wszem i wobec jako zdrajca. Niech tysiąc demonów rozdziera na kawałki jego podłe serce! Salvorus był porządnym człowiekiem. Zasługiwał na lepszy los niż śmierć z ręki zdrajcy. Zachowają go w dobrej pamięci wszyscy, którzy wiernie służą królowi. Puśćcie kapłana! — zawołał do trzymających Madesusa górali. — Chodź tutaj, czcigodny. Macie opowiedzieć mi o wszystkim, co zaszło!

Conan wsunął miecz do pochwy i wraz z Madesusem wszedł za Kailaszem do królewskich komnat.

9. SPADKOBIERCA XUOQUELOSA

Conan pokrótce opowiedział Kailaszowi o walce w podziemiach.

— Eldranowi zostało mało czasu! — przerwał mu niecierpliwie Madesus. — Musicie natychmiast mnie do niego zabrać. My gadamy, a życie ucieka z króla jak woda z pękniętego dzbana. Pradawne zło podniosło głowę, a wasz monarcha znalazł się w jego śmiercionośnym uścisku!

— Skąd o tym wiesz? — zapytał Kailasz.

— Żałuję, że nie mam czasu wam tego wyjaśnić. Zaufajcie mi, inaczej wasz król zginie.

— Nie wiem dokładnie, o co mu chodzi, ale nikt nie wie dokładnie, co myślą kapłani — wtrącił się Conan. — W każdym razie Madesus nie chce zaszkodzić Eldranowi. Jego czyny świadczą o tym najlepiej.

Kailasz zamilkł. Miał zamęt w myślach. Podejrzewał, że Eldran padł ofiarą czarów, nie zaś trucizny, jak sądzili inni. Mimo to czy mógł powierzyć życie przyjacielowi w ręce kapłana? Wahał się rozdarty wątpliwościami. Król chorował już trzeci dzień, nic nie zwiastowało powrotu do zdrowia. Próby namówienia go do jedzenia i picia skończyły się niepowodzeniem. Jak długo Eldran mógł jeszcze wytrzymać? Król był silny, a jego wola twardsza od hartowanej stali, lecz Kailasz zdawał sobie sprawę, że jego druh umiera.

— Zabiorę cię do niego, uzdrowicielu, lecz nie odstąpię go ani na krok.

Podjąwszy decyzję, Kailasz zaprowadził Madesusa i Cymmerianina do położonej w głębi komnaty, w której leżał bezwładny jak nieboszczyk Eldran.

Minione trzy dni wywarły srogie piętno na brythuńskim władcy. Miał zapadnięte oczy, pobladłą i ściągniętą twarz. Chociaż spał, miał szeroko rozwarte oczy, zamarte w wyrazie przerażenia i odrazy. Co jakiś czas z jego półotwartych ust dobywał się nieartykułowany odgłos, a palce zginały kurczowo.

Nawet Kailasz, który oglądał stopniowe podupadanie na zdrowiu swego królewskiego przyjacielowi, był przerażony jego wyglądem. Conan zdał sobie sprawę, że śmierć położyła na monarsze swą lodowatą dłoń. Zaczynał wątpić, czy uzdrowiciel jest w stanie zrobić cokolwiek dla konającego władcy. W sypialnej komnacie zapanowało posępne milczenie.

Jedynie Madesus nie upadł na duchu na widok złego stanu króla. Zaciśnął dłoń na amulecie,

odmówił szeptem modlitwę i złożył drugą dłoń na czole Eldrana. Rozległ się ostry trzask i między brwią monarchy a ręką kapłana przeskoczyła ciemnobłękitna iskra. Kailasz zaklął i sięgnął po miecz, lecz Conan powstrzymał go. Trafiony przez iskrę Madesus jęknął z bólu i oderwał raptownie dłoń, jakby wetknął ją w kłębowisko jadowitych węży.

— Niech Mitra ma nas w opiece! Czuję obecność mocy, przecinającej więzy łączące tego człowieka z życiem. Mutare powstała z otchłani, by nieść żywym śmierć i trwogę! Jej władza nad Eldranem jest wielka, lecz jeśli Mitra dopuści, uwolnię od niej twojego króla, Kailasz. Odłóż miecz i zachowaj spokój. Nie jestem sługą ciemności. Patrzcie! — Madesus ściągnął przez głowę rzemień z amuletem i wzniosł go wysoko. Talizman rozgorzał oślepiającym białym blaskiem. Ciepła, kojąca poświata zalała całą komnatę. Oszołomieni wojownicy zmrużyli oczy i cofnęli się. Szaty i oczy Madesusa również poczęły świecić. Blask był tak jaskrawy, że Kailasz musiał zasłonić oczy dłonią, a Conan odwrócił wzrok.

— Wywodzę się z pradawnego, tajemnego Zakonu — rzekł kapłan. — Jestem jednym z ostatnich spadkobierców Xuoquelosa, największego proroka Mitry, który kiedykolwiek stąpił po ziemi. Nasz Zakon tworzą Strażnicy. Od tysięcy lat czuwamy potajemnie nad nieświadomą naszych zasług ludzkością. Celem mego Zakonu jest wyszukiwanie i unicestwienie pradawnego zła, kryjącego się w zapomnianych zakamarkach świata. Zakon stawia czoła istotom, których sam widok sprawia, że dusza i serce człowieka zamiera. Tak jak założyciel naszego bractwa, wypełniam święty nakaz zwalczania zła. Pan Światła nakazał mi pokonać kapłankę Mutare. Nie zawiodę jego woli!

Madesus przemawiał coraz głośniejszym i głębszym głosem. Ostatnie słowa rozbrzmiały w komnacie jak odgłos gromu. Kiedy skończył, odprężył się, opuszczając ramiona, blask zaś przygasł. Wtedy ponownie złożył dłoń na brwi króla. Raz jeszcze błękitna iskra przeskoczyła z czoła nieprzytomnego monarchy do ręki kapłana. Tym razem Madesus nie cofnął się, lecz zacisnął dłoń w pięść. Jego dłoń rozgorzała czerwonym blaskiem, jak rzucona na kowadło rozpalona bryła żelaza. Komnatę wypełnił głośny syk, spomiędzy zaciśniętych palców Madesusa zaczęły wydobywać się cienkie pasemka dymu. Czerwony blask przygasł stopniowo. Spadkobierca Xuoquelosa otworzył dłoń. Niebieskie iskry zniknęły. Uzdrowiciel ponownie złożył dłoń na czole monarchy. Tym razem nie napotkał oporu. Przymknął oczy i niskim, równym głosem zaczął odmawiać modlitwę.

Po chwili kapłan odwrócił się do oszołomionych wojowników. — Na razie królowi nie grozi śmierć, lecz bynajmniej nie jest bezpieczny i daleko mu do zdrowia — powiedział. — Wypędziłem demona, który dręczył go od wewnątrz. Powoli Eldranowi wróca siły. Być może nawet niedługo się obudzi. To jednak tylko chwilowa ulga. Zjawi się następny demon, by dokończyć dzieło pierwszego. Rytuał wyczerpał moje siły, odważę się powtórzyć go najwcześniej jutro.

— Kim jest ta Mutare? — zapytał zniecierpliwiony Kailasz. — Wyślę przeciwko niej tysiąc zbrojnych! Na Mitrę i Wikkanę, nie pozwolę żadnemu z nich spocząć, dopóki nie posiekają jej na kawałki. Mów, gdzie możemy ją znaleźć!

— Nie zaszkodzi jej nawet dziesięć tysięcy mieczy — odparł ze znużeniem Madesus. — Ciało Mutare różni się od ludzkiego. Powiadają, że nie płynie w nim krew. Wróg twojego króla to kobieta, kapłanka. Tylko tyle udało mi się dowiedzieć. Nie wiem, gdzie przebywa. Zebrałem tylko niepewne poszlaki i cienie dowodów, lecz zaręczam, że ją odnajdę.

— Dlaczego po śmierci generała Mutare miałyby dotrzymać zawartego z nim układu? — zapytał Conan.

— Mutare nie potrzebuje powodu, by zabijać — odrzekł Madesus. — Król umarłby, nawet gdyby nie podtrzymywała zaklęcia. Śmiercionośny czar, który na niego rzuciła, jest bardzo stary i potężny. Król będzie bezpieczny dopiero wtedy, gdy rozprawimy się z kapłanką. Jej zaklęcie jest znane naszemu Zakonowi. Wyczułem tu jego obecność. Kapłanka zawarła pakt z Władcą Demonów za cenę duszy ludzkiej. Zapewne kogoś z rodu Eldrana.

Po tych słowach oczy Kailasza zwęziły się, a jego twarz pobladła.

— Królowna! Jej ciało odnaleziono tuż przed chorobą króla!

— Obawiałem się tego — odparł poważnie Madesus. — Władca Demonów będzie nadal wysyłać bezkształtne sługi ciemności, by nękały duszę króla. Krew córki otworzyła wrota, dające mieszkającym otchłani dostęp do Eldrana. Można je zamknąć jedynie zabijając Mutare. Zagłada kapłanki unieważni pakt między nią a Władcą Demonów.

— Jak można ją zabić?! — wybuchnął zdesperowany Kailasz. — Sam powiedziałaś, że nawet dziesięć tysięcy mieczy nie wyrządzi jej szkody. Czy jest nieśmiertelna?

— Nie wpadaj w rozpacz, góralu. Kapłanka Mutare to wróg Mitry. Pan Światła włada mocami równie bezgranicznymi jak niebo nad naszymi głowami. Sięgając do nich z pomocą swojego amuletu, uczynię to, czego nie jest w stanie dokonać dziesięć tysięcy mieczy. W dawnych

czasach śmiertelności dla Mutare czary rzucono na mnóstwo talizmanów. Większość z nich została zniszczona, lecz kilka jest przechowanych przez nasz Zakon. Rankiem odnajdę kapłankę, lecz nie mogę sam się z nią zmierzyć. Potrzebuję waszej pomocy, by wygrać tę walkę. Nasza przeciwniczka nie jest w stanie zaszkodzić mi wprost, ponieważ mam ten amulet, lecz niewątpliwie wyśle przeciwko mnie wrogów z krwi i kości, przed którymi talizman mnie nie ochroni. Zdrajca Valtreska był jednym z jej pachołków. Jestem pewny, że zanim dotrzemy do niej, poleje się mnóstwo krwi.

— Wiąże mnie przysięga dana Salvorusowi — oznajmił ponuro Conan. — Będę ci towarzyszyć, dopóki król nie będzie bezpieczny. Biada temu, kto stanie mi na drodze!

— Na mnie również możesz liczyć — rzekł stanowczo Kailasz. — Eldran wielokrotnie uratował mi życie. To mój pan i przyjaciel. Tym razem spłacę choć część długu. W ciągu godziny zbiorę tysiąc zbrojnych i...

— Nie — przerwał mu Madesus, kręcąc głową. — Zapewne zabrałbyś doświadczonych wojowników, lecz ich liczba byłaby tylko zawadą. By zwyciężyć, musimy zaskoczyć kapłankę. Strach pomyśleć, jaki los nam zgotuje, jeżeli zdoła przygotować się na spotkanie z nami. Z łatwością dostrzegłaby zbliżanie się tysiąca ludzi. Tylko my trzej wiemy o jej istnieniu i niech pozostanie to naszą tajemnicą. Nie mów o tym nikomu bez względu na to, jak bardzo byś na tym człowieku polegał.

— Dobrze. Rozprawimy się z nią we trójkę skoro sobie tego życzysz — odparł Kailasz. — Jak zamierzasz odnaleźć kryjówkę tej wiedźmy?

— Do jutra i tak nic nie zwojujemy — stwierdził Madesus. — Poczyńcie wszelkie niezbędne przygotowania. Conanie, zostało mi dość sił, by zająć się twoimi ranami, lecz potem muszę wrócić do świątyni. Zanim zabierzemy się do dzieła, musimy wypocząć.

Conan protestował, lecz Madesus uparł się, że nie odejdzie, dopóki nie zajmie się przynajmniej najpoważniejszymi obrażeniami Cymmerianina. Barbarzyńca niechętnie przysiadł na sofie stojącej blisko królewskiego łoża, a kapłan zabrał się do dzieła. Podczas krzątania uzdrowiciela Conan przymknął oczy i spuścił głowę na piersi. Zmorzył go sen.

— Nie budź go — szepnął Madesus do Kailasza. — Niech tu zostanie. Obudzi się, kiedy rany się zablizną, a to nastąpi przed świtem. Muszę przyznać, że jego siły żywotne są zdumiewające. W jego ojczyźnie pewnie rzadko widuje się uzdrowicieli. — Madesus wyszedł za Kailaszem z komnaty. — Wróć niedługo ze świątyni — rzekł. — Niech nikt nie wchodzi do sypialni króla. Jeżeli łaskawy Pan Świata wysłucha moich próśb, jutro wieczorem będziemy mieli to za sobą. — Niech się stanie wola Mitry — stwierdził Kailasz. — Mam wezwać kogoś, by ci towarzyszył?

— To krótki spacer. Mam tak skromny dobytek, że nie potrzebuję pomocy przy jego noszeniu. Wróć najpóźniej za godzinę.

Po tych słowach Madesus wyszedł przez miedziane drzwi, napotykając się na zaniepokojone spojrzenia kilku górali. Kailasz odpowiedział na ich nieme pytanie przeczącym potrząśnięciem głowy. Wyciągnął miecz, przysiadł na drewnianej ławie obok drzwi i zaczął dokładnie przyglądać się ostrzu. Potem wy dobył osetkę.

Szlifowanie ostrza uspokajało Kailasza w trudnych sytuacjach. Do tej pory nie mógł wyjść ze zdumienia, że Valtreska okazał się zdrajcą. Polityczne gry brythuńskiej szlachty zawsze przyprawiły o irytację Kailasza, urodzonego w górach na południowym zachodzie kraju. Kezankiańczyk uważał politykę za azyl dla słabeuszy i tchórzy, lecz Eldran przekonał go w końcu, że jest inaczej.

Kailasz sądził jednak, iż to właśnie polityczne rozgrywki zapoczątkowały rozwój wydarzeń, uwieńczonych morderstwem królowny i chorobą jej ojca. Zastanawiał się, jak długo w Valtresce wzbierała niechęć do Eldrana, nim uknuł spisek udaremniiony przez Conana i Madesusa. Czy w pałacu czaili się inni zdraycy, czekający na okazję uśmiercenia króla? Kailasz uznał, że to mało prawdopodobne. Reszta pałacowej gwardii i dworzan była całkowicie oddana Eldranowi. Król potrafił zaskarbić sobie wierność poddanych. Jeszcze żaden brythuński władca nie był tak blisko pogodzenia zwaśnionych baronów, równocześnie z powodzeniem odpierając szarpiące granice wojska Nemedii i Koryntii.

Znaleźli się jednak tacy, którym nie w smak były sukcesy Eldrana. Kilka starych rodów z południa kraju wciąż nie uznawało jego panowania, aczkolwiek nie kwestionowali jego prawa do władania pozostałymi prowincjami Brythunii. Wielu z tych wielmożów otwarcie głosiło, że w żyłach Eldrana nie płynie królewska krew. Valtreska miał zapewne ich ciche poparcie. Kailasz zadrżał na myśl, że gdyby Eldran już nie żył, być może zdradziecki plan generała nigdy nie wyszedłby na jaw. Niewykluczone, że gdyby nie Conan i Madesus, Valtreska zasiadałby już na tronie.

Kailasz zadumał się nad swoimi niezwykłymi sprzymierzeńcami: cymmeriańskim

Moore Sean U - Conan niezłomny

wojownikiem i potężnym kapłanem Mitry. Wcześniej Kezankiańczyk wyobrażał sobie, że Cymmerianie to bladokórzy, ciemnowłosi olbrzymi o ponurych obliczach, bardziej przypominający zwierzęta niż ludzi. Conan nie odpowiadał temu wyobrażeniu, aczkolwiek Kailasz odczuwał zdrowy respekt wobec wykazanej przez barbarzyńcę niepospolitej sprawności w walce. W ciągu paru dni miejski cmentarz zapełnił się ciałami zabitych przez Cymmerianina strażników. Kezankiańczyk stwierdził, że z chęcią stanie do boju u boku tak wspaniałego wojownika.

Kailaszowi o wiele trudniej przychodziło zrozumieć Madesusa. Góral nie widział jeszcze nikogo władającego tak wielką mocą, chociaż nasłuchiwał się dosyć opowieści o czarnoksiężnikach i kapłanach. Kezankiańczycy byli przesadnym ludem. Za młodu Kailasz spędził wiele wieczorów przy ognisku, wsłuchując się w opowiadane przez siwobrodych starców historie o czarach, duchach i niezemskiej magii. Z początku sądził, że ich jedynym celem jest wywołanie u słuchaczy przerażenia, lecz w ciągu swojego życia natrafił na dowody, potwierdzające sporą część tych opowieści. Nigdy nie wnikał w tajniki wiedzy kapłanów i czarnoksiężników, nauczył się bowiem obawiać nieznanego. Nawet Madesus napawał go lękiem. Tak czy owak, wyznawca Mitry pomógł królowi. Innym kapłanom i uzdrowicielom nie udało się przynieść Eldranowi ulgi w cierpieniach. Wszelako Kailasz nie ufał Madesusowi, aczkolwiek na razie nie miał powodów, by to okazać.

Jego myśli zakłóciły lekkie kroki w korytarzu. Włożył osetkę do sakwy i stanął przy wejściu razem z pozostałymi Kezankiańczykami. Nie spodziewał się, by Madesus zdołał wrócić tak szybko. Zaniepokojony, czekał na przybysza. Po chwili w przedsionku pojawił się odziany w jedwabne szaty nadworny eunuch Lamici.

— Wybacz mi najście — zwrócił się do Kailasza lekko drżącym głosem. Eunuch sprawiał wrażenie nieco wymiętego, jak gdyby dopiero co się obudził. — Jeden ze strażników dał mi znać, że Valtreska okazał się zdrajcą i został zabity!

— Owszem — odparł Kailasz. — Generał zabił Salvorusa, a sam padł z ręki Conana.

Cymmerianin i kapłan są świadkami, że Valtreska wystąpił przeciw królowi.

— Straszne! Jeden z najstarszych przyjaciół króla...! — Lamici udał zaskoczenie, zastanawiając się nerwowo, czy zostały wykryte również jego knowania. — Czy ktokolwiek rozmawiał z Valtreską przed śmiercią?

— Tylko barbarzyńca. Kapłan twierdzi, że generał był jedynie pachółkiem kapłanki prastarego i ponoć wyjątkowo odrażającego kultu jakiejś Mutare, która z sobie tylko znanych powodów rzuciła na Eldrana śmiertciony czar. Gdyby nie Madesus, król pewnie by już nie żył. Lamici odczuł ulgę, że nie został wykryty, jednakże zaniepokoiła go wieść, iż wiadano o Azorze. Jak zwykły kapłan Mitry mógł dowiedzieć się o jej istnieniu? Śmierć Valtreski oznaczała unicestwienie marzeń Lamiciego o przywróceniu chwały brythuńskiego tronu. W tym momencie przysiągł sobie, że wścibski kapłan i barbarzyńca srogo za to zapłacą. Wierzył, że Azora zgniecie ich jak robactwo. Musiał jak najszybciej przekazać jej wieści o najnowszych wydarzeniach. Najpierw jednak należało ustalić, co wie Kailasz. Ten kezankiański prostak najwyraźniej nadał mu ufać.

— Mutare? Czy ona również została zabita? — zapytał.

— Nie. Madesus nie wie, gdzie znaleźć tę czarownicę, lecz powiedział, że odnajdzie ją i pokona. Lamici, tak potężnego kapłana nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Nosi ze sobą amulet, i dzięki któremu rozkazuje niezwykłym magicznym mocom. Conan i ja będziemy towarzyszyć mu w poszukiwaniach tej kobiety. Podejrzewam, że ona i Madesus są od dawna wrogami.

— Spotkali się wcześniej? Skąd Madesus o niej wie? — Lamiciego ogarnął strach. Jeżeli kapłan nie zostanie szybko wyeliminowany, mogą zostać wykryte powiązania eunucha z Azorą.

— Nie wiem, czy się spotkali, ale Madesus wie, że ta kobieta jest w pobliżu. Powiadam ci, Lamici, w tym kapłanie jest coś niesamowitego. Wyczuwał jej obecność, ale nie chciał wyjaśnić, w jaki sposób. Nie wiem, co ja lub Conan możemy zwojować przeciw Mutare, lecz Madesus prosił, byśmy mu towarzyszyli.

— Tak, koniecznie — rzekł Lamici z uśmiechem. — Jeżeli wolno; gwardziści zastanawiają się, kto obejmie urząd po Valtresce. Mam czelność twierdzić, że nikt nie nadaje się na to stanowisko bardziej od ciebie.

Kailasz zamilkł na chwilę. Nigdy nie wyobrażał sobie siebie w roli wodza brythuńskich wojsk, lecz po śmierci Salvorusa istotnie brak było innych kandydatów. Kailasz poczuł zdumienie, że o tym nie pomyślał.

— Król niedługo będzie w stanie sam zdecydować, kogo mianować generałem — powiedział góral po zastanowieniu. — Ja złożyłem obietnicę kapłanowi i muszę jej dotrzymać przed wszystkim innym.

— Oczywiście masz rację — odparł Lamici przytakując. — Wydam niezbędne zarządzenia, co do zajęcia się ciałem generała i zajmę się uporządkowaniem lochów. Kiedy ruszacie na poszukiwania kapłanki?

— Najpóźniej za godzinę, natychmiast, gdy Madesus wróci ze świątyni. Lamici, nie rozpowiadaj o tym. Nie możemy ryzykować, by wieść o naszych poczynaniach wpadła w zdradzieckie uszy.

— Moja rodzina od trzech pokoleń służy królewskiemu rodowi — odparł Lamici uspokajającym tonem. — Dochowam powierzonej mi tajemnicy. Niech bogowie was prowadzą. Skłonił się i pożegnał górala. Potem najszybciej jak mógł wrócił do swojej komnaty i wyciągnął ze schowka sztylet z wąskim żłobieniem, przebiegającym wzdłuż całego lśniącego ostrza. Następnie bardzo ostrożnie otworzył mały słoiczek i zanurzył w nim krótki patyczek. Skrzywił nos, poczuwszy woń dochodzącą z wnętrza naczynia. Starannie wypełnił rowek pomarańczową, przypominającą żywicę cieczą. Do wewnętrznej strony prawego przedramienia przypasał smukłą pochewkę. Łysą głowę pokryły mu krople potu, gdy ostrożnie wsuwał do niej ostrze sztyletu. Widział już, co dzieje się z człowiekiem, gdy choćby kropla śmiertelnej zawartości słoiczka zetknie się ze skórą. Odebrał go nasłanemu na Eldrana vendhiańskiemu zabójcy, udającego posła przystanego z zadaniem wynegocjowania traktatu handlowego. Vendhiańczyka wynajął wrogi monarsze brythuński ród. Morderca pokrył trucizną małą strzałką i wydmuchnął ją w stronę króla z drugiej strony sali. W tym samym momencie przez otwarte okno wpadł powiew powietrza, który zmienił tor lotu pocisku. Strzałka trafiła w ramię jednego z Kezankiańczyków, ledwie zadrapując skórę. Mimo to góral chwycił się za rękę i padł w drgawkach na posadzkę, wyjąc z koszmarnego bólu. Piana wystąpiła mu na usta, a po chwili wyzionął ducha. Jedyнным śladem zbrodniczego zamachu była znikoma czerwona plamka na jego ramieniu. Na to wspomnienie usta Lamiciego wykrzywiły się w uśmiechu. Taka śmierć była godna kogoś, kto udaremnił jego plany. Madesus powinien skonać z pianą na ustach jak wściekły pies. Ukrywszy bezpiecznie zatrutą broń, Lamici założył płaszcz z kapturem i wymknął się z pałacu.

10. KAMIENI CIEN

Madesus dotarł do świątyni, gdy słońce wznosiło się nad murami po wschodniej stronie miasta. Kapłan zatrzymał się w połowie schodów przed wielkim, głównym wejściem. Słońce jakby obudziło jego pamięć, nagle przypomniał sobie położenie budowli, widzianej w magicznym zdroju Kaletosa.

W Pirogfi pełno było wiekowych gmachów, lecz najstarsze z nich leżały na zachód od królewskiego pałacu. Od przybycia do stolicy Brythunii Madesus mijał je wielokrotnie. Niektóre zamieniły się już w ruiny, lecz inne nieźle zniosły upływ czasu. Kapłan miał pewność, że gmach, którego szukali, jest właśnie tam, nie rozpoznawał jednak żadnej ze zdołałych go pradawnych rzeźb. W magicznym zdroju widział każdy szczegół posągów, jak gdyby dopiero co je wykuto, lecz w rzeczywistości czas i pogoda zatarły ślady dłuta niemal zupełnie, pozostawiając jedynie zarysy. W każdym razie Madesus wiedział już gdzie i czego wypatrywać.

Kapłan podjął wspinaczkę po schodach ze zdwojonym uczuciem, iż czas nagli. Nadszedł czas, by stawić czoło wrogowi. W ciągu dnia moc Mitare była osłabiona. Bezchmurne niebo stanowiło znak, że Mitra jest po stronie kapłana i jego towarzyszy. Czując przyływ ufności, Madesus wszedł do świątyni po swoje rzeczy. Nie miał czasu na powtórny rozmowę z Kaletosem. Wiedział, że musi natychmiast wracać do pałacu, w którym czekali na niego Conan i Kailasz. Gdy wyszedł, na ulicach zdążyło się już zrobić tłoczno od mieszkańców stolicy rozpoczynających poranną krzątalinę. Wieści o poprawie stanu zdrowia Eldrana sprawiły, że ten dzień zapowiadał się lepiej niż poprzednie. Przeciskając się przez szemrzącą radośnie ludzką ciżbę, kapłan dotarł wreszcie do pałacowej bramy.

Wartownicy poznali go natychmiast i z ukłonami wpuścili do środka. Po kilku minutach Madesus dołączył do Kailasza nadal czuwającego przed komnatą Eldrana.

Conan obudził się chwilę wcześniej. Czuł się obolały, minęło jednak wyczerpanie. Po kąpieli od jednego z roślejszych górali dostał strój, składający się z obcisłych spodni z surowego, zielonego płótna oraz bluzy z długimi rękawami i rzemiennym sznurowaniu na przedzie. Przy skórzanym pasie zawiesił zwrócony mu pałasz, czyli prosty, jednosieczny miecz.

Kailasz na widok Madesusa zarzucił na ramię swoją czarną skórzaną sakwę. Był ubrany podobnie jak Conan, odróżniały go jednak ciężkie, czarne buty, zwykły miecz i gruby, żelazny hełm.

— Nie możemy pozwolić sobie na odpoczynek — powiedział do Madesusa. — Jeżeli wiesz,

gdzie jest kapłanka, pójdziemy tam natychmiast.

Conan przytaknął bez słowa.

— Zaprawdę Mitra jest z nami — odparł Madesus, starając się zwalczyć zmęczenie po nieprzespanej nocy. — O wschodzie słońca zdałem sobie sprawę, że wiem, gdzie znajduje się kryjówka Mutare. Jestem pewny, że zaszyła się w jednej ze starych świątyń w opuszczonej dzielnicy.

— W ruinach? — spytał ze zdumieniem Kailasz. — Stu ludzi nieustannie pilnuje tych gmachów, by nie zaplątał się tam nikt niepowołany. Wiele z tych budowli jest nawiedzanych przez duchy bądź przeklętych. Pirogię wybudowano dookoła nich, lecz nikt nie wie, kto tam mieszkał. Niejeden śmiałek przepadł bez wieści podczas badania tych ruin.

— Dlatego właśnie jest to idealna kryjówka dla Mutare — stwierdził Madesus. — A jeżeli chodzi o strażników, to prędzej usłyszą tupot myszy niż kroki Mutare. To ludzkie kameleony. Mógłbyś minąć któregoś na ulicy i wcale go nie poznać. Co jeszcze wiesz o tych budowlach?

— Niewiele — zwałisty góral pokręcił głową. — Są zagadką nawet dla mędrców o najdłuższych brodach. Sądzę jednak, że dowiemy się o tych ruinach więcej, niż byśmy chcieli!

— To idziemy! — przerwał im Conan. — Zamierzam wywiązać się z przyrzeczenia danego Salvorusowi, zanim urośnie mi broda tej długości, co waszym mędrcom.

Nie czekając na towarzyszy, ruszył do drzwi. Kailasz roześmiał się serdecznie i podążył za nim z Madesusem u boku.

Dookoła starych budowli wzniesiono niski, rozsypujący się w wielu miejscach mur. Gruz zaścierał przylegające do ogrodzenia zaułki. Nawet w świetle porannego słońca panowała tu posępna atmosfera. Na ulicach kładły się cienie opustoszałych gmachów. Ich architektura była zupełnie odmienna od brythuńskiej.

Jakaś nie dająca się ująć w słowa cecha dzielnicy ruin szarpała nerwy Cymmerianina.

Wzmianki Kailasza o duchach i czarach obudziły w barbarzyńcy instynktowny lęk przed zjawiskami nie z tego świata. Conan wyjął pałasz, a Kailasz poszedł za jego przykładem. Jedyne Madesus zachowywał spokój.

Oddział straży miejskiej szybko odkrył ich obecność, lecz Kailasz odesłał czujnych wartowników. Gdy odgłos żołnierskich kroków na kamiennym chodniku ucichł w oddali, na ulicy zapanowała całkowita cisza. Kręta droga wiła się jak wąż wokół muru. W ciągu kwadransa trzej mężczyźni pokonali połowę jej długości.

W pewnej chwili Madesus kazał towarzyszom stanąć, ponieważ chciał przyjrzeć się jednej z budowli. Znajdowała się ona w odległości niecałych dwudziestu kroków od nich. Obok stała wysoka wieża z rozsypującym się zwieńczeniem, niemal całkowicie zasłaniająca wrota świątyni przed światłem słońca. Z ulicy było widać tylko róg budowli. Zwietrzała kamieniarka i kształt gmachu świadczyły, że pochodzi z czasów dawniejszych, niż wzmiankowane w szacownych hyboryjskich sagach. Pobrużdżone, szare ściany nie sprawiały groźnego wrażenia. Resztki kamiennych rzeźb były zbyt skąpe, by można było ustalić, do jakich bogów modlili się bywalcy tej świątyni.

Madesus przyjrzał się uważnie gmachowi, po czym wskazał go Kailaszowi i Conanowi.

Cymmerianin podszedł bliżej i rozejrzał się bacznie po sąsiednich budowlach, lecz nie dostrzegł nic niepokojącego. Dał znak towarzyszom, że mogą ruszać jego śladem.

— Mówcie jak najciszej! — szepnął Madesus. — Po wejściu do świątyni ja poprowadzę.

Jeżeli znajdziemy kapłankę, nie patrzcie jej w oczy. Będziecie czuć po temu przemożną pokusę, lecz jeśli jej ulegniecie, przekonacie się, że spojrzenie Mutare jest równie śmiertelne jak ukąszenie jadowitego węża.

Conan skinął głową.

— Jak chcesz ją zabić?

— Z pomocą amuletu. Jego światło sprawi, że ta wiedźma zniknie jak mgła w rannym słońcu.

Pisemne przekazy podają, że ostrą stalą można zabić tylko tych członków tej rasy, w których żyłach płynie jeszcze krew. Jest to zagadka, ponieważ cechą Mutare jest właśnie to, iż w ich ciałach nie krąży żaden życiodajny płyn. Kapłanka musi kryć się przed światłem. Jeżeli będzie chciała uciec, macie ją zatrzymać, chociaż grozi to zranieniem lub nawet śmiercią. Jeżeli spróbuje mnie dotknąć, odstraszy ją amulet. Jeżeli uda się nam złapać ją w pułapkę, będzie skazana na zagładę. Nie możemy pozwolić jej uciec!

— Niech zaraza wybije te stwory! — Kailasz zgrzytnął zębami. — Wolałbym walczyć gołymi rękami z hordą Turańczyków, niż wejść na oślep do legowiska tej lwicy, wiedząc, że nie mogę jej w żaden sposób zaszkodzić!

Conan mruknął na znak zgody i klnąc pod nosem, schował pałasz.

Madesus ruszył za dwoma wojownikami do wielkich kamiennych drzwi świątyni. Okrążając budowlę, Conan stwierdził, że ma ona nie cztery, jak mu się z początku wydawało, lecz pięć

nieregularnych ścian. Pięć długich, niskich stopni prowadziło do jedyne widocznego wejścia. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że świątynia ostała się przez wieki, ponieważ wybudowano ją z twardego, szarego granitu. Żywioty sprawiły, że kamień zmatowieł, lecz nie zwietrzał. Conan wskazał wejście. Madesus skinął głową. Cymmerianin wszedł po stopniach, przyglądając się wielkim kamiennym odrzwiom. Z zaskoczeniem stwierdził, że są pozbawione klamki. Drzwi były o połowę od niego wyższe i niemal dwukrotnie szersze. Sama świątynia była niska. Gzyms znajdował się niewiele ponad trzy stopy nad szczytem drzwi. Conan rozejrzał się bacznie, szukając sposobu dostania się do środka. Kailasz dołączył do niego, podczas gdy Madesus rozglądając się dookoła, pozostał u podnóża schodów. Kapłan nie wyczuwał obecności Mutare, mimo iż znajdował się na progu jej siedziby. Skupił się, starając się wykryć ślady zła, lecz jego wysiłki okazały się bezskuteczne. Zważył, czy trafili do właściwego budynku, lub może sny i wizja w zdroju okazały się zawodne. Po chwili odrzucił od siebie wątpliwości. Mutare musiała się kryć właśnie tutaj, lecz jakiś czar sprawiał, że kamienne mury skrywały ją przed jego zmysłami.

Tymczasem Conan i Kailasz nie zdołali znaleźć sposobu dostania się do środka. Cymmerianin był już gotów wyważyć drzwi; lecz nim zdążył powiedzieć o tym towarzyszom, pod najwyższym stopniem schodów rozległo się głośnie szczęknięcie. Po chwili drzwi odsunęły się z głuchym zgrzytem.

Spięty ze zdenerwowania Kailasz odskoczył w bok i przywarł do ściany, wystawiwszy miecz przed siebie. Conan ukrył się po drugiej stronie. Madesus wyjął spod szaty amulet i owinał dłoń jego łańcuszkiem. Teraz słabo, lecz wyraźnie odczuł obecność Mutare, dobywającą się z wnętrza niczym ulotna woń rozkładu. Zebrał się na odwagę, zajrzał w mrok za kamienną płytą. Dostrzegł pogrążoną w cieniu obszerną salę. Naprzeciw wejścia w miejscu złączenia dwóch ścian znajdował się wielki, kamienny ołtarz. Między wejściem a stołem ofiarnym wznosiły się rzędy kamiennych ław, których wysokie, spiżowe oparcia pokrywały niepodobne do niczego motywy zdobnicze. Zmrużywszy oczy, Madesus przypatrzył się płaskorzeźbom na ścianach. Starał się dojrzeć ich szczegóły, w środku było jednak zbyt ciemno. Wziąwszy głęboki oddech, kapłan przeszedł przez próg.

Conan i Kailasz ruszyli zanim Cymmerianin nadal zastanawiał się, co spowodowało otworenie drzwi. Zdawało mu się, że najwyższy stopień znajdował się obecnie odrobinę niżej, lecz Conan był pewny, że ani on, ani Kezankiańczyk nie stanęli na nim. Wciąż roztrząsając tę zagadkę, zatrzymał się za kapłanem i rozejrzał po świątyni. Wysokie sklepienie było ciemniejsze niż skóra Kushyty. Ławy sprawiały wrażenie przyczajonych groźnie bestii z kamienia i spiżu, gotowych rzucić się na każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu. Barbarzyńca obejrzał się na Kailasza. Czoło Kezankiańczyka pokrył pot. Instynkt Cymmerianina podpowiadał, że w świątyni czyha niebezpieczeństwo.

Podczas gdy wszyscy trzej przyglądali się ołtarzowi, Conan usłyszał kolejne szczęknięcie dobiegające spod najwyższego stopnia. Barbarzyńca odwrócił się w stronę wejścia i stwierdził ze zdumieniem, że drzwi zamykają się z powrotem.

Cymmerianin błyskawicznie oderwał oparcie jednej z ław, a Kailasz skoczył do drzwi. Kezankiańczyk dopadł do wejścia przed Conanem i zaczął pchać ile sił, starając się nie dopuścić do zasunięcia kamiennych płyt. Niestety, udało się mu jedynie nieznacznie zwolnić tempo przesuwania się masywnych drzwi. Conan wetknął w pozostały prześwit brązowe oparcie ławy. Spatynowany metal zazgrzytał pod naciskiem kamienia i wygiął się trzeszcząc. Drzwi sunęły nadal. Do całkowitego zamknięcia dzieliła ich tylko szerokość kilku dłoni. Cymmerianin zaparł się stopą o ościeżnicę i wspólnie z Kailaszem spróbował powstrzymać drzwi. Znajdujący się po wewnętrznej stronie uchwyt nie wytrzymał nacisku połączonych sił górala i barbarzyńcy i odłamał się z głośnym trzaskiem. Kailasz zaczął kłać.

Conan usiłował zatrzymać drzwi, chwytając za ich skraj. Włożył w to wszystkie siły. Na ramionach i nogach wystąpiły mu postronki mięśni. Kailasz przyszedł mu z pomocą, zalewając się potem z wysiłku. Nie zdało się to na nic. Drzwi zatrzasnęły się, rozcinając oparcie ławy na dwie części. Obaj wojownicy oparli się o ścianę, łączywie chwytając powietrze. Madesus stał spokojnie. Fakt, iż zostali zamknięci w świątyni bez możliwości jej opuszczenia, zdawał się nie czynić na nim wrażenia.

— Oszczędzajcie siły — powiedział zdecydowanym tonem. — Znaleźliśmy się w pułapce, lecz tak samo jest z kapłanką. Nie wątpię, że zna jakąś sztuczkę pozwalającą otworzyć drzwi. Musimy ją znaleźć. Wyczuwam jej obecność, więc na pewno jest gdzieś blisko. Musi być tu jakieś drugie wyjście. Znajdźmy je!

— Obejrzę tę ścianę... — zaczął Conan, lecz Madesus natychmiast go uciszył.

— Szsz! Nie wymawiaj imienia żadnego z nas! Jeżeli ona nas słyszy, wykorzysta je przeciwko nam. Wasze imiona są drogą do waszych dusz!

Kailasz i Conan popatrzyli na niego z niedowierzaniem, lecz kapłan nie był w nastroju do udzielania wyjaśnień. Wymówił kilka słów w nieznanym towarzyszom języku i amulet w jego dłoni rozgorzał intensywnym blaskiem. W świątyni zrobiło się jaśniej. Conan ruszył wzdłuż jednej ze ścian, zaś Kailasz zaczął przyglądać się drugiej. Nie znalazłszy wyjścia, równocześnie dotarli do kamiennego ołtarza. Madesus podszedł ku nim między rzędami ław.

Zbliżywszy się do ołtarza, zorientował się, że w świątyni składano ofiary Targolowi, dziwnemu bogu, czczonemu przez jeszcze dziwniejszych wyznawców. O ile sobie przypominał, wiara ta wygasła przed pięcioma stuleciami. Opisy przedstawiały Targola jako surowego boga, wiele wymagającego od wiernych i dającego mało w zamian. Kapłani tej religii byli niegdyś potężną, aczkolwiek neutralną siłą, nie mieszającą się do polityki i ówczesnych spraw. Madesus pamiętał wszakże, co spotkało przed wiekami kapłanów Yoga w Zambouli. Ten konkurencyjny kult próbował zakazać wyznawania Targola w tym mieście. Wkrótce potem kapłani Yoga zaczęli znikać jeden po drugim bez śladu. Po zniknięciu ostatniego, ich szkielety w nienaruszonych, ceremonialnych szatach odkryto w głębokiej jamie poza miastem.

Te wspomnienia sprawiły, że Madesus zapomniał o niebezpieczeństwie i zaczął dokładniej przyglądać się ołtarzowi. Stał ciemną warstwę kurzu, pokrywającą runy wryte na powierzchni ofiarnego stołu. Chwilę później ogarnęła go senność. Stwierdził, że coraz trudniej jest mu się skupić. Blask amuletu przygasał. Kapłan zamrugał, starając się skupić wzrok na Conanie lub Kailaszu i opowiedzieć im o Targolu. Kezankiańczyk podszedł do Madesusa i znieruchomiał jak przykuty do posadzki. Jego oczy przybrały szklisty wyraz. Kapłan usiłował podejść do niego i wytrącić go z odrętwienia, lecz miał wrażenie, że jego stopy zamieniły się w sztaby ołowiu. Conan zaczął oglądać sięgający mu do pasa blok kamienia. Pięcioboczny ołtarz przypominał ogólny plan świątyni. Cymmerianin zauważył rząd łukowatych rys znaczących posadzkę u podstawy stołu ofiarnego. Wtedy ogarnęła go fala znużenia. Potrząsnął głową, by pozbyć się mgły ogarniającej jego pole widzenia i ziewnął. Mimo to nadal czuł nienaturalne wyczerpanie. Potarł twarz. We wnętrzu świątyni zrobiło się ciemniej... Nie, to przygasał amulet Madesusa. Conan pomyślał, że z chęcią oparłby się o ołtarz i chwilę odpoczął. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy spał po raz ostatni. Wydało mu się, że było to całe tygodnie temu. Osunął się na ofiarny stół, pałasz wypadł mu z ręki...

Ostrze broni osunęło się ze szczękiem z ofiarnego stołu i trafiło Cymmerianina w łydkę. Na widok cieknącej po gołeniu stróżki krwi, barbarzyńcy natychmiast przejaśniło się w głowie. Gdy spojrzal na opartych o ołtarz Madesusa i Kailasza, serce załomotało mu w piersi. Jego towarzysze spali z otwartymi oczami, w których widniała niesamowita pustka. Amulet w dłoni kapłana wydzieliał już tylko ledwie dostrzegalną poświatę. Odzyskawszy czujność, Conan podszedł do Madesusa i potrząsnął nim. Kapłan nie obudził się, tylko poruszył bezgłośnie ustami. Cymmerianin szybko zdał sobie sprawę, co powinien zrobić w tej sytuacji. Drasnął czubkiem pałasza odkryte ramię kapłana, aż pociekła krew. Madesus natychmiast doszedł do siebie i rozejrzał się z przerażeniem. Amulet rozgorzał jaśniejszym blaskiem. Conan podszedł do Kailasza i zrobił to samo, co z Madesusem. Kezankiańczyk, który nie wypuścił broni z ręki, drgnął i zamachnął się na Cymmerianina. Ten zręcznie uchylił się przed ciosem. Kailasz odzyskał jasność rozumowania i powstrzymał cięcie w powietrzu.

— Co, na Wikkanę... — wybełkotał góral i wziął się w garść. — Co się z nami stało?

— Kapłanka zaczyna się z nami bawić — na twarzy Madesusa malował się gniew. — Och, jest bardziej przebiegła i niebezpieczna, niż myślałem — zaśmiał się cicho i wskazał pokrywającą ołtarz warstwę pyłu, obecnie startego w paru miejscach. Uniósł dłonie i zaśmiał się ponownie. — Spójrzcie na swoje ręce. — Conan i Kailasz rozwarli dłonie i przyjrzeni się im uważnie. Ich oczy rozszerzyły się na widok pokrywających je jasnoczerwonych plam. — Sproszkowane kwiecie purpurowego lotosu — stwierdził Madesus, patrząc na swoje ręce. — Warstwa tak cienka, że nie mogliśmy jej dostrzec, lecz wystarczająca, by spowodować narkotyczny sen i paraliż. Uważajcie, by znów nie dotknąć ołtarza. Ciekawe, jaki los nam gotowała kapłanka?

— Popatrzcie tutaj — powiedział Conan, wskazując zauważone wcześniej rysy na posadzce.

— Ołtarz jest ruchomy — orzekł Kailasz, przyjrawszy się bruzdom. — Jeżeli pchniecie go z drugiej strony, może uda się go odsunąć.

Madesus przysunął się bliżej, unosząc amulet tak, by rzucał we wskazane miejsce jak największą światłą.

— Popatrzcie na róg! — powiedział.

Conan nachylił się i mrużąc oczy, przyjrzał wskazanemu przez kapłana miejscu. Wgłębienie w kamieniu przypominało uchwyt. Cymmerianin już miał pchnąć ofiarny stół, lecz powstrzymał go Kailasz.

— Zaczekaj chwilę! — powiedział góral. Wsunął miecz do pochwy i sięgnął do torby po parę

grubych, skórzanych rękawic. — Spróbuję sam — naciągnął rękawice, a Conan odsunął się na bok, Gdy Kailasz pochylił się i pchnął róg ołtarza, stół ofiarny przesunął się bez trudu w bok, jakby jego podstawa była dobrze naoliwiona. Rozległ się jedynie cichy zgrzyt kamienia o posadzkę. Oczom trzech mężczyzn ukazał się prowadzący w dół ciemny szyb ze stromymi kamiennymi schodami. Madesus zniżył amulet.

— Schody nikną w ciemnościach... — mruknął Kailasz.

Z szybu dobywał się zatęchły odór rozkładu, gorszy niż ohydny I smród porozrzucanych na polu bitwy gnijących trupów. Kailasz i zaklął i splunął. Prócz obmierzłej woni, Madesus wyczuł narastającą aurę zła. Była tak wyrazista, iż miał wrażenie, że jest w stanie jej dotknąć.

— Kapłanka jest na dole! — stwierdził.

Góral opuścił się do szybu i na chwilę przystanął na najwyższym stopniu. Madesus oświetlał mu amuletem drogę. Kezankiańczyk zaczął schodzić w dół. Po chwili nad wylotem szybu wystawały tylko jego ramiona i głowa. W tym momencie Conan usłyszał szcęk metalu pod podstawą ołtarza. Zanim zdążył krzyknąć ostrzegawczo, błyszczące ostrze przecięło powietrze na wysokości odsłoniętej szyi Kailasza. Górala uratowały wyrobione w bitwach odruchy i hełm z hartowanego żelaza. Skulił się w szybie i zdołał uchylić się przed ostrzem, które wbiło się w jego hełm, strącając go z głowy. Pułapkę skonstruowano tak, by klinga schowała się z powrotem w ścianie szybu, lecz hełm zaczepiony o zdradzieckie ostrze sprawił, że złamało się ono w połowie. Kailasz popatrzył ze zgrozą na utracony kawałek metalu. Bez słowa sięgnął po hełm i tłukł nim o kamienie, póki utamane ostrze nie odpadło, po czym założył go z powrotem na głowę.

— Niech Mitra spuści zagładę na tę zatraconą norę! — Potem z jego ust bluznęła potok znacznie barwniejszych przekleństw. Cymmerianin postanowił nie ryzykować. Oderwał oparcie kolejnej ławy i wklinował je między kamienny blok a posadzkę, by ołtarz nie zasunął się z powrotem. Madesus zszedł za Kailaszem do szybu, a Conan podążył za nim.

Na schodach kapłan wyłowił ze swej sakiewki niewielkie puzderko i rozpylił odrobinę zawartego w nim proszku. Powietrze oczyściło się nieco. Woń magicznej substancji osłabiła odór rozkładu tak, że można było swobodniej oddychać. Kilkadziesiąt pierwszych stopni wilo się spiralnie, po czym schody skręcały łagodnym łukiem w lewo. Sklepienie było wystarczająco wysoko, by Cymmerianin nie musiał się schylać.

U podnóża schodów znajdował się korytarz wyścielony grubym, czerwonym dywanem, tkanym w osobliwe wzory. Wzdłuż ścian znajdowały się uchwyty z czarnego żelaza. Osadzone w nich lampy rozżyczały jednostajny, zielonkawy blask, chociaż nie płonęły w nich żadne paliwo.

— Targoliańskie pochodnie — mruknął Madesus, wskazując ściany. — Wielu starło się odkryć sekret ich wyrobu, lecz sztuka ta zaginęła. Palą się przez całe stulecia, nie wydzielając ciepła. Nie do wiary, że te jeszcze nie zgasły.

Kailasz szturchnął dywan końcem miecza, spodziewając się następnej pułapki. Tym razem nie stało się nic niezwykłego. Góral odetchnął z ulgą i wszedł na dywan. Teraz kapłan objął prowadzenie, zaś Kezankiańczyk i Cymmerianin szli pół kroku za nim. Gruby kobierzec tłumił odgłosy ich kroków. W pewnej chwili Madesus nachylił się, by przyjrzeć dywanowi. Stłumił dreszcz odrazy, gdy stwierdził, że utkano go z ludzkich włosów.

Conan liczył pochodnie na ścianach, by wiedzieć, jak daleko zaszli. Stwierdził, że zielony blask budzi w nim niepokój. Rzucił nerwowe spojrzenia we wszystkie strony i często oglądał przez ramię, by upewnić się, że nie skrada się za nimi żaden nadnaturalny prześladowca.

Panująca w podziemiach cisza wytrącała go z równowagi. Wiedział, że gruby dywan stłumiłby kroki każdego ewentualnego nieprzyjaciela.

Kailasz nie odczuwał takiego niepokoju jak Cymmerianin. W odróżnieniu do barbarzyńcy miał małe doświadczenie w tego rodzaju sytuacjach. Chociaż był co najmniej dziesięć lat starszy, brał udział w mniejszej ilości walk niż towarzyszący mu wojownik z Północy.

Conan naliczył prawie trzydzieści pochodni, gdy nie oglądając się za siebie, Madesus uniósł dłoń, dając znak, by stanąć.

— Niech Mitra ma w opiece nasze dusze — szepnął kapłan. — Mutare jest za tym zakrętem — wskazał. — Czuję jej obecność tak mocno, że każda kość w moim ciele zdaje się krzyżeć, zmrózona chłodem jej zwyrodniałej wrogości. Na pewno wykryła już nasze wtargnięcie, bowiem jest w stanie wyczuć moją bliskość, tak jak ja jej ohydę. Pamiętajcie, nie wolno dopuścić, by uciekła!

Conan wypuścił powietrze z piersi. Zmusił się do odprężenia, by być lepiej przygotowanym na spotkanie nieprzyjaciela. Madesus zacisnął silniej dłoń na amulecie, Kailasz zaś wznosił miecz. Po dłużącej się niemiłosiernie chwili dotarli do zakrętu. Kolejne wydarzenia potoczyły się z piorunującą szybkością.

Najpierw wszyscy trzej utkwili zdumione spojrzenia w tym, co znajdowało się za zakrętem. Zamiast kapłanki ujrzeli wielkie, dwuskrzydłowe drzwi ze spiżu, zamykające korytarz i

sprawiające wrażenie wrót do twierdzy. Następnie usłyszeli za sobą łomot, i Conan obejrzał się i ze zgrozą stwierdził, że ze sklepienia opadła ciężka krata z brązu, odcinając im drogę odwrotu. Spiżowe pręty były dwakroć grubsze od kciuków Cymmerianina i pokrywało je znacznie mniej śnieży niż oparcia ław w świątyni.

Gdy barbarzyńca oceniał kratę, poczuł nieprzyjemną wilgoć dotykającą jego obute w sandały stopy i rozchodzącą się w powietrzu znajomą woń. Spojrzał na posadzkę. Wyściełający korytarz dywan unosiła powódź gęstej, szkarłatnej cieczy. Była to krew. Kailasz krzyknął ze zgrozy i daremnie próbował strząsnąć posokę ze swoich butów. Po chwili zdołał się opanować. Conan rozpaczliwie wyteżał umysł, szukając sposobu wywinięcia się ze straszliwej, opresji. Ciepła i lepka ciecz dotarła już do połowy łydek. Cymmerianin pojął, że niebawem wszyscy trzej utoną w niepohamowanej, szkarłatnej fali.

11. KARMAZYNOWY KORYTARZ

— Gińcie, głupcy! Nie uratują was blaszane miecze i mazgajowaci bogowie!

Azora chichotała z opętańczej radości, obserwując w Podpowiadaczu, jak korytarz pod świątynią Targola wypełnia się krwią. Podpowiadacz był kryształową kulą, nie większą od jabłka, pozwalającą oglądać wydarzenia, dziejące się w odległości wielu tysięcy mil. Kilkadziesiąt lat temu Azora wykradła ten magiczny instrument pewnemu stygijskiemu nekromancie.

Kapłanka ponownie nakazała Podpowiadaczowi ukazać to, co działo się w korytarzu. Jej czerwone oczy zabłyśły z okrutnej uciechy na widok trzech skazanych na śmierć mężczyzn, daremnie starających uwolnić się z pułapki. Biła od nich rozpacz i zgroza, które to uczucia kapłanka chłonęła chciwie, jak pustynny piasek deszcz.

Nim ofiary Azory dotarły do świątyni, złożył jej wizytę Lamici. Z początku ogarnęła ją wściekłość z powodu nieproszonego najścia, lecz gdy dowiedziała się, co zaszło, jej gniew ustąpił. Została już wcześniej ostrzeżona. Obecność kapłana ujawniło zakłócenie Czarza Śmierci. Pojawienie się Medesusa obudziło w Azorze piekielną nienawiść. Jej rasa była silniejsza od niezdatnych półgłówków, tworzących godny pogardy stan kapłański Mitry. Nie sądziła, że ktokolwiek jeszcze należał do założonego przez Xuoquelosa zakonu, lecz szybko postanowiła zgładzić jego przedstawiciela. Z początku nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Mogła jedynie wyczuć jego obecność.

Na szczęście pozbawiony skrupułów Lamici powiedział jej, jak nazywają się jej wrogowie i ujawnił ich prostacki plan. Eunuch zaczął bawić Azorę. Jak na człowieka, był zdeprawowany w zaskakująco miły sposób. Azora planowała dla niego powolną śmierć w męczarniach, napawając się z góry bólem i strachem, którego będzie doznawać jego konające ciało. Obecnie stwierdziła, że w nagrodę za wierną służbę powinna uśmiercić go umiarkowanie szybko, gdy tylko skończy się jego użyteczność.

Gdy Azora dowiedziała się o zamiarach Madesusa, natychmiast opracowała własny plan i teraz z rozbawieniem przyglądała się ukazanej w Podpowiadaczu scenie. Balberoth, Władca Demonów, który stawiał się na jej rozkaz, radził sobie z intruzami z cudowną pomysłowością. Zamierzała wykorzystywać go w przyszłości, by częściej dostarczał jej podobnej rozrywki. Nawet gdyby ta trojka naiwnych głupców dostała się za spiżowe drzwi, nic by tam nie znalazła. Azora znajdowała się już daleko od świątyni. Była pewna, że poradziłaby sobie z Madesusem, lecz nie zamierzała tracić czasu, walcząc z nimi osobiście. Zaraz po zawarciu paktu z Władcą Demonów, rozpoczęła rytuał przemieszczenia. Żałosna Pirogia i zamieszkujące ją bezmyślne ludzkie robactwo i tak zaczynały ją nudzić. Skończyła dzieło, dla którego przybyła do stolicy Brythunii. Była już bardzo potężna, lecz irytowała ją myśl, iż nic nie znaczący kapłan i ciemny barbarzyńca udaremnił jej plan uśmiercenia Eldrana. Potrzebowała jeszcze jednej rzeczy, która zapewniłaby jej wszechwładzę.

Niejasny ustęp okrytego kurzem wieków manuskryptu, który trafił przed laty w jej ręce, głosił, że sekret ten znała tylko jedna osoba: Skauraul. Był to niegdyś najpotężniejszy z Mutare. Składając wzmianki z licznych mało znanych i napawających grozą ksiąg, Azora ustaliła, gdzie znajdowała się jego twierdza. Współcześni nie pamiętali nawet o istnieniu forticy władcy Mutare, lecz dzięki Podpowiadaczowi kapłance udało się ją odnaleźć.

Gdy Conan i jego towarzysze stali na progu świątyni Targola, Azora dopełniła rytuału przemieszczenia. W chwilę później znajdowała się już przed ruinami twierdzy Skauraula. Zamierzała dostać się do podziemi i poznać sekret jej pana. Potem nie zagroziłyby jej już żadne wrogie zapędy Madesusa i jego zakonu durniów. Czar przemieszczenia był jednak bardzo wyczerpujący, nawet dla Azory. Musiała wypocząć kilka dni, by odzyskać siły. Po dojściu do siebie i zgłębieniu tajników potęgi Skauraula zamierzała powrócić do Pirogii i zamienić to miasto

w zbiorową mogiłę. Mieszkańcy Pirogii staliby się pierwszymi ofiarami orgii zniszczenia i zamętu, która za sprawą Azory miała ogarnąć całą ludzkość.

Kapłanka stanęła przed szczątkami olbrzymiej bramy w zewnętrznym murze zapomnianej fortecy w Shem. Wierzeje dawno zniknęły. Dookoła ciągnęła się bezkresna, wroga życiu, wypróżniona pustynia. Kapłanka przeszła przez wielką szczyrbę w potrzaskanym murze. Przed nią wznosiła się prastara twierdza, przypominająca pniak dawno ściętego drzewa. Martwe zielonkavo-czarne mury fortecy były zeszlifowane przez gorące pustynne wiatry, pięły się jednak uparcie w niebo, dominując nad żółto-czerwonawym bezludziem. Zbudowana z gigantycznych kamiennych płyt twierdza miała w przybliżeniu okrągły kształt. Tytaniczne bloki zwęzły się ku górze. Budowla była pozbawiona okien. Prowadziło do niej tylko jedno wąskie wejście. Po obydwu stronach stały wielkie posągi. Niesiony przez wiatry piach stał ich powierzchnię do tego stopnia, iż było widać jedynie łby, nogi i skrzydła. Wejście do połowy zasypał piasek.

Podchodząc bliżej, Azora jeszcze raz rzuciła okiem w głąb Podpowiadacza i uśmiechnęła się z okrucieństwem. Wepchnąwszy kulę pod opończę, weszła do wnętrza twierdzy.

W podziemiach świątyni Targola Madesus zachowywał pozorny spokój, chociaż ledwie mógł sobie poradzić z natłokiem skłębionych myśli.

— Conanie! — powiedział nagłym tonem, ignorując wcześniejszy zakaz używania imion.

— Możesz rozgiąć pręty?

Zwalisty Cymmerianin bez słowa chwycił za kuty brąz i pociągnął, stopniowo zwiększając siłę. Mimo nadludzkiego wysiłku nie zdołał poruszyć prętów ani o włos. Rozluźnił uścisk i rozruszał palce, by pozbyć się ich sztywności. Wypełniająca korytarz krew dotarła już do kolan. Kailasz kilkakrotnie rzucił się na spiżowe drzwi, lecz jego wysiłki okazały się równie daremne jak próba rozgięcia kraty.

— Madesusie, jeżeli w jakikolwiek sposób możesz nam pomóc swym amuletem, zrób to natychmiast! — rzekł zdyszany góral. — Niebawem ta krew podejdzie nam do ust!

— Talizman ma uzdrowicielską moc, lecz nie może wyrwać nas z tej pułapki — Madesus zwiesił głowę. Kailasz załomotał pięściami w drzwi i spojrzał z rozpaczą na sięgającą połowy ud szkarłatną powierzchnię.

— W takim razie już po nas! Kapłanka zwyciężyła!

Jedynie Conan nie porzuczał nadziei. Wyrwał z obsady na ścianie jedną z pochodni z czarnego metalu. Sądził, że być może przy jej pomocy zdoła rozbić zamek w drzwiach. Uderzył z rozmachem, lecz żelazo odskoczyło bezsilnie.

— Zaczekaj! — powiedział Madesus. — Zamiast rozbijać zamek, spróbuj go wyważyć! — w głosie kapłana pojawiła się nuta przerażenia.

Conan szybko wetknął metalowy szpic w szczelinę między dwiema połowami drzwi i naparł, natężając mięśnie grzbietu. Trzon pochodni o mało nie pękł, lecz czarny metal okazał się silniejszy od brązu i drewna. Zamek ustąpił z trzaskiem. Napór szkarłatnej cieczy natychmiast rozepchnął oba skrzydła drzwi. Fala krwi zgasiła pochodnię i wrzuciła trzech mężczyzn do komnaty. Stanąwszy na nogi Kailasz i Conan spróbowali domknąć drzwi za sobą, by zatamować makabryczną powódź. Musieli włożyć w to wszystkie siły, nim im się powiodło. Amulet Madesusa zabłyśł jaśniejszym blaskiem, oświetlając pomieszczenie, w którym się znaleźli. Kailasz jęknął z przerażenia.

— Nie ma stać wyjścia, na Croma! — ryknął ogłuszająco Conan. — Jesteśmy odcięci! Kailasz dokładał wysiłków, by nie dopuścić do ponownego otwarcia drzwi. Zaparł się o nie plecami i wsparł stopy o posadzkę. Z trudem udało mu się nie poślizgnąć.

— Nie utrzymam ich długo — stęknął przez zaciśnięte zęby. — Cokolwiek mamy zrobić, pośpieszmy się!

Madesus i Conan popatrzyli po sobie ponuro. Nie przychodził im do głów żaden pomysł. Rozejrzeli się po komnacie, szukając sposobu jej opuszczenia. Pomieszczenie miało pięć identycznych ścian. Na podłodze z czerwonego granitu stały zgaszone świece z czarnego wosku. Dzięki wysiłkom Kailasza kałuża krwi na podłodze nie stawała się coraz większa. Nie to jednak przykuło uwagę kapłana, lecz przedmiot znajdujący się na środku komnaty. Jego szkic oglądał niegdyś w prastarej mądrej księdze, w bibliotece świątyni w Koryntii.

— Na Mitrę! Toż to ołtarz Mutare! — wykrzyknął, czując jednocześnie grozę i fascynację. W czarnym kamieniu wryto groteskowe symbole. Nad stołem ofiarnym zwieszały się spod sklepienia zardzewiałe łańcuchy. Układ świec wydał się Madesusowi znajomy. — Uważajcie, gdzie stawiacie stopy — ostrzegł towarzyszy. — Poczekajcie chwilę, sprawię, by amulet zgasł. Po chwili w komnacie zapanował niemal całkowity mrok. Gdy oczy Conana przyzwyczyły się do niego, Cymmerianin dostrzegł nakreślone wokół ołtarza świecące czarno linie, tworzące

pięcioramienną gwiazdę wpisaną w okrąg. Świece stały na szczytach ramion gwiazdy.
— Nie przechodźcie przez te linie — ostrzegł Madesus i nachylił, by przyjrzeć się im dokładnie.

Za jego plecami Kailasz nadal mocował się z drzwiami.

— Długo już nie wytrzymam! — jego głos zdradzał olbrzymi wysiłek.

Conan ruszył na pomoc. Cymmerianin oparł się o drzwi i stęknął ze zdumienia, zdawszy sobie sprawę, z jak nieprawdopodobną mocą napiera na nie krew. Sięgała ona już pewnie do sklepienia korytarza. Tymczasem kapłan skończył oglądać linie na posadzce. Gdy jego amulet rozbłysł ponownie, te stały się znów niewidzialne.

— Głupiec ze mnie! — wykrzyknął. — Zostaliśmy zwiedzeni! Och, nie brakuje jej sprytu!

Conan i Kailasz popatrzyli na niego, nic nie rozumiejąc.

— Co?! — stęknął Cymmerianin. — O co ci chodzi?

— Kapłanka uciekła po zwabieniu nas w pułapkę. Nie wiem dokąd, ani którędy. Musi być już bardzo daleko, inaczej jej aura nie zniknęłaby tak szybko. Musiała odkryć, że ją ścigamy i przygotowała tę zasadzkę.

Conan słuchał uważnie domysłów Madesusa, ale nie zamierzał pograżyć się w rozpacz. Póki co najważniejszą rzeczą było utrzymanie drzwi przed napierającą na nie szkarłatną powodzią. Wtem przez głowę przebiegła mu desperacka myśl.

— Madesusie! — krzyknął. — Ołtarz wygląda na wystarczająco solidny, by zastawić nim drzwi. Jest najwyżej dziesięć kroków od wejścia. Spróbuję go przesunąć!

— Zaczekaj! — odpowiedział Madesus. — Nie możesz dotrzeć do niego, nie przechodząc przez linie na posadzce. Jeżeli to zrobisz, możesz zginąć!

— I tak kiedyś umrę. Marnujemy czas, a trzeba przepchnąć ten piekielny ołtarz!

Jak gdyby dla potwierdzenia jego słów, cienka strużka krwi trysła między dwoma mężczyznami. Po chwili zdołali dopchnąć drzwi z powrotem. Madesus skinął niechętnie głową, zaciskając silniej dłoń na amulecie. Wiedział, że linie na posadzce tworzą pentagram, magiczną barierę, często stosowaną przy przywoływaniu istot z zaświatów. Przejście przez linie oznaczało przerwanie ciągłości bariery.

Kailasz zmienił pozycję, by znów podtrzymywać obydwa skrzydła drzwi naraz. Conan spojrzął na masywny ołtarz. Jeżeli był w całości wykonany z kamienia, ważył zapewne trzykrotnie więcej od Cymmerianina. Barbarzyńca, zacerpnąwszy głęboko tchu, podszedł do stołu ofiarnego, szykując się do naporcia na niego z siłą szarżującego bawołu.

Chwilę później Madesus i Kailasz ujrzeni z osłupieniem, że ciało Cymmerianina przeszło przez ołtarz, nie napotykając żadnego oporu.

— Co jest, na Croma... uuch! — wykrzyknął Cymmerianin, tracąc równowagę i padając jak długi na posadzkę.

Podniósł się powoli i podejrzliwie przyjrzał ołtarzowi. Gdy wyciągnął dłoń, przeszła ona bez trudu przez pozornie lity kamień. Conan błyskawicznie cofnął rękę. Gdy to czynił, widmowy ołtarz uległ nagłej przemianie. Uniósł się z podłoża i przekształcił w kłęb oleistego dymu, który stopniowo zgęstniał w ludzką sylwetkę, ciemniejszą od smoły oglądanej w bezksiężycową noc. Po bokach zjawy pojawiły się dwa długie, grube ramiona. Pasemka dymu na ich końcach uformowały się w dłonie o trzech palcach, opatrzonych długimi szponami. W miejscu twarzy rzedniejący dym ułożył się w podobiznę złowrogich, szzelinowatych ust i pary skośnych oczu. Demon wydał z siebie głęboki, odbijający się echem rechot. Conan cofnął się instynktownie.

— Uciekasz! — rzekła grzmiącym głosem czarna postać. — Lecz i tak mi się nie wymkniecie! Wasze dusze należą teraz do mnie, a zanim je zabiorę, najpierw posmakuję waszych ciał!

Z piorunującą szybkością istota chwyciła Cymmerianina za gardło. Conan poczuł, że jest podnoszony nad posadzkę. Zwiijał się i wierzał, usiłując wyrwać z potwornego uścisku, ale jego dłonie nie mogły namacać przeciwnika. Jedyne potężne mięśnie szyi uchroniły barbarzyńcę przed zmiążdżeniem krtani. Stwór bez wysiłku rzucił go jak dziecinną zabawkę na granitową ścianę komnaty. Ogluszony Conan osunął się na posadzkę. Na Croma, gdyby tylko miał do czynienia z nieprzyjacielem z krwi i kości! Pozostała mu tylko nadzieja, że kapłan jest w stanie sprostać tej bestii.

Madesus stracił głowę na widok niesamowitej istoty, lecz szybko wziął się w garść. Miał przed sobą demona—cień, strasznego mieszkańca piekielnych otchłani. Legendy twierdziły, że nieludzkiej sile tego upiora dorównuje jedynie jego nienasycony apetyt na ludzkie mięso.

Madesus pamiętał, że jest to jedna z dziewięciu istot służących Władcy Demonów Balberothowi. Kapłan wznosił amulet i spieszenie wyrecytował zaklęcie:

— Masquim Xul nal marratu, ia Balberoth! Ia Balberoth! Xizul absu marratu, nar marratu, ia Balberoth!

Demon—cień prychnął i zwrócił się w jego stronę. Kapłan rzekł wyraźnym, rozkazującym tonem:

— Precz, cieniu bez kształtu! W imię wszechpotężnego Mitry, wracaj w otchłań, z której się wynurzyłeś!

Demon zaryczał, a jego wrzask zamienił się stopniowo w odległe wycie. Zarys postaci stawał się coraz bardziej przejrzysty, aż zupełnie rozwił w powietrzu. Madesus odetchnął z ulgą, a Conan dźwignął z podłogi. Kailasz stęknął i zmienił pozycję, wciąż podpierając drzwi. Lały się po nim strumienie potu, lecz z uporem stawiał opór naciskowi spiętrzonej krwi.

— I co teraz? — zdołał wystękać.

Madesus już miał mu odpowiedzieć, gdy komnata nagle pogłężyła się w ciemnościach. W chwilę później zapanował w niej lodowaty ziąb. Narastający z powrotem blask amuletu powoli rozproszył ciemność. Trzej mężczyźni gorączkowo nabrali tchu na widok istoty, która pojawiła się w środku pentagramu.

Przed Madesusem stanęła postać o szafirowoniebieskiej twarzy, odziana w płaszcz z czarnej tkaniny o metalicznym połysku z wysokim kołnierzem. Była wyższa o głowę od Cymmerianina, lecz o wiele szczuplejsza. Nie miała źrenic. Gałki oczne były w całości białe jak śnieg, podobnie jak wąskie usta. Głowę przybysza pokrywała niewielka trójkątna kępka srebrzystych włosów. W dłoni o szarych jak popiół paznokciach dzierżył kryształową laskę. Przełożył ją w drugą rękę i rzekł dźwięcznym głosem:

— Witam cię, synu Xuoquelosa, oraz twych towarzyszy z Cymmerii i Brythuni— przybysz mówił władcym głosem o niezwykłym akcencie. Mimo jego niesamowitego wyglądu, Conan i Kailasz poczuli do niego niejasną sympatię. Odrzęę wzbudzał jedynie w Madesusie, który natychmiast rozpoznał tę istotę.

— Balberoth! Powinienem być się domyślić, że szatański pomiot, który przepędziłem, natychmiast poleci do ciebie na skargę — kapłan starał się zachować spokój, jednak zdawał sobie sprawę, że brak mu mocy, by zniszczyć Balberotha. Mógł co najwyżej zmusić go do odwrotu w piekielne czeluście.

— Bawisz mnie, Madesusie — Balberoth zawiesił głos. — Tak, znam twoje imię oraz wasze, Conanie i Kailasz! — rzekł z sarkazmem, zauważonym jedynie przez wyznawcę Mitry. — Skoro już zawarliśmy znajomość, możemy odetchnąć. Pozwól, że zdejmę z twych ramion ciężące im brzemię — władca Demonów wykonał laską szybki gest i góral poczuł, że napór na drzwi ustał. Odsunął się od nich ostrożnie, gotów w każdej chwili zacząć podeprzeć je znowu. Drzwi nie otwierały się.

— Nie grozi wam już niebezpieczeństwo — rzekł uspokajająco Władca Demonów.

Uczył następny gest, po którym drzwi otworzyły się, ukazując pusty korytarz. Kailasz wyrzwał na zewnątrz ze zdumieniem. Dywan i ściany były suche. Nigdzie nie było widać krwi, aczkolwiek korytarz nadal zagradzała spuszczana krata. Madesus popatrzył na swą szatę. Pokrywające ją krwawe plamy zniknęły. Kapłan zaklaskał z udawanym entuzjazmem.

— Sprytna sztuczka, demonie. Czy może zabawisz nas żonglowaniem lub chodzeniem po linie?

Zmiana w postępowaniu kapłana zdumięła Conana i Kailasza. Madesus zachowywał się obraźliwie i prowokująco. W odróżnieniu od niego, błękitnoskóry przybysz był uprzejmy i przyjazny.

— Zawiść ci nie przystoi, Madesusie. Czyż twa filozofia nie dyktuje ci, byś był łaskawy i wybaczący, nie zaś okrutny i surowy? Ubolewam nad brakiem ogłady mojego sługi i wybaczam wam, że potraktowaliście go tak obcesowo. Zapewniam, że jego nieprzemyślane zachowanie napawa mnie żalem. Znajdował się pod władzą osoby, która mi go wykradła i zmusiła do podstępного ataku na was.

— W takim razie co tu robisz? Dlaczego przepraszasz nas i zapewniasz o swoim współczuciu? Podejrzewam, że przybyłeś po to, by dokończyć dzieło, które nie powiodło się twojemu pachołkowi!

— Twe oskarżenia są bezpodstawne, Madesusie. Przybyłem, by przyłączyć się do was we wspólnym celu, to jest odnalezieniu i pokonaniu kapłanki Mutare. Porwała moją sługę i zmusiła go do walki z tobą i twymi towarzyszami. Ten postępek nie może ująć jej bezkarnie. Odszukamy wspólnie kapłankę i położymy kres jej breweriom!

Conan i Kailasz nabrali pewności, że Madesus mylił się w ocenie Balberotha. Błękitnoskóra istota nie była demonem, lecz istotą z zaświatów, zesłaną przez bogów, by im pomóc. Byli zadowoleni, że wyciągnęła do nich przyjazną dłoń. Zastanawiali się, czy Madesus nie oszalał. Było wszak oczywiste, że Balberoth może im się przydać.

— Oszczędź sobie tchu, piekielny pomocie — kapłan potrząsnął głową, nieświadom efektu, jakie kłamstwa Balberotha wywarły na jego towarzyszach. — Udajesz, że chcesz nam pomóc,

lecz czuję jasno, że zżera cię pragnienie zaszlachtowania nas jak barany. Dostyc tego! Z woli Mitry, Ojca Światłości, rozkazuję ci odrzucić łaskę i wracać do obmierzonej otchłani, w której się wylęgleś! Masquim Xul ia marratu, yar Balberoth! Balberoth, absuyar alaxul! Xizul absu marratu, nar marratu, yar Balberoth!

W czasie przemowy kapłana jego amulet rozgorzał gwałtownie, śląc snop oślepiającego światła wprost w demona. Zanim jednak blask zdołał dotrzeć do Balberotha, nagle zakrzywił swój tor i trafił w jego łaskę. Odbił się od niej i zamienił w olśniewający rój wielobarwnych iskier, który o włos minął Kailasza i uderzył w spiżowe drzwi. Wielkie skrzydła zadygotały, po czym rozsypały się w drobne odłamki. Balberoth spojrział Cymmerianinowi w oczy i rzekł błagalnie:

— Conanie! Musisz mi pomóc! Madesus oszalał, o mało nie zabił Kailasza! — Następnie przeniósł spojrzenie białych oczu na Kezankiańczyka. — Szybko, doładź miecza i zabij go, nim w swym obłądzeniu wymorduje nas wszystkich!

Białe jak kość usta demona posłały upiorny uśmiech Madesusowi, który zadygotał bezwiednie pod jego wpływem. Kapłan ze zgrozą ujrzał, że dwaj mężczyźni ruszają w jego stronę, unosząc broń.

— Conanie! Kailaszu! Demon rzucił na was czar, byście zwrócili się przeciwko mnie! Conanie! Co z danym Salvorusowi przyrzeczeniem?! Kailaszu! Przypomnij sobie króla i złożoną mu przysięgę, że będziesz go chronić! Nie słuchajcie słów tego przeklętego stwora!

Dwaj wojownicy nie zważali na wołania kapłana. Ich oczy zasnuła mgła, a uszy były nieczułe na słowa opamiętania.

— Szybko! — ponaglił ich Balberoth. — Stawką jest wasze życie! Zabijcie kapłana, nim zdoła wam je odebrać!

Madesus cofnął się i ponownie rzucił w demona snop światła. I tym razem Balberoth odbił go kryształową różdżką. Conan pierwszy dotarł do Madesusu, unosząc ramię do morderczego cięcia. Na moment wróciła mu jasność myśli. Zdał sobie sprawę, że dał się zwieść i powstrzymał od zadania ciosu. Po chwili znów uległ czarowi i zamachnął się mieczem. Madesus odskoczył niezgrabnie w bok. Ostrze pałasza rozcięło jego szatę. Kapłan stracił równowagę i runął wprost pod nogi Kailasza. Zwalisty góral wznosił miecz do szeptu. Madesus rozpaczliwie próbował się odczołgać, lecz za jego plecami znalazła się ściana. Zamknął oczy i czekał, aż ostra stal pograży się w jego wnętrznościach. Poczul gorycz na myśl, że kapłanka zdołała go pokonać. Ostatni członek Zakonu Xuoquelosa gotował się na śmierć.

12. SHAN–E–SORKH

Azora odgarnęła grubą zasłonę pajęczyn, przegradzającą przedsionek twierdzy Skauraula i z ulgą skryła się przed boleśnie natarczywymi promieniami przedpołudniowego słońca. Jaskrawa, przeklęta tarcza, wisząca nad cynobrowymi połaciami shemickiej pustyni paliła oczy kapłanki i żądliła jej skórę. Azora nienawidziła słońca. Ta gigantyczna, złota pijawka wysysała jej siły.

O wiele bardziej odpowiadał jej mroczny, zatęchły przedsionek twierdzy. Wyczuwała zachowane w niej resztki pradawnego zła. Z satysfakcją wciągnęła w nozdrza zastale powietrze. Kilka wystraszonych jej obecnością włochatych pajaków pierzchnęło w kąty przedsionka. Azora z zaciekawieniem przyjrzała się dzieciom Zatha, pajęczego boga, czczonego w zamorańskim mieście Yezud. Niektóre z tych odrażających stworzeń były dwukrotnie większe od jej głowy. Ich obrzmiałe, lśniące odwłoki przepelniał jad.

Kapłanka podziwiała dzieci Zatha za to, iż służyły tylko jednemu celowi: były zwiastunami śmierci, przebiegłymi małymi mordercami, potrafiącymi usidlić i pozbawić życia stworzenia wielokrotnie większe od siebie. Nawet najmniejsze pajaki napawały ludzi strachem i obrzydzeniem. Studiowanie ich obyczajów było wielce pouczające.

Azora wyjęła Podpowiadacz i zajrzała doń, by sprawdzić, czy godny pogardy kapłan Mitry i jego głupi jak osły pomocnicy jeszcze żyją. Stwierdziwszy, że w Podpowiadaczu nie uformował się żaden obraz, zmarszczyła brwi. Im bardziej się skupiała nad jego wywołaniem, tym większy czuła opór. Wreszcie poddała się, z wściekłością cisnęła kulę na posadzkę i zaklęła. Kapłan nie powinien być w stanie przeciwstawić się mocy Podpowiadacza, nawet gdyby zdawał sobie sprawę z jego istnienia!

Po chwili podniosła kulę z podłogi, ale wciąż nie mogła odzyskać spokoju. Niedawno, za murami kamiennej twierdzy, czar działał doskonale. Wiedzona przebłyskiem intuicji cofnęła się do drzwi i ponownie zajrzała w kryształ. W Podpowiadaczu natychmiast ukazał się obraz komnaty w podziemiach świątyni Targola. Gdy Azora ujrzała, jak dwóch wojowników rusza z obnażonymi ostrzami na kapłana Mitry, jej gniew zastąpiła mściwa satysfakcja.

Prymitywni awanturnicy okazali się łatwym łupem dla Balberotha. Hipnotyzującemu głosowi

demona mogły przeciwstawić się wyłącznie jednostki obdarzone wyjątkowo silną wolą. Dwaj głupcy, których jedyną zaletą była fizyczna krzepa, doskonale nadawali się do roli katów. Zadowolona, że natrętnego kapłana czeka rychła śmierć, Azora schowała Podpowiadacz pod opończę i ruszyła w głąb budowli. Gdyby nie palący blask słońca pozostałaby przy wejściu, by napawać się każdą chwilą agonii godnego pogardy pachotka Mitry.

Usunięcie z drogi kapłana pozwalało jej urzeczywistnić najnowsze zamierzenie. Chciała poznać tajemnice Skauraula, by móc bronić się przed wszelkimi zagrożeniami ze strony innych sług Mitry. Cieszyła się na myśl, że niebawem wróci do Pirogii i sprawi, że mieszkające w niej ludzkie robactwo będzie cierpieć i umierać.

Było już blisko pierwszego dnia Miesiąca Skorpiona. Tego dnia, gdy księżyc zniknie z nocnego nieba, Azora podczas najczarniejszego nowiu zamierzała dopełnić najpotężniejszego rytuału mocy Mutare — czaru nieśmiertelności. Dzięki niemu czas przestałby mieć nad nią władanie. Nie groziłaby jej starość i słabość, będąca udziałem wszystkich żywych stworzeń.

Gdyby Skauraulowi udało się dokończyć ten rytuał, stałby się władcą całej Ziemi.

Pomyślnie rzucenie czaru sprawiłoby, że kapłanka Mutare stałaby się złowrogą, niezwyciężoną boginią. Dla kaprysu mogłaby obracać w perzynę całe królestwa. Przerażeni cesarze i hierarchowie czołgaliby się u jej stóp, zaś ona wynajdywałaby niezliczone sposoby torturowania i upokarzania tych nędzników, każdy boleśniejszy i bardziej hańbiący od poprzedniego. Nad bezsilną ludzkością zapadłaby bezkresna noc.

Żadnemu Mutare nie udało się jeszcze osiągnąć tak absolutnej władzy. Przyczyną ich klęski były bratobójcze waśnie. Nawet Skauraul został osłabiony na tyle, że zdołał go pokonać nędzny Zakon Xuoquelosa. Na szczęście Azorze nie grozili podobni rywale. Skauraul był ostatnim z dawnych Mutare, zaś Madesus jedynym żyjącym członkiem Zakonu.

Azora nie pamiętała, kiedy usłyszała o Mutare po raz pierwszy. Z dzieciństwa przypominała sobie bardzo mało. Swoich rodziców nie знаła w ogóle. Sądziła, że pochodzi ze Stygii. Scenerią jej pierwszych wspomnień były okolice rzeki Bakhr w pobliżu południowych trzęsawisk porośniętych przez kwiaty purpurowego lotosu. Tam właśnie przeszła obrzęd przemiany, dzięki któremu narodziła się jako Mutare. W ciągu kolejnych lat z obsesyjną żarliwością gromadziła wszelkie okruchy wiedzy o tej rasie.

Dzięki wędrownikom do wielu odległych krain oraz poszukiwaniom w zapomnianych od stuleci przybytkach kultu znalazła to, czego pragnęła. W tym celu kłamała, oszukiwała, kradła i mordowała. Nie pozwalała, by cokolwiek stanęło jej na drodze. Wreszcie udało się jej zgromadzić zasób wiedzy, pozwalający zrealizować swe zamierzenia. Obecnie do odkrycia pozostała jej jeszcze tylko tajemnica Skauraula.

Odgarnęła lepkie pasma pajęczyn, potrącając pajaka wielkości dłoni. Stawonóg ruszył w jej stronę, po czym znieruchomiał. Najpierw spojrzała na niego z irytacją, lecz po chwili uśmiechnęła się życzliwie. W odróżnieniu od kryjących się pod sklepieniem kuzynów, ten pajak nie był włochaty. Jego lśniący, czarny tułów był węższy i bardziej kanciasty, z proporcjonalnie dłuższymi odnóżami. Odrażające stworzenie zdobiły złowrogie, zakrzywione kolce. Pajak utkwiał w Azorze spojrzenie zielonkawych oczu o niezliczonych powierzchniach, w których czaiła się demoniczna inteligencja. Kapłanka zignorowała go i ruszyła w stronę najbliższych z trzech znajdujących się przed nią drzwi.

Wykute z żelaza niewielkie drzwi pokrywały wymyślne metalowe zdobienia. Nad nimi z muru wystawały wyszczerzone łby koszmarnych rzeźb, sprawiające wrażenie, że lada chwila rzucą się na nieproszonego gościa. Pradawnemu rzeźbiarzowi udało się nadać pozór pełnej realności paszczom najeżonym rzędami spiczastych zębów. Z każdej z nich wystawał długi jęzor, kończący się kamiennym kolcem. Pokraczne ręce o siedmiu zakończonych pazurami palcach dzierżyły niewielkie kule, a z wąskich barków wyrastały nietoperze skrzydła. Rzeźby znaczyły drobne szczeliny i inne ślady czasu, lecz poza tym zachowały się w zdumiewająco dobrym stanie. Drzwi również nie poddały się wpływowi stuleci. Pustynny klimat Shem zapobiegał powstawaniu rdzy.

Azora sięgnęła ku klamce dłonią w czarnej rękawiczce. Znieruchomiała, słysząc za sobą cichy szmer.

Czarny pajak zatrzymał się dwa kroki od kapłanki, utkwivszy w niej spojrzenie pozbawionych powiek ślepi. Sprężył długie odnóża i z piorunującą szybkością skoczył na Azorę. Odkakując, machnęła ręką, by odtrącić go od siebie, lecz nie trafiła. Stworzenie wylądowało wprost na jej ramieniu i pewnie wczepiło się w tkaninę opończy. Przeklinając, kapłanka uniosła do ciosu prawą dłoń.

— Ssst... zaczekaj! — zasyczał bulgotliwie pajak prosto w ucho Azory. — Jam nie wróg. Nie skrzywdzę jej. Ssst... pomogę jej!

Z wciąż wzniesioną ręką Azora przekrzywiła głowę i zmarszczywszy brwi, utkwiała w

stworzeniu podejrzliwe spojrzenie. Dzieci Zatha postradały dar mowy tysiąclecia temu, tak przynajmniej twierdziły księgi nauk tajemnych. Kapłanka nie miała powodu obawiać się czarnego pająka. W odróżnieniu od słabych istot ludzkich, w ciele Azory nie krążyła krew, więc nie mogły zaszkodzić jej śmiertelne jady. Postanowiła jednak dowiedzieć się, czego chce czarne stworzenie, nim zgniecie je jak przejrzałą kiść winogron na kamiennej posadzce.

— Tak, ssst, tak... pomogę jej — zaszemrał pająk, wyczuwając jej wahanie. — Już ją ocaliłem, naprawdę!

— Niby przed czym, malutki? — zapytała szyderczo Azora.

— Gdyby Xim nie zatrzymałby jej, otwarte drzwi byłyby! Gryźliby starzy kości jej! Ostatnie stwierdzenie sprawiło uciechę Ximowi, który wykrzywił szczękoczołki w złowieszczą parodię śmiechu.

— To są ci starzy? — zapytała sarkastycznie kapłanka, wskazując rzeźby nad drzwiami. — To tylko bryły kamienia! Nie znasz mojej mocy, malutki. Rozkazuję demonom, które zmieliłyby te straszdyła na piasek.

Mimo przechwałek, dopuszczała możliwość, że Xim mówił prawdę. Pająk zmienił uchwyt na ramieniu Azory.

— Z Xima pomocą niepotrzebne demony jej będą, niepotrzebne! Ssekrety znane mi są! O tak, wyjawię jej je! — ślepia Xima zabyły teraz gwałtownie, jak światła latarni morskiej podczas mglistej nocy. — Ale pomóc nam ona musi!

— Są tu twoi bracia? — zapytała Azora, unosząc brew.

— Ssst nie, nie, nie! Nie Xima bracia. Xim przyjaciół ma, co sieci snują! — pająk wyciągnął dwa odnóża w stronę zakamarków pod sklepieniem, gdzie Azora dostrzegła wcześniej wielkie stawonogi. — Żadnych krwi ludzkiej, a nie jaszczurek czy owadów z pustyni! Krew ludzi pić muszą, ją dawny pan im dawał! Jak ona podobna do dawnego pana, tak! Kiedy zobaczył ją Xim, wiedział od razu! Będzie musiała krew ludzką dać, inaczej żadnej od Xima pomocy nie będzie! Oczy Azory zabyły czerwono w mroku przedsionka. Patrzyła na Xima, jak gotowa do ataku kobra.

— Jak nazywał się twój dawny pan?

— Ssst... się nazywał, ale za dawno, za trudno pamiętać... Skar, Xim nazywał go, tak, tak! Skar? Skauraul! Azora nabrała pewności, że władca twierdzy był w dawnych czasach panem Xima. Postanowiła odłożyć uśmiercenie pająka, dopóki nie dowie się wszystkiego, co wiedział on o Skauraulu.

— Skoro chcesz krwi, malutki, to ją dostaniesz! — wydobyła spod opończy niewielką szklaną flaszkę i odkorkowała ją. W środku zachlupotała czerwona ciecz. Pozwoliła wyciec niewielkiej ilości na dłoń, po czym podstawiła ją Ximowi. Pająk wychylił się do przodu i łapczywie wessał szkarłatne krople.

— Wkrótce wraz ze swoimi przyjaciółmi będziesz jak dawniej pić krew żywych ludzi, przysięgam! — rzekła, gdy Xim wchłonął resztki krwi z jej dłoni, po czym starannie zakorkowała buteleczkę i wsunęła ją do kieszeni opończy. — Powiedz mi, malutki, czy twój pan miał bibliotekę?

— Ludzka krew świeża jest lepsza, słowo daję! — Xim poruszył szczękoczołkami i szemrał dalej: — Za długo ludzkiej krwi Xim nie smakował. Nie, biblioteki nie widziałem. Biblioteka jest to co?

Azora wyszczerzyła czarne zęby, zmuszając się do powściągnięcia gniewu.

— Sala, w której przechowuje się księgi i zwoje! — powiedziała niecierpliwie. — Musi tu być coś takiego. Zabierz mnie tam natychmiast!

Echo jej rozkazującego głosu przetoczyło się po przedsionku. Xim poruszył się niespokojnie na ramieniu kapłanki.

— Ssst... tak, Xim to miejsce zna, tak, Xim wie. Drogę pokaże! Daleko stąd biblioteka.

Przejścia tajemne Xim zna!

— Wobec tego pokaż mi je! — rozkazała Azora. — Szybko, malutki!

Xim przeskoczył zręcznie z jej ramienia wprost na ścianę przedsionka, do której przylgnął pewnie jak do podłogi. Pomknął po murze w stronę przeciwną niż drzwi, które zamierzała otworzyć Azora, a w chwilę później zniknął bez ostrzeżenia. Kapłanka obróciła się dookoła, wietrząc w tym podstęp.

— Xim! Gdzie się podziałeś, zdradziecki...

— Przez ścianę przejść musi! — szeptał pająka dobiegł do niej z drugiej strony muru. — Drzwi nie otwierać, bo starych obudzi! Ssst... nie drzwi, nie starych, nie, nie!

Azora wyciągnęła dłoń do miejsca, w którym zniknął pająk. Jej ręka przeszła przez mur na wylot, a po chwili część ściany zniknęła. Po drugiej stronie kapłanka ujrzała prowadzący pod górę wąski korytarz o kamiennych ścianach. Xim czekał na nią, przywarłszy do wielkiego

ociosanego głazu. Azora ruszyła w głąb korytarza, zła na siebie, że nie przejrzała od razu prostej czarodziejskiej iluzji.

Wyglądało na to, że przemieszczenie się tutaj musiało pochłonąć więcej sił, niż sądziła.

Musiała zatem zachowywać się bardziej ostrożnie, bowiem tylko upływ czasu mógł przywrócić jej utraconą moc. W odróżnieniu od słabych ludzi, nie potrzebowała snu, jadła ani napojów.

Karmiła się strachem żywych istot, spijała ich rozpacz.

W korytarzu panowała przygnębiająca cisza. Słysząc było jedynie świszczący oddech Xima, szuranie stóp Azory po podłożu i szmer jej ciężkiej opanoczonej. Pająk i kapłanka pokonali kilka zakrętów, minęli wiele bocznych odgałęzień i drzwi, lecz nieludzki przewodnik trzymał się stale głównego korytarza. Zmierzając w głąb twierdzy, Xim nie zawahał się ani na chwilę. Kapłanka Mutare uważnie zapamiętywała każdy zakręt, tworząc w myślach plan pokonywanej drogi. Kolejne odcinki korytarza były identyczne. Tworzyły go rzędy idealnie równych, kamiennych bloków. Ich nie kończące się szare rzędy ciągnęły się wzdłuż posadzki i ścian. Pozbawiony pochodni, draperii czy dywanów tunel był równie surowy, co ponury. Niemal każde mijane drzwi zostały wykute z żelaza, pokrytego groteskowymi, identycznymi zdobieniami. Azora zastanawiała się, jakie zapomniane tajemnice kryją się za nimi, lecz nie stanęła, by zaspokoić swoją ciekawość. Dobrze czuła się w twierdzy Skau — raula. Podobała się jej panująca tu atmosfera otchłannego zła. Idąc korytarzem, upewniła się, że znalazła się w odpowiednim miejscu do realizacji swych zamiarów. Potęga Skauraula sięgała stąd do odległych krain we wszystkich stronach świata. Kapłanka była pewna, że wkrótce posiadzie jeszcze większą moc. Pałała żądzą zdobycia wiedzy kryjącej się w pokrytych pyłem księgach ostatniego władcy Mutare.

— Niedaleko, niedaleko — zaszemrał Xim, jakby odczytując myśli Azory. — Już prawie doszła, tak! Widział Xim bibliotekę, w niej był, tak, tak! — mruzczał, pomykając w głąb korytarza. — Po wysokich schodach wejść trzeba niedaleko, w górę, w górę! Azora zdawała sobie sprawę, że idą w górę. Nie potrafiła tylko orzec dokładnie, jak wysoko się znajdowali. W miarę jak szli, napotymane drzwi były w coraz lepszym stanie. Narastało również wrażenie zła, którego kojąca aura szczelnie spowiła kapłankę. Wyczuwała również jeszcze coś... obecność kogoś lub czegoś potężnego i wrogiego. Zastanowiła się nad źródłem tego odczucia. Xim przystanął dwa kroki przed Azora w miejscu, gdzie korytarz nagle się kończył. Znaleźli się u podnóża kręconych schodów z poczerńiałego żelaza, wspinających się wyżej, niż sięgał wzrok kapłanki. Rzeźbiona, gruba kolumna stanowiła oś dla wąskich metalowych stopni. Schody były pozbawione poręczy.

— Ssst, schody długie! — wymamrotał Xim. — Na górę wejść musi. Tak, na górę! Na górę to, czego szuka!

Wciąż nie dowierzając pająkowi, Azora podeszła ostrożnie do podnóża spiralnych schodów. Była gotowa surowo porachować się z pokracznym stworzeniem, jeżeli uknuło jakąś zdradę. Postanowiła jednak zaryzykować i posłuchać jego rady. Odrzucając wątpliwości co do prawdomówności Xima, wstąpiła na najniższy stopień. Postanowiła, że zaraz po dostaniu się do skarbnicy mądrości Skauraula rozdepta wielonogiego pokurcza na miązgę i rzuci jego ociekające posoką ściervo pająkom mieszkającymi w przedsionku.

Napawając się wizją włochatych stworzeń pożerających zmiażdżone resztki Xima, Azora zaczęła wspinaczkę po wijących się jak wąż żelaznych schodach.

13. TARGOL

Madesus usłyszał świst powietrza rozcinanego przez zmierzające ku niemu ostrze Kailasza. Klinga przecięła szaty kapłana, lecz o włos minęła jego bok i ugrzęzła w skórzanej sakwie. Jej zawartość posypała się na posadzkę, rozległ się trzask tłukących się słoiczków i fiolek. Tarasując drogę Conanowi, Kailasz zaczął szarpać za broń, która uwięzła w metalowej sprzączce. Kapłan przetoczył się w bok, licząc, że uda się mu umknąć do drzwi, lecz nie miał szans dorównać chyżością Cymmerianinowi. Gdy prychniętemu gniewnie Kailaszowi udało się uwolnić ostrze miecza, Conan skoczył do przodu, by odciąć kapłanowi drogę. Zarówno góral, jak i barbarzyńca działali instynktownie, a ich oczy miały szklisty, szaleńczy wyraz. Madesus wciągnął łapczywie powietrze, gotując się na pchnięcie miecza, które natychmiast pozbawiłoby go życia. Zanosząc gorliwą modlitwę, uniośł amulet w nadziei, że zdola się jakimś cudem uratować.

Wszyscy trzej znieruchomieli jak zakłęci, gdy w wejściu zabłysło nagle jaskrawe światło. Głos Balberotha zamarł na jego bladych jak kość ustach. Spiżowe drzwi zostały wyrwane z zawiasów, wzniosły się nad posadzkę i rozpadły na kawałki. Przed oczami zamarych mężczyzn z brył metalu poczęła formować się ludzka postać. Rysy spiżowego przybysza przypominały

ludzkie oblicze, jednak tak surowe i dziwacznie ukształtowane, jakby było dziełem pijanego rzeźbiarza.

Olbrzym sięgał głową stropu. W jego oczodołach migotały żółto-pomarańczowe ogniki. Wzniósłszy spizową dłoń, większą od głowy Conana, wyciągnął ją w stronę trzech mężczyzn i powoli wyprostował palce. Spizowe usta rozchyliły się, ukazując zęby jak czerwone ogniki i język niczym cynobrowy płomień. Z gardzieli przypominającej czeluść pieca dobyło się jedno słowo:

— PRZESTAŃCIE! — przetoczyło się po komnacie jak gwałtowny powiew palącego pustynnego wiatru, sprawiając, iż na twarzach przepelnionych grozą ludzi pojawiły się perliste krople potu. Balberoth zmrużył ślepią i skrzywił się, lecz milczał. Spizowy olbrzym zrobił krok naprzód. Jego wielkie, kwadratowe stopy kruszyły kamienną posadzkę. Powoli otworzył usta i przemówił ponownie:

— JAM JEST TARGOL.

Balberoth spojrział szybko na Madesusa, po czym zwrócił się do Conana i Kailasa:

— Atakujcie, głupcy! To sztuczka kapłana, zamierzającego zniszczyć was zdradzieckimi czarami! Zabijcie klechę, a ta mara zniknie!

Kailasz wzdygnął się i ruszył w stronę Madesusa, opętańczo wymachując mieczem. Spizowy gigant z szybkością nie wiarygodną jak na jego rozmiary chwycił w lewą dłoń miecz górala i wyszarpnął mu go z ręki. Chwilę później olbrzym skruszył stalową broń, jakby była żdźbłem trawy. Na posadzkę posypały się z brzękiem fragmenty hartowanego ostrza. Palący wzrok giganta spoczął na Balberothcie.

— SKAŁAŁEŚ ŚWIĄTYNIĘ TARGOLA. NADSZEDŁ KRES TWOJEGO ISTNIENIA.

Słowa dobywające się z ognistej gardzieli przetoczyły się z hukiem po komnacie. Nim umilkło ich echo, Balberoth stanął w płomieniach. Słup nie dającego dymu, pomarańczowego ognia bezlitośnie strawił wrzeszczącą, błękitnoskórą istotę. Gdy w końcu ucichły krzyki Władcy Demonów, z Balberotha została tylko tłusta, granatowa plama na posadzce.

Conan natychmiast odzyskał jasność myślenia i utkwiał spojrzenie rozszerzonych ze zdumienia oczu w stojącej przed nim spizowej istocie, której źrenice migotały jak płomyki świec. Po chwili odzyskał zdolność mowy:

— Dobra robota, Madesusie! Twój amulet jest zaiste potężny. Dlaczego nie przywołałeś wcześniej tego olbrzyma?

Madesus nie odpowiedział, jak gdyby nie usłyszał pytania Conana. Jak zakłęty wpatrywał się w spizowego tytana. W końcu zdobył się na odpowiedź zduszonym szeptem:

— Mój amulet nie ma takiej mocy. Stoimy w obliczu Targola we własnej osobie!

Kailasz padł na twarz, by nie patrzeć w oczy nieziemskiej istocie. Conan zdrzął z przesadnego lęku. Madesus uniósł głowę, jak gdyby chciał coś powiedzieć, gdy pokraczny gigant przemówił:

— OPUŚĆCIE TO MIEJSCE W POKOJU. TARGOL NIE CZUJE DO WAS GNIEWU.

Madesus odchrząknął nerwowo.

— Dziękuję ci w imieniu swoim i moich towarzyszy, Targolu. Uczynimy, jak każesz, lecz pozwól mi zapytać, czy unicestwiłeś tylko demona, którego przywołała kapłanka Mutare, czy również i ją samą?

Słowa świątobliwego męża brzmiały jękliwie i słabo w porównaniu z głosem spizowego giganta. Targol stał nieruchomo z półotwartymi ognistymi ustami, jak gdyby nie dosłyszał pytania Madesusa, lecz po chwili milczenia ponownie rozległ się jego grzmiący bas:

— KAPŁANKA UCIEKŁA DO SHAN-E-SORKH. TARGOLowi NA NIEJ NIE ZALEŻY. MACIE OPUŚĆCIĆ TO MIEJSCE I NIGDY WIĘCEJ TU NIE WRACAĆ.

Conan i Kailasz nie potrzebowali dalszej zachęty. Biegając do wyjścia z komnaty, góral rzucił smętne spojrzenie na resztki miecza leżące u stóp olbrzyma. Conan klepnął Kezankiańczyka w plecy, popychając go w stronę drzwi. Spizowy tytan odsunął się w bok, umożliwiając im wyjście. Na korytarzu Madesus obejrzał się, by po raz ostatni rzucić okiem na Targola, lecz ujrzał tylko zamykające się, nie naruszone spizowe drzwi. Zatrzasnęły się za nimi, wyglądając dokładnie tak samo, jak w chwili, gdy trzej mężczyźni wchodzili do komnaty. Kapłan odwrócił głowę i przyśpieszył, by dołączyć do swoich towarzyszy.

Nie zamieniwszy ani słowa, zwolnili nieco kroku i wkrótce dotarli do kamiennych schodów.

Jako pierwszy do wielkiej, świątynnej sali wkroczył Conan. Cymmerianin stwierdził, że spizowe oparcia, które zerwał z ław, znajdowały się na swoim miejscu, podobnie jak brązowa poręcz na wewnętrznej stronie świątynnych odrzwi. Tym razem jednak wejście stało otworem, zapraszając intruzów do opuszczenia przybytku kultu.

Było już popołudnie. Kiedy ostatni z przybyszy znalazł się drzwiami, te zatrzasnęły się z łoskotem. Zaskoczeni hałasem mężczyźni wzdygnęli się, po czym Cymmerianin westchnął z

ulgą. Kailasz natychmiast zasypał Madesusa pytaniami, chcąc dowiedzieć się więcej o Balberocie i Targolu.

— Dlaczego unicestwił demona, lecz oszczędził nas? — rzekł góral zaskoczony niezrozumiałym dlań postępowaniem olbrzyma. — Conan wyrządził w świątyni więcej zniszczeń niż Balberoth!

— Między Targolem i Władcami Demonów panuje odwieczna wrogość — odparł nieuważnie kapłan. — Yog, Władca Demonów czczony przez darfarski lud, był z dawien dawna najgorszym wrogiem Targola. Yog to piekielna istotna Pierwotnej Nocy, niektórzy twierdzą, że najpotężniejsza spośród nich. W Zambouli, gdzie jego kult był najbardziej rozpowszechniony, jogicka hierarchia usiłowała stłumić wszelkie inne wierzenia. Uwięzili oni podstępnie kapłanów Targola, potem wydarli im serca i zjedli je podczas ceremonii poświęconej Władcy Demonów. Wciąż krążą opowieści o tej rytualnej rzezi, gdy w świetle księżyca krew setek zamordowanych ludzi wypełniła ofiarną studnię. Jednak następnego dnia zniknęli wszyscy kapłani Yoga, nawet ich najwyższy hierarcha. Ich szkielety wciąż odziane w szaty z piór i strojne tkaniny z Khari znaleziono zwalone na stertę w tej samej studni. Zemsta Targola była straszliwa, lecz daremna. Jego świątynia w Zambouli popadła w ruinę, zaś po pewnym czasie kapłańska kasta Yoga odrodziła się. Odtąd wszystkie historyczne przekazy zgadzają się co do tego, iż Targol żywi śmiertelną nienawiść do Yoga i jego pobratymców, lecz obydwie strony unikają otwartego konfliktu. Bez wątpienia Balberoth padł ofiarą tej wrogości.

— Słyszałem, że nikt, kto spojrzy w oblicze boga, nie może zostać przy życiu, jednak nam się to udało — oświadczył Kailasz, patrząc Madesusowi wprost w oczy.

— Może tak, może nie — odparł zagadkowo kapłan Mitry. — Niewiele wiadomo o Targolu. Znaczna część pisemnych przekazów przeczy sobie nawzajem. Jednakowoż kilku mędrców wspomina o władaniu przez niego żywiołami ziemi i ognia. Spiżowy kolos, którego widzieliśmy, mógł być stworzoną przez boga własną podobizną, mającą umożliwić wypełnienie jego woli. Jak powiedziałem, bogowie wołają unikać otwartych starć. Na przykład wasz Crom, Conanie...

— Nie czas na nauki, kapłanie! — przerwał mu Cymmerianin, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. — Wiem o Cromie wszystko, czego mi potrzeba. Tracimy czas na dyskutowanie o religii, a nie wykonaliśmy jeszcze naszego zadania!

Conan rzucił Kailaszowi zabójcze spojrzenie, ostrzegając go przed zadawaniem Madesusowi dalszych pytań.

— Tak, oczywiście — przyznał świątobliwy mąż. — Masz całkowitą rację. Musimy podążyć za Azora na Shan-e-Sorkh. Czeka nas wiele mil drogi do pustynnych połaci wschodniego Shemu. Nawet konno taka wędrówka zabiera ponad miesiąc.

— Ponad miesiąc! — wykrzyknął Kailasz z rozpaczą.

— Dłużej — wtrącił się Conan. — Tylko głupiec ruszyłby konno na spalone piaski shemickiej pustyni. Nawet wielbłądy nie mogą utrzymać się tam przy życiu. Możemy dojechać do południowych rubieży Khauranu, lecz dalej będziemy musieli ruszyć pieszo. — Po namyśle potrząsnął głową. — Kilka lat temu zdarzyło mi się gawędzić w zajeździe ze starym nemediańskim najemnikiem. Dotarł on niegdyś do Sabatei, shemickiego miasta w pobliżu Gór Taian, tuż na zachód od Shan-e-Sorkh. Opowiadając o tej wyprawie wielokrotnie dolewał sobie wina trzęsącymi się rękami. Wynajął się wówczas jako strażnik wędrującej przez pustynię kupieckiej karawany. Powiedział mi, że Shan-e-Sorkh nadrabia brak prawa nadmiarem rozbójników.

— Jeszcze żaden bandyta, który skrzyżował miecz z synem Kranarousa, nie przeżył! — prychnął Kailasz.

— Nemediańczykowi ręce trzęsły się nie na wspomnienie rozbójników, lecz czegoś innego — odparł barbarzyńca. — Pustynie Shemu to przybytek śmierci, którego wyrzekły się żywe istoty. Stary wiarus nie chciał mi opowiedzieć, co tam widział, lecz nie wątpię, że lepiej trzymać się z daleka od czegoś, co napełniło grozą zahartowanego w bojach najemnika. Wolałbym, żebyśmy obrali inną drogę; przeprawmy się na wschód od Gór Kezankiańskich, omijając Koryntię, Zamorę i Koth. Jeżeli okrążymy je od południa, trafimy na kupiecki szlak, prowadzący z Khauranu do Zambouli. Jako drogowskaz wykorzystamy Góry Taian. Mam tylko jedno pytanie, Madesusie. Shan-e-Sorkh to olbrzymia pustynia. Jak odnajdziemy cel naszej wyprawy?

— Trafna uwaga, Conanie. Ze swej strony również mam parę pytań, na które odpowiedź jest nieco trudniejsza. Dlaczego Azora podążyła właśnie tam, i to w takim pośpiechu? Wyczuwałem tu bardzo silne ślady jej obecności. Ona była w świątyni Targola jeszcze dziś. Mimo to, jak twierdzisz, droga na Shan-e-Sorkh zabiera miesiąc. Bez wątpienia opanowała sztukę magicznego przemieszczania się w przestrzeni. Udaje się to tylko tym, którzy władają prawdziwie wielkimi czarnoksięskimi mocami. Nie sądziłem, że zdołała je osiąść. Lecz wiem, czego szuka na pustyni. Dowiedziałem się od mojego nauczyciela, że w Shemie mieszkał

Skauraul, najpotężniejszy przedstawiciel pokonanej rasy Mutare. Być może Azora podążyła do ruin jego pałacu, by go odbudować i powrócić tam do pełni sił, lub by zabrać stamtąd coś, na czym jej bardzo zależy.

— Wciąż nie wiemy, gdzie znajdują się te ruiny — zauważył Conan.

— To prawda, ale mimo to musimy tam dotrzeć. Będziemy iść tak daleko w głąb pustkowia, aż wyczuję ślady obecności Azory. Wtedy będziemy wiedzieli, jaki kierunek obrać.

— Zajmę się przygotowaniem koni i zapasów — rzekł Kailasz, spuściwszy wzrok na pustą pochwę od miecza. — Muszę też znaleźć dla siebie nową broń. Mam nadzieję, że wkrótce wypróbuję ją na karkach rozbójników.

Conan wysilił pamięć, by przypomnieć sobie szczegóły drogi, która ich czekała. Doszedł do wniosku, że najłatwiej będzie obejść Góry Kezankiańskie od południa tam, gdzie ich spękane granie i szczyty ustępowały miejsca Góróm Ognistym. To odludne pasmo ciągnące się wzdłuż północnej granicy Shemu, stanowiło barierę, którą niewielu ludzi ważyło się pokonać. Można było je całkowicie ominąć, nakładając kilka dni drogi na południowy wschód. Tam czekała najtrudniejsza część wędrówki — dotarcie do środka wypalonej shemickiej pustyni, znanej pod nazwą Shan-e-Sorkh.

Tej zapomnianej przez bogów połaci unikały nawet najbardziej wytrzymałe plemiona shemickich koczowników. Nie kończące się mile spieczonych ziem i bezwodnych, piaszczystych wydm stanowiły scenę niejednej posępnej opowieści opowiedzanej przy wieczornych ogniskach. Conan często słyszał bajania starych żołnierzy o ich bohaterskich przejściach na pustyni. Wynikało z nich, gdyby dać im wiarę, że wypralone pustkowia roiło się od dzikich zwierząt, bezwzględnych nomadów oraz złych duchów, nawiedzających rozsypujące się ruiny pradawnych zamków. Mimo swej barbarzyńskiej przesądności, Conan uznał większość zasłyszanych opowieści za wojackie przechwałki wywołane nadmiarem taniego wina.

Aczkolwiek w skrytości ducha Cymmerianin liczył, iż znajdzie z towarzyszami ruiny jakiegoś zapomnianego pałacu wraz z nienaruszonym skarbem. Byłby zadowolony, mogąc wypełnić przysięgę daną Salvorusowi i równocześnie utuczyć sobie kiesę. I tak zamierzał podążyć do Zamory. Napelnivszy kiesę, mógłby po przybyciu do Shadizar wypełnić nocę czymś innym niż złodziejstwem. Miał nadzieję, że po zakończeniu wędrówki będzie mógł pozwolić sobie na parę wieczorów pijaństwa i swawoli.

Wspominając z rozrzewnieniem jaskinie rozpusty w Shadizar, Conan poprowadził Madesusa i Kailasza w stronę królewskiej rezydencji. Za ich nie wypowiedzianą zgodą, od tej pory on objął dowodzenie nad polowaniem na kapłankę Mutare.

W niewielkiej odległości za nimi podążał jeszcze ktoś, tak cicho, że mogłaby mu tego pozazdrościć pantera.

Mężczyzna ów miał na sobie lekki płaszcz z zarzuconym na głowę ciemnoszarym kapturem. Opończa skrywała szaty barwy krystalicznego błękitu, szeleszczące cicho jak łuski węży. Jego oczy, bardziej lodowate niż zima w Vanaheimie, obserwowały pilnie każdy krok Conana i jego towarzyszy.

Lamici z fanatyczną zaciętością myślał tylko o zemście za udaremnienie jego mrzonek. Nie zmartwiło go, że jego wrogowie zamierzali ruszyć na południe. Podążyłby za nimi po Styks i dalej, gdyby okazało się to konieczne.

Zamierzał pozbawić życia przede wszystkim Madesusa. Przeklęty kapłan odnowił siły życiowe uzurpatora i unicestwił marzenia Lamicięgo o przywróceniu Brythunii mocy i chwały. Ponieważ, zaś Conan i Kailasz wspomogli wyznawcę Mitry, oni również zasłużyli na śmierć. Na przedramieniu eunuch czuł napawający poczuciem pewności ucisk od pochwy z zatrutym jadem sztyletem. Lamici był przekonany, że wkrótce zanurzy jego ostrze w sercu Madesusa. Żył posępną pewnością, iż ten, który udaremnił jego plany, nie mógł wiecznie kryć się za plecami wojowników. Zamierzał być na miejscu, gdy nadejdzie odpowiednia chwila!

14 NA POŁUDNIE

Eldran usiadł powoli. Nawet tak prosta czynność stanowiła dla niego trudny wyczyn. Przebudził się niecałe pół godziny temu. Czar śmierci Mutare ogromnie osłabił jego ciało. Jego umysł, niegdyś ostry jak aquiloński miecz, był stępiały jak kamienny toporek. Chociaż nie mógł przejrzeć się w zwierciadle, wiedział, że jego widok może przyprawić o wstrząs. Skierowane w jego stronę spojrzenia przyjaciół powiedziały mu więcej, niż było w stanie ujawnić jakiegokolwiek lustro.

Nawet stojący naprzeciw Kailasz nie był w stanie ukryć współczucia. Eldran dostrzegał je w kącikach oczu wojownika, pobrzmiwało ono również w jego głosie. Własna słabość napawała króla wstrętem. Po cichu modlił się do Wikkany o szybki powrót do zdrowia, nim wieść o

nadwątleniu jego sił dotrze do sąsiednich królestw. Gdyby złe języki rozniosły plotki o marnym zdrowiu monarchy, zgraje Nemediańczyków i Hyperborejczyków spadłyby na Brythunię jak sępy, gnębiąc ludność i zawłaszczając połacie ziemi. Strzęp po strzęcie rozdarliby państwo, które z takim trudem usiłował scalić.

Eldran zepchnął te przygnębiające wizje w głąb umysłu. Przez nie nie dosłyszał, co przed chwilą mówił Kezankiańczyk. Skrzywił się z bólu i zachrypniętym głosem rzekł do starego towarzysza:

— Wybacz mi przyjacielu, ale trudno mi zebrać myśli. Wytłumacz mi jeszcze raz, proszę, dlaczego musicie udać się na południe.

— Oczywiście — odparł ponuro Kailasz.

Widok Eldrana w tak marnym stanie doprowadził go do rozpacz. Po raz kolejny przysiągł sobie, że kapłanka srodze zapłaci za swoje winy. Odchrząknawszy, powtórzył królowi całą opowieść.

Oszłomienie króla było w pełni zrozumiałe. Nawet człowiekowi w pełni władz umysłowych cała ta historia mogłaby wydać się powikłana i niejasna, jednakże z pomocą Madesusa i Conana król pojął wreszcie, co zdarzyło się podczas jego choroby. Z wysiłkiem uniósł dłoń, prosząc Kailasza o ciszę.

— Jestem dłużnikiem was wszystkich — powiedział Eldran, pozwalając ręce opaść bezwładnie na kolana. — Moją wolą jest, by imię Salvorusa uwiecznili dziejopisowie. Mimo to wyprawa, którą planujecie, pozbawia mnie szansy spłacenia moich długów. Żałuję, że brak mi sił, by udać się z wami.

Eldran zakończył tę wypowiedź, zanosząc się kaszlem tak silnym, że aż zgięło go w pół. Kailasz zeszywniał. Na twarzy Madesusa pojawił się wyraz troski. Kapłan otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, zachował jednak milczenie.

— Conanie, przykro mi, że zostałeś uwikłany w tę intrygę — odezwał się Eldran chrapliwym, nierównym głosem. — Zwalniam cię z przysięgi, którą złożyłeś wobec Salvorusa. Nie musisz udawać się na południe. Prawdę mówiąc, wołałbym, byś objął stanowisko kapitana straży miejskiej. Udowodniłeś, że jesteś tego godzien. Jeżeli nie życzysz sobie nim zostać, pragnąłbym, byś przynajmniej przyjął pełną sakiewkę złota i wolną drogę dokądkolwiek zechcesz się udać. Tyle mogę przynajmniej zrobić, by wyrównać rachunki między nami.

— Dzięki panie, ale nie możesz zwolnić mnie z przysięgi — odrzekł Cymmerianin. — Przyrzeczenie Cymmerianina to nie obłok na niebie. Dopóki żyje kapłanka, duch Salvorusa nie zazna spokoju. Kapitan był dzielnym człowiekiem, śmierć kogoś takiego wymaga pomsty. Dotrzymam przysięgi albo zginę. A co do złota, przyda się na wydatki podczas wyprawy. Głowa Eldrana chwiała się z wyczerpania, lecz na jego obliczu zagościł uśmiech.

— Ubiegłej nocy czekałeś w moim lochu na katowski topór, a mimo to zamierzasz pokonać setki mil, by dopaść mojego wroga. Prawdę mówią: my, ludzie cywilizowani, moglibyśmy wiele nauczyć się od was barbarzyńców. Jednak cieszę się, że Brythunia nie graniczy z Cymmerią! Ruszajcie na południe, skoro taka jest wasza wola. Możecie wziąć ze zbrojowni wszystko, co zechcecie. Wybierzcie ze stajni najwspanialsze konie, jakie sobie upatrzycie.

Kompletnie wyczerpany Eldran opadł na oparcie tronu. Ponownie przeszył go dręczący kaszel. Pot pokrył jego krzaczaste brwi, a twarz przybrała ziemistą barwę. Po wyrzeczeniu ostatnich słów monarcha przymknął oczy i zapadł w drzemkę.

Trzej mężczyźni bez słowa opuścili komnatę. W pobliżu jedynych prowadzących do niej drzwi kręciło się kilku ziomków Kailasza. Kezankiańczyk wydał im dokładne rozkazy, dotyczące królewskiego bezpieczeństwa. Ufał tym gwardzistom całkowicie, ponieważ z każdym z nich walczył ramię w ramię przy takiej czy innej okazji. Przez lata wspólnej walki stali się dla siebie bliscy jak bracia.

Główną troską Kailasza w tej chwili było znalezienie odpowiedniej broni i konia. Uświadomił sobie, że cieszy się z tej wyprawy. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni toczył boje na jakimś zapomnianym pustkowiu. Ostatnio przebywał prawie wyłącznie w stolicy w pobliżu króla, jedynie czasami towarzysząc mu do miejsc, oddalonych najwyżej o dzień konnej jazdy.

Tak jak góral, Conan również rozmyślał o czekającej ich wyprawie.

Jeżeli Skauraul był tak potężny, jak wynikało ze słów kapłana Mitry, złowrogi władca Mutare musiał za życia zgromadzić niezmierzone skarby. Być może przesady powstrzymywały grabieżców przed spłodowaniem jego twierdzy, aż zapomniano o jej istnieniu. Pilne poszukiwania mogły przynieść słuszną nagrodę za podjętą wyprawę. Napawając się wizją skrzyń pełnych migoczących złotych monet i urn skrzących się od bajecznych klejnotów, barbarzyński wojownik podążył za Madesusem i Kailaszem do pałacowej zbrojowni.

W niewielkiej, marnie oświetlonej sali panował niemalże absolutny nieład. W pobliżu wejścia znajdowało się kilka stojaków z mieczami, a na paru stołach piętrzyło się uzbrojenie wymagające

naprawy. Pod jedną ze ścian wznosiła się sterta tarcz i napierśników, sprawiająca wrażenie gotowej runąć przy najbliższym dotknięciu.

Zatrzymawszy się w progu, Madesus niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, wyczekując, aż Kailasz i Conan wybiorą coś dla siebie. Krępy, muskularny Kezankiańczyk ostatecznie zadowolili się półtoraręcznym mieczem o ostrzu długim na dwa łokcie. Góral był tak silny, iż bez trudu dzierżył go w jednej dłoni. Jelec miecza wykuto kunsztownie na podobieństwo rozpostartych jastrzębich skrzydeł. Rzeźbiona żelazna rękojeść broni przypominała szyję i łeb dzikiego, drapieżnego ptaka, którego ostry dziób wieńczył głowicę. Ostrze było tak doskonałe, że próbując je, Kailasz skaleczył sobie kciuk. Kezankiańczyk zawiesił sobie tę broń na plecach, a następnie wybrał nowy hełm w miejsce tego, który stracił w świątyni oraz parę stalowych naramienników.

Conan od razu zrezygnował z napierśnika, kurty z nie wyprawionej skóry czy kolczugi. Nie zamierzał ograniczać sobie swobody ruchów niewygodnym rynsztunkiem. Ufał, że zręczność i dobre ostrze obronią go przed wszelkimi wrogami lepiej niż jakakolwiek zbroja. Przeglądając zgromadzoną w arsenale kolekcję broni, zwrócił uwagę na sztylet o szerokim ostrzu, wystający spod sterty innych noży. Wyciągnął go i unióś, sprawdzając ciężar i wyważenie. Wykuta do zadawania pchnięć i miotania broń była pozbawiona gardy. Jej szerokie ostrze dorównywało długością przedramieniu Cymmerianina. Skinąwszy z zadowoleniem głową, Conan wsunął sztylet w ciężką skórzaną pochwę, której szwy zabezpieczały okucia z zaśniedziałej miedzi.

Kailasz przyglądał się wyborowi Conana jak zauroczony.

— Wolałbyś, żebym wziął inny? — spytał zdziwiony barbarzyńca.

— Nie, bierz, co chcesz — rzekł pośpiesznie góral. — Ten sztylet jest bardzo stary. Eldran powiedział mi kiedyś, że podarowano go wiele set lat temu brythuńskiemu królowi Maelcinisowi. Władca nie miał syna, któremu mógłby przekazać tę broń i być może jego duch wiódł twoją dłoń, gdy wybierałeś to ostrze. Oby wiódł nią równie pewnie w boju!

Conan spojrział na sztylet z powątpiewaniem. Niechętnie przyjął słowa Kailasza. Miał nadzieję, że duch Maelcinisa nie będzie się wtrącał do jego spraw, zwłaszcza w czasie walki. Zawahawszy się chwilę, postanowił zatrzymać sztylet.

— Jeżeli dopisze nam szczęście, nie będziecie potrzebować żadnej broni — wtrącił się Madesus. W jego głosie pobrzmiwała irytacja, wywołana niepotrzebnym jego zdaniem marnotrawieniem czasu w zbrojowni.

— Szczęście to zbroja głupców! — prychnął Kailasz. — Gdy człowiek ufa mu zbyt często, kończy jako jadło dla sępów. Gdy dochodzi do walki, dowierzam wyłącznie stali.

Conan mruknął na znak aprobaty, a Madesus westchnął i potrząsnął głową.

— Jak wolicie — w jego głosie pojawiła się nuta rozbawienia. — Ciekawe, że dwóm doświadczonym wojownikom przygotowanie do walki zajmuje więcej czasu niż pannie młodej wystrojenie się do ślubu.

Ironiczna uwaga kapłana sprawiła, że Kailasz zarumienił się, a Conan zacisnął pięści. W rodzinnym kraju Cymmerianin za taki żart natychmiast rozwaliby czaszkę dowcipnisiu, lecz przez lata życia wśród cudzoziemców nauczył się panować nad podobnymi odruchami. Kailasz już miał odpowiedzieć kapłanowi grubym słowem, gdy zauważył wyraz twarzy Conana i zaczął się śmiać. Cymmerianin nachmurzył się jeszcze bardziej, znosząc w milczeniu gromki rechot brythuńskiego górala.

Otarłszy łzy z policzków, Kailasz klepnął zdeprymowanego Cymmerianina w ramię i skinieniem głowy dał znak do wyjścia. — Kapłan ma rację. Nie wolno nam zwlekać, bo spóźnimy się na wesele!

Conan zazgrzytał zębami przy kolejnym afroncie. Poczucie humoru cywilizowanych ludzi przyprawiało go o dezorientację. By położyć kres dowcipkowaniu, rąbnął Kezankiańczyka po plecach, aż zadudniło, i wyszedł za nim ze zbrojowni.

Wszyscy trzej w lepszych nastrojach przeszli do stajni, gdzie czekały na nich krzepkie brythuńskie konie z wyładowanymi prowiantem skórzanymi jukami.

Przyjrawszy się uważnie wskazującym na siodła towarzyszom, Madesus pokusił się, by wsiąść na własnego wierzchowca. Dwie pierwsze próby zakończyły się niepowodzeniem. Za trzecim razem wypadł z siodła i runął z łoskotem na ziemię. Jego niedola wielce ubawiła Kailasza i Conana.

— Jeździłem konno zaledwie kilka razy, a i to we wczesnej młodości — powiedział Madesus, masując bolące pośladki. — Kapłani Mitry zwykli podróżować pieszo, nie na zwierzęcych grzbietach.

— Nie martw się, przyjacielu! — oczy Kailasza zabłyśły złośliwą uciechą. — Szybko przypomnisz sobie tajniki jeździectwa. Zanim dotrzemy do brythuńskiej granicy, twój zadek pożałuje, że nie zapomniałeś go doszczętnie!

Po starannym sprawdzeniu zapasów, wsiedli na konie i ruszyli kłusem. Kailasz zaproponował, by zatrzymać się dopiero kilka godzin po wschodzie słońca. Zamierzał dotrzeć do znajomego zajazdu we wsi Innasfaln u podnóża wschodnich stoków Karpasz. Conan był gotów przystać na to, jeśli tylko oberża znajdowała się dokładnie na szlaku wiodącym do twierdzy Skauraula. W drodze Cymmerianin starał się obmyśleć plan działania po dotarciu do Shan–e–Sorkh. Sądząc po mapach, którym przyjrzał się w pałacu, była to spora prowincja. Ponownie zaczął więc wypytwać Madesusa, jak zamierza on odnaleźć twierdzę Skauraula. Barbarzyńca nie miał najmniejszej ochoty trawić nie kończących się, upalnych dni na daremnym przeczesywaniu upiornego, piaszczystego pustkowia.

— Jak ci już tłumaczyłem, jestem w stanie wyczuć obecność Mutare — powtórzył ostatni członek tajnego zakonu. — Jeżeli mi się to nie uda, pokładam nadzieję w Mitrze, że doprowadzi nas do kapłanki. Nasza sprawa jest słuszna. Pan Światła powiedzie nas, jeśli zbłądzą nasze kroki. Zostaw to mi i nie kłopotz się tym więcej. O jeden raz za wiele nie doceniłem mocy kapłanki, lecz nie powtórzę tego błędu.

Conan dalej naciskał Madesusa, nie w pełni zadowolony z jego niejasnych tłumaczeń. Musiał jednak w końcu dać kapłanowi spokój. Jadący kilka długości konia przed nimi Kailasz przyglądał się drodze. Wyjechali za mury miasta ukradkiem, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Odzienie Kailasza niewiele różniło się od zwykłego góralskiego stroju, stanowiącego pospolity widok w stolicy. Kilku strażników rozpoznało jednak dowódcę gwardii, pozdrawiając go uniesieniem dłoni.

W ciągu następnych dni do królów sąsiednich państw dotarła wiadomość o poprawie zdrowia Eldrana, budząc ich irytację. W Nemedii i sprzymierzonej z nią Koryntii już planowano zbrojną napaść na Brythunię. Dowiedziawszy się o cudownym ozdrowieniu Eldrana, Yildiz, cesarz Turanu, stracił humor na resztę tygodnia. Plany rozszerzenia cesarskich ziem od dawna obejmowały Brythunię.

Był jednak ktoś, kogo ostatnie wydarzenia wytrąciły z równowagi bardziej niż władców sąsiadujących z Brythunią monarchii. Ktoś, kto skupił wszystkie siły swego błyskotliwego, lecz spaczonego umysłu do realizacji jednego, mrocznego celu: zemsty.

Osobnik ten zaopatrzył się w konia, juki z prowiantem oraz szary płaszcz brythuńskiego wieśniaka, a następnie ruszył na południowy wschód w opętany pościg za trzema mężczyznami.

W skrytych pod kapturem, zeszlonych i nieruchomych oczach Lamiciego malowało się charakterystyczne dla szaleńców bezwzględne zapamiętanie.

15. INNASFALN

Pierwszy dzień wyprawy minął szybko. Kailasz poprowadził Conanai Madesusa przez łąki rolniczych prowincji Brythunii. Kezankiańczyk znał okolicę na tyle dobrze, że nie potrzebował posuwać się ubitym traktem.

Gasnące promienie zachodzącego słońca padły na skraj olbrzymiej puszczy. Wielkie bory rzedyły na południu, ustępując miejsca surowym, kamienistym stokom Gór Karpasz. Kailasz powiedział towarzyszom, że król Zamory rościł sobie prawo do tych ziem, chociaż nie udało mu się ulokować żadnego garnizonu na północ od Karpasz. Góral z dumą przypisywał brak zamorańskich wojsk w tych stronach zdecydowaniu Eldrana.

Słońce właśnie zaszło za widniejące w oddali stoki Karpasz, gdy Kailasz zarządził postój.

Kezankiańczyk rozejrzał się po stepie pokrywanym skaliste pogórze.

— Innasfaln leży niedaleko — powiedział. — Dwie, najwyżej trzy godziny drogi stąd.

Wkrótce będziemy musieli zsiąść z koni i poprowadzić je tamtędy — wskazał odległy stok. —

Wioska znajduje się za tym wzniesieniem.

Gasnące światło dnia i niepewny grunt sprawiały, że wędrowcy posuwali się coraz wolniej.

Miejscami trafiali na strome, skaliste podejścia, na których Madesus miał trudności z prowadzeniem swojego konia. W końcu dotarli do trawiastego pagórka, porośniętego osobliwymi, rozdwojonymi drzewami. Kailasz zsiadł z konia. Pozostali poszli jego śladem i dalej ruszyli pieszo kamienistą ścieżką, niknącą wśród górskich zboczy.

Zesztywniały Madesus ostrożnie prowadził swojego konia górską drożyną. W pewnej chwili przyspieszył kroku i dołączył do górala.

— Dlaczego wioska leży w tak odludnej okolicy? — zapytał.

— Przez góry prowadzi zaledwie kilka przełęcz — odparł Kailasz. — Innasfaln leży u wylotu jednej z nich. W wiosce dowiemy się, czego mamy spodziewać się na szlaku na południe — mrugnął porozumiewawczo do stronę Conana. — Czekają nas tam nie tylko wieści. Szynek w Innasfaln słynie z doskonałego piwa, a nalewać je nam będą wyjątkowo hoże dziewczki, niezbyt

pilnie strzegące swej cnoty — z rozbawieniem spojrzął, jak jego słowa przyjmie Madesus.

— Rozumiem — rzekł kwaśno kapłan. — W takim razie rozbijemy obozowisko przed wioską, a ja ruszę do niej, by dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja na szlaku. Nie możemy pozwolić sobie na zmarnowanie wieczora na pijaństwie i swawolach. Musimy zadawać się jak najkrótszym snem, bowiem nasza przeciwniczka w ogóle nie śpi. Z każdą straconą przez nas chwilą jej siła rośnie, a nasze szanse spadają. Gdybym wiedział...

— Nie przejmuj się, świątobliwy mężu! — przerwał mu Kailasz ze śmiechem. — Tylko żartowałem. Conan i ja jesteśmy doświadczonymi wojownikami. Poradzimy sobie w Innasfaln. Zatrzymamy się najwyżej na kufel czy dwa. Poza tym ty, w odróżnieniu ode mnie nie znasz szynkarza. Wiele lat temu walczyłem razem z nim w wojnach na pograniczu.

— Zgoda, ale najwyżej po kufel na głowę i wyjeżdżamy z wioski — Madesus musiał przyznać, że Kailasz mówi rozsądnie, lecz w głosie kapłana nadal pobrzmiwała nuta sceptycyzmu. — Ostrzegam, że wstanę na kilka godzin przed świtem i obudzę was obu bez względu na stan, w jakim będziecie się znajdować.

Uwaga ta sprawiła, że Kailasz ponownie zachichotał. Dla odmiany Conan był rozczarowany. Tak chłodnej nocy z chęcią przyjąłby gorące uściski jakiejś pulchnej szynkowej postugaczki. Minęło już kilka dni od jego ostatniej nocy z Yvanną. Był przekonany, że odrobina uciechy nie zaszkodzi wyprawie. Niech sobie Madesus śpi ile chce, podczas gdy on i Kailasz zabawią się w ramionach chętnych dziewczek!

Gdy wędrowcy dotarli do skraju wioski, niebo rozświetlała jedynie zimna, biała tarcza księżycy. Twarz księżycy zdawała się spoglądać na nich z niechęcią. Po zachodzie słońca zrobiło się zimno. Chłód kąsał niewidzialnymi zębami każdy odkryty kawałek skóry. Konie buchały z nozdrzy kłębami pary.

Conan niemal nie zauważał chłodu. W porównaniu z Cymmerią w Brythanii nigdy nie było naprawdę zimno. Kailasz naciągnął kaptur na hełm i ciaśniej otulił się opończą. Chłód najbardziej doskwierał Madesusowi, mimo że wyznawca Mitry odziany był najcieplej. W końcu kapłan musiał przyznać, że w tej chwili nawet dla niego wizja ciepłego szynku stała się bardzo pociągająca. Pan Światła z pewnością wybaczy mu wstąpienie do jaskini rozpusty w tych okolicznościach.

Innasfaln było małą wioską. Wędrowcy minęli kilka chat z oblepionej gliną plecionki. Prawie wszystkie były zamieszkałe. Na środku wsi przycupnęło kilka solidniejszych budowli z nieociosanych kamieni, uszczelnionych żwirem i błotem. Kailasz wskazał największą z nich. Przed frontowymi drzwiami stało kilka koni przywiązanych do drewnianej poręczy.

Oberża była pozbawiona okien. W wejściu wisiała ciężka, wysmołowana tkanina. Conan gościł już w gorszych norach, lecz musiał przyznać, że nawet podle utrzymana oberża „Pod Łękiem” prezentowała się okazalej od tego odstręczającego ubóstwem zajazdu.

Trzej mężczyźni zsiadli z koni. Conan oraz Kailasz przywiązali wierzchowce, zdjęli juki i zarzucili je sobie na ramiona. Madesus człapał powoli za nimi, masując obolałe siedzenie.

Cymmerianin i góral roześmieli się na widok cierpień kapłana.

— Jeżeli sądzisz, że teraz czujesz ból, zaczekaj tylko do jutra! — powiedział Kezankiańczyk.

— Być może dasz radę obudzić się przed nami, ale założę się, że my pierwsi wsiądziemy na koń! Wciąż chichocząc, Conan wy dobył sakiewkę ze złotem i podał dwie monety Kailaszowi.

— To na... — urwał i spojrzął znacząco na kapłana — ...kwatery.

Kezankiańczyk uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Jeżeli stary Malgoresz jeszcze żyje, będziemy pili za darmo.

Zdjął hełm i wsadził go w juk, po czym ściągnął kaptur. Bez słowa odepchnął zastonę w bok i wszedł do środka. Conan podążył za nim.

Izba biesiadna wbrew pierwszemu wrażeniu była spora i dobrze oświetlona, lecz nadmiernie zatłoczona. Wszystkie ławy były zajęte, wielu gości stało w ciasno zbitych grupkach lub opierało się o ściany. Gdy Kailasz i Conan weszli do środka, parę głów zwróciło się w ich stronę.

Rozmowy ucichły, lecz po chwili zostały podjęte na nowo.

— Popatrz! — Kailasz wskazał długi, wysoki drewniany stół w głębi szynku. Za stołem brzuchaty, siwobrody mężczyzna nalewał do kufła piwo z wielkiej dębowej beczki, jednej z wielu, stojących pod tylną ścianą izby. — Oto Malgoresz. Dobrze, że zastaliśmy go w zdrowiu. Kailasz zaczął przeciskać się przez ciżbę. Cymmerianin trzymał się tuż za nim. Kilku w miarę trzeźwych wieśniaków dostrzegło ich zawczasu i spiesznie usunęło na bok.

Mimo zapowiedzi Kailasza, w szynku znajdowało się zaledwie kilka dziewczek służebnych.

Większość z nich pierwszą młodość miała już za sobą, lecz jedna wpadła w oko rozglądającemu się uważnie cymmeriańskiemu młodzieńcowi.

— Zaczekaj chwilę — rzekł Cymmerianin, oglądając się za siebie z troską. — Madesus nie wszedł za nami. Powinniśmy poczekać, aż...

— Ba! Kapłan tak pasuje do zabawy w szynku, jak woda do ognia. Może postanowił znaleźć kwatery na własną rękę. Poza tym, chyba za bardzo dokuczałem mu, kiedy zbliżaliśmy się do Innasfaln — na twarzy Kailasza pojawił się ironiczny uśmiešek.

Conan nie odpowiedział. Bez słowa odepchnął w bok rechoczącego głupawo pijaka, który tarasował mu drogę. Pobalansowawszy ze zręcznością, której pozazdrościłby wyćwiczony akrobata, wysoki, chudy wieśniak zdołał odzyskać równowagę, nie uroniwszy ani kropli piwa. Jedno spojrzenie na Conana wystarczyło, by zdecydował się zwolnić miejsce przy stole. Kailasz podszedł do wysokiego stołu w głębi izby. Stojący za nim tysiący szynkarz wytań dłonie o wyświechtany, pokryty mokrymi plamami fartuch. Gdy gospodarz spojrział na przybysza, na jego twarzy wykwitł wyraz zaskoczenia.

— Na włochate klejnoty Hanumana! Toż to mój stary przyjaciel Kailasz, albo Pikt ze mnie!
— wydał z siebie chrypliwy śmiech. — Witaj w najlepszym szynku w promieniu dwudziestu mil!

— To jedyny szynk w okolicy, stara żołnierska szkapo! — zaśmiał się hucznie Kezankiańczyk. — Widzę, że wyłopałeś o parę beczek warzonego przez siebie piwka za wiele! Wyszuszyliście już wszystko dzisiaj, czy zostało jeszcze trochę dla dwóch spragnionych wędrowców?

— Dwóch? — Malgoresz popatrzył niepewnie na Conana. — Jest z tobą, czy...

— Nie waż się powiedzieć o nim ani jednego złego słowa! Nazywa się Conan, pochodzi z zamrażniętej Cymmerii. Ktokolwiek podniesie przeciw niemu miecz, będzie miał najpierw ze mną do czynienia.

— Cymmerianin?! Na włochatą rzyć Hanumana! Dziwne koleje losu musiały sprowadzić tutaj was obu, a pewnie w jeszcze dziwniejszy sposób zostaliście przyjaciółmi — Malgoresz poskrobał się po podbródku, jego twarz przybrała poważny wyraz. — Co słyhać w Pirogii?

— Król wrócił do zdrowia — Kailasz pochylił się do przodu, i zaczął mówić ściszym głosem: — Ale Valtreska nie żyje. Salvorus także. Okazało się, że generał zdradził króla.

Podczas starcia w pałacowych podziemiach Conan i Salvorus zabili go.

Szczęka Malgoresza opadła. Gospodarz zajazdu wypuścił kufel z piwem z drżącej dłoni.

Trunek rozlał się na blat i zaczął ściekać na podłogę, tworząc pieniającą się kałużę.

— Valtreska zdrajca! — stęknął szynkarz, nie zwracając uwagi na rozlane piwo. Po chwili również zniżył głos: — Straszne wieści przywozisz, przyjacielu! Dobrze, że przynajmniej Eldran żyje!

— Wciąż nie jest bezpieczny — powiedział Kailasz ponuro. — Ale nie mam czasu opowiadać ci dzisiaj wszystkiego. Z pomocą Mitry wrócę niedługo do Innasfaln i dopowiem ci resztę. Jutro ruszamy dalej na południe. Jednak muszę się przedtem dowiedzieć od ciebie paru rzeczy.

— Oczywiście! Wszystko, czego zechcesz. Jak to się stało, że Valtreska...

— Dość, Malgoreszu! Nie odpowiem na żadne pytanie, póki nie zwilżę gardła paroma łykami twojego piwka. Zapomniałeś o naszym pragnieniu, czy mózg obrósł ci sadłem tak samo jak brzuch?

Malgoresz palnął się otwartą dłonią w tyse czoło i zacmokał. Podniósł przewrócony kufel i pobieźnie przetarł go połą fartucha.

Madesus ciągle stał na zewnątrz i mierzył wejście zajazdu pełnym obrzydzenia wzrokiem. Wątpił, czy powinien dołączyć do Kailasza i Conana, lecz ostatecznie odepchnął od siebie wyrzuty sumienia i wszedł do środka w chwili, gdy Cymmerianin i Kezankiańczyk upijali pierwsze łyki tutejszego piwa.

Wnętrze szynku okazało się większe, niż podejrzewał Madesus, jednakże wszystko inne zgadzało się z jego najgorszymi wyobrażeniami. Odór nie mytych ciał i skwaśniałego piwa był zmieszany z woniami trudniejszymi do rozpoznania. Kapłan pomyślał, że tego wieczora w szynku zebrali się pewnie wszyscy mieszkańcy wioski. Przy ponad tuzinie topornych stołów tłoczyli się mężczyźni w różnym wieku. Madesus naliczył sześć dziewczek służebnych, a liczbę gości oszacował na sześć lub osiem dziesiątek. Wielu z nich śmiało się lub silko na śpiew, niemiłosiernie fałszując. Inni zajęci rozmową garbili się nad stołami.

Madesus był zadowolony, że ma na sobie ukrywający jego profesję podróżny płaszcz. Kapłan w takim miejscu zbyt zwracałby na siebie uwagę. Wypatrzywszy Kailasza i Conana, z rezygnacją stwierdził, że jego towarzysze złopią piwo z równym zapałem, jak zdożone konie wodę z koryta. Gdy ruszył w ich stronę, góral i barbarzyńca stuknęli się w łoskotem kufkami i zabrali do osuszania następnej kolejki.

Piersiasta, jasnowłosa wieśniaczka podeszła w stronę nowych gości, bez żenady obnosząc swe obfite kształty, okryte półprzejrystą koszulą z czerwono farbowanej bawełny. Jeden z chłopów poklepał ją w pośladek, gdy mijała go, kręcąc biodrami. Zachichotała i odtrąciła jego rękę, zwracając uwagę wyłącznie na dwóch przybyszy.

Rozgniewany tym nieskromnym widokiem, Madesus ruszył stanowczo w stronę swoich towarzyszy, zamierzając stłumić w zarodku wszelkie bezpieczne zamiary, jakie ci mogli żywić wobec tej lubieżnej jawnoгрzesznicy. Był tak pochłonięty swym świętym oburzeniem, że po kilku krokach wpadł prosto na niskiego, krępego wieśniaka.

W nozdrza Madesusa buchnął cuchnący oddech chłopca. Kapłan odwrócił głowę w bok, daremnie próbując uniknąć chmury nieświeżego powietrza, otaczającego ospowatą głowę wieśniaka o splełanych, brudnych włosach.

— Proszę o wybaczenie — zwrócił się uprzejmie do odstręczającego prostaka.

— Hę? Pasz, dzie leziesz! Coje, spieszy si sie, co?

Bełkotliwa mowa pijaka była niemal niezrozumiała. Wieśniak zakończył wypowiedź głośnym beknięciem, posyłając nową falę nieświeżego oddechu wprost w twarz Madesusa. Kapłan stwierdził, że łatwiej domyślić się, co mężczyzna jadł, niż co powiedział. By uniknąć dalszego prowokowania otępiatego od piwa durnia, w milczeniu odstał w bok i skłonił się lekko.

Do tego czasu Conan i Kailasz znaleźli towarzystwo dwóch zmysłowych dziewczek.

Cymmerianin otoczył ramieniem w pasie dziewczynę o bladej cerze i czarnych oczach.

Niebieskokooka ladacznica, odziana w cienkie pasy szkarłatnej tkaniny, usadowiła się na kolanach Kezankiańczyka. Na widok Madesusa wojownicy zaczęli machać rękami, zachęcając go do podejścia.

Kapłan sięgnął do sakwy i ukradkiem wydobyl dwie ciężkie monety — złote nemediańskie dragony. Każdy z nich wart był pięć złotych aquilońskich nobilów. Ukrywszy pieniądze w dłoni, podszedł do nierządnic, zanosząc modły do Mitry, by jego pomysł okazał się skuteczny.

— Szacowne panie! — przy tych słowach zdołał się nawet uśmiechnąć. — Prosiłbym, żebyście raczyły dotrzymać mi przez chwilę towarzystwa. — Kobiety popatrzyły pytająco na Conana i Kailasza, którzy zaskoczeni skinieniami głów wyrazili aprobatę. Madesus poczekał, aż dziewczki do niego podejną, po czym szepnął.

— Mych przyjaciół dotknęło ubóstwo. Swoje bogactwo przegrali w kości podczas tej podróży.

Przykro mi widzieć, jak dwie tak piękne niewiasty marnują wieczór za parę marnych srebrnych monet. Los bardziej mi sprzyjał, dlatego chciałbym podzielić się z wami moim powodzeniem — wcisnął obydwóm w dłonie po sztuce złota. — Proszę, weźcie to i opuśćcie nas. Żadna z was nie powinna tracić czasu na tych hołszy, rozumiecie?

Kobiety utkwily zachłanne spojrzenia w złotych dragonach. Było to więcej, niż mogły zarobić w ciągu miesiąca. Gorliwie pokiwały głowami, jedna z dziewczek odrzuciła w tył włosy i przytuliła się kuscielsko do Madesusa.

— Nie przyłączysz się do nas nawet później?

Tembr jej gardłowego głosu i widok pełnych piersi, napierających na przejrzystą tkaninę, podniósłby mężczyznę z łoża śmierci. Zażenowany jej zachowaniem, Madesus cofnął się o krok, niemal żałując, że jest kapłanem Mitry.

— Nie — odpowiedział wstrząśnięty swymi nieskromnymi myślami, chociaż zdołał je natychmiast odepchnąć od siebie. — Mieliśmy długą podróż. Tej nocy zdolny jestem tylko do snu.

Kobiety popatrzyły po sobie rozbawione, następnie prześlizgnęły przez ciżbę i zniknęły za drzwiami. Madesus potrząsnął głową, w duszy błagając Mitrę o wybaczenie. Doszedł do wniosku, że wojownicy wywierają na niego zgubny wpływ. Pomyśleć, że dla dobra sprawy on kapłan Mitry był zmuszony kłamać i podarować jawnoгрzesznicom szczerę złoto! Teraz zrozumiał, dlaczego tak wielu wyznawców Pana Światła szukało schronienia w zaciszu świątyni. Conan i Kailasz przyglądali się Madesusowi zrazu z niedowierzaniem, a gdy kobiety wysunęły się z szynku równie płynnie jak piasek przez szyjkę klepsydry, ze zdumieniem. Kapłan podszedł do nich z niewinnym uśmiechem.

— I cóż? — zapytał niedbale.

— Na Croma! Co im powiedziałaś? — warknął Conan.

— Tak, dlaczego nas zostawiły? — zawtórował barbarzyńcy rozczarowany Kailasz.

— Powiadomiłem je, że nie macie czym zapłacić za ich wdzięki — odparł Madesus. —

Dodam jeszcze, że nie mamy czasu na podobne rozrywki. Kiedy porachujemy się z kapłanką, będziecie mogli swobodnie pofolgować swoim chuciom, lecz teraz błagam was, nie traćcie tej szczypty rozumu, którą jesteście obdarzeni. Bez wątpienia zapomnieliście, co dzieje się na szlaku?

Conan zmarszczył brwi, a Kailasz wbił wzrok w podłogę. Po chwili obydwaj wybuchnęli śmiechem. Madesus popatrzył na nich, jakby istotnie postradali rozum. Sprawilo to, że Cymmerianin i Kezankiańczyk roześmiali się jeszcze głośniejszymi. Rechotali bez opamiętania, nie przejmując się oszołomieniem kapłana.

Chociaż czyn Madesusa rzeczywiście był zabawny, Conan czuł zawód. Nie miał wątpliwości,

że przygadana przez niego złotowłosa Brythunka, Darinaiś, oddałyby się mu z chęcią, nie żądając w zamian nawet miedziaka. Trochę miłosnych zapasów z Darinaiś poprawiłoby mu tylko nastrój. Poczul złość, że kapłan w ogóle zdecydował się wejść do szynku.

Kailasz osuszył kufel i rozmachem walnął nim w stół. Rozejrzał się za szynkarzem, lecz ten znikł gdzieś z oczu.

— Malgoreszu! — ryknął tak głośno, że przekrzyczał panujący w izbie hałas. — Więcej piwa! Za szynkwasem znajdowało się przejście na tyły szynku. W odróżnieniu od wejścia, tu znajdowały się drzwi z grubych, solidnie okutych żelazem desek. Toporne, lecz krzepkie zawiasy mocowały je do wstawionego w ścianę masywnego bala. Teraz drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich zaczerwieniony, sapiący Malgoresz, wyglądający, jak gdyby dopiero co wymknął się bandzie piktyjskich łupieżców. Turańczyk dźwigał pod pachami dwie beczki z piwem.

— Za chwilę! — odrzyknął i postawił antały z łoskotem na blacie. Po jego garbatym nosie ściekały kropelki potu. — Gdzie się podziały te dziewczki, na dziewięć piekieł Zandru? Wystarczy się na chwilę odwrócić, a odchodzą, nie prosząc o pozwolenie!

Klnąc, zaczął napełniać kufle i ustawiać je na długim, wąskim blacie. Naczynia natychmiast znikaly, porywane przez niezliczone wyciągające się w stronę szynkwasu ręce. Na stole pozostawały monety. Malgoresz nie zadawał sobie trudu, by je liczyć, błyskawicznie zgarniał miedziaki oraz sztuki srebra i wrzucał je do przepastnej kiesy przy pasie. Kiedy w końcu zaspokoił na jakiś czas pragnienie klientów, otarł spoconą twarz fartuchem i dołączył do Kailasza. Góral upił tyk piwa.

— Ciasno tu dzisiaj — zauważył i otarł pianę z wąsów.

— Tak, aż zanadto. Chyba zamknę dziś wcześniej. Wiele lat minęło, odkąd wspólnie rozpiiliśmy beczkę piwa. Przyłączycie się do mnie obydwaj?

— Nie dzisiaj, przyjacielu. Teraz potrzebuję kwatery dla mnie i moich towarzyszy.

— Towarzyszy? — spojrzenie Malgoresza spoczęło na Madesusie. Płaszcz skrywał jego kapłańskie szaty, lecz bystre oko Turańczyka wypatrzyło parę znaczących szczegółów: prosty, znoszony strój wędrowca oraz brak broni, chociażby sztyletu. Instynkt podpowiedział szynkarzowi, że ma przed sobą czarnoksiężnika lub kapłana. Potrząsnawszy głową, rzucił Kailaszowi pełne zdumienia spojrzenie. Kezankiańczyk uniósł kufel i upił kolejny tyk.

— Oto Madesus... — góral urwał, nim zdążył się wygadać, kim jest jego towarzysz — przyjaciel z Koryntii — zakończył.

Madesus wyciągnął dłoń do szynkarza, który uściśnął ją z werwą. Kapłan poczul, jak kości trzeszczą mu w uchwycie Turańczyka. Kiedy Malgoresz puścił jego rękę, z trudem powstrzymał się, by jej nie rozmasować.

— Witaj — zdołał powiedzieć obojętnym tonem. — Jesteśmy ci wdzięczni za gościnność.

— Drobnostka — łysy szynkarz wzruszył ramionami i odszedł, by napełnić kufel piwem.

Wróciwszy, usiadł przy kapłanie, który spojrzał na trunek z taką odrazą, jakby to był jadowity wąż. Malgoresz udał, że tego nie zauważa, lecz był teraz zupełnie pewny, że Madesus jest kapłanem. — Walczyłem u boku Kailasza w niejednej pogranicznej zawierusze — rzekł. — Czasem, wydaje mi się, jak gdyby ostatnia z nich zdarzyła się zaledwie wczoraj. Było nas dwudziestu, posuwaliśmy się brzegiem Rzeki Żółtej, kiedy wpadliśmy w zasadzkę polującego na niewolników nemediańskiego łotra, Nekatora. Miał trzykroć więcej ludzi niż my, a połowa naszych chłopaków padła, nim spostrzegliśmy, co się dzieje. To była walka, na włochaty członek Hanumana! Rzeka spłynęła czerwienią, a...

Opowieść Malgoresza przerwało raptownie pojawienie się usmarowanego brudem osiłka, którego oddech cuchnął jak rzeźnia w lecie. Wieśniak bezceremonialnie wcisnął się między Madesusa i Conana. Siąkając nosem, puścił wiatry tak głośno, że zagłuszył Malgoresza.

— Piwa! Do diaska, piwa!!!

Natarczywy cham rąbnął kuflem o blat, trafiając w palec Conana.

Cymmerianin cofnął rękę, i kontynuując ten ruch wbił pijanemu wieśniakowi łokieć w brzuch.

Madesus zauważył z rozpaczą, że to ten sam, z którym miał wcześniej do czynienia.

— Uuuf! — stęknął awanturnik.

Zatoczył się do tyłu i o mało nie upadł, jednak z nadludzkim wysiłkiem zdołał zachować równowagę. Prychając z pijackiej wściekłości, wymierzył kuflem cios w głowę Conana.

Cymmerianin bez trudu zablokował uderzenie ramieniem i uderzył twardą jak stal pięścią w ospowatą gębę osiłka. Pijak ze zwichniętą szczęką runął w tył, wyjąc z bólu. Zanim jednak padł na podłogę, rzucił kuflem w Conana.

Okrutny figiel losu sprawił, że ciśnięty na oślep pocisk poszybował prosto między oczy barbarzyńcy. Conan uchylił się i uniósł rękę, by zbić kufel w stronę podłogi, jednak ciężkie gliniane naczynie minęło o włos jego wyciągniętą dłoń i trafiło z impetem w czoło Kailasza.

Góral pożałował, że nie został w hełmie, i była to jego ostatnia myśl tego wieczora. Ogluszony

uderzeniem, które o mało nie zgruchotało mu czaszki, odchylił się do tyłu i runął na polepę jak szlachtowany wół.

Malgoresz nie chcąc dopuścić do bijatyki, krzyknął rozpaczliwie do Cymmerianina i pijaka:

— Przestańcie! Przestańcie, powiadam! Jeżeli chcecie się bić, wyjdźcie na zewnątrz!

Słowa Turańczyka padły na jałowy grunt. Conan zacisnął dłonie w pięści i wbił je z rozmachem w bok przeciwnika. Po nie dającym się z niczym pomylić trzasku łamanych żeber nastąpiły rozzwierające uszy przekleństwa.

— Kulg! Wenak! — zawył awanturник, plując krwią, po czym hałaśliwie zwymiotował, ściskając rękami połamane żebra i padł.

Dwaj siedzący przy sąsiednim stole mężczyźni odwrócili się na wezwanie. Rozmowy zamarły, w szynku zapanowała niesamowita cisza. Wszyscy zrozumieli, na co się zanosi. Kulg, zwalisty osiłek o topornych rysach, podniósł wzrok znad kufła z piwem. Był bardzo podobny do wijącego się przed Conanem poturbowanego Vansy, lecz o wiele większy i szpetniejszy. Był tak zarośnięty, że żartowano — oczywiście za jego plecami — z jego podejrzanego pochodzenia. Bujna, czarna broda zajmowała niemal całe policzki Kulga. Nawisające nad nią krzaczaste brwi pokrywały grube łuki, sterczące nad czoło. Czarne kędziory sterczały również w rozcięciu obszarpanej, niedopasowanej tuniki. Kulg nie odznaczał się lotnością umysłu nawet w porównaniu z Vansą. Był jednak wystarczająco bystry, by na widok plującego krwią brata wpaść w pasję.

Siedzący obok niego Wenak ukrył w dłoni mały, ostry nóż. Ten wieśniak w niczym nie przypominał swoich starszych braci. Był niski, przebiegły i tchórzliwy. Nie spuszczając Conana z oka, przygotował się do ciśnięcia noża i czekał, aż Cymmerianin odwróci się do niego plecami. Taktyka Kulga była o wiele bardziej bezpośrednia. Ryknąwszy ze zwierzęcą furią, poderwał olbrzymie cielsko z ławy ledwie utrzymującej jego ciężar. Wyciągnął przed siebie wielkie łapska i runął wprost na Conana.

Barbarzyńca miał za sobą wiele karczemnych bijatek. Spokojnie zszedł z drogi szarżującemu osiłkowi i podstawił mu nogę. Kulg wpadł na stół szynkarza. Okazało się, że w zderzeniu z nim solidne drewno nie miało żadnych szans. Stół przewrócił się, przywalając jęczącego z przerażenia Turańczyka. Kufle z piwem rozleciały się we wszystkie strony. Przyduszony szynkarz zaczął bezradnie wymachiwać rękami. Wytracony z równowagi rozwojem wypadków, lecz nie mogąc ich zatrzymać, Madesus obszedł stół, by przyjrzeć się głowie Kailasza.

Conan tymczasem chwycił jedną z przypominających konary rak mijającego go Kulga.

Wykręcił mu ją na plecy i kopnął osiłka w doły pod kolanami, pozbawiając go równowagi.

Obydwaj wylądowali na stole. Malgoresz, któremu przyszło tym razem przyjąć impet podwójnego uderzenia, stęknął tylko. Ujrzawszy szansę wbicia sztyletu w nie osłonięty grzbiet Cymmerianina, Wenak odwiódł ramię gładkim, dobrze wyćwiczonym ruchem. Madesus dostrzegł błysk stali.

— Conanie! Za tobą! — wykrzyknął i desperacko rzucił się w stronę skrytobójcy.

Wenak zawahał się na moment. Chciał cisnąć nożem w nadbiegającego przybysza w zielonym płaszczu, jednakże w końcu cisnął nim w Conana i błyskawicznie rzucił się do ucieczki.

Cymmerianin usłyszał wołanie kapłana, lecz nie miał żadnej szansy uchylić się przed nożem.

Okazało się jednak, że Wenak rzucił za wysoko. Broń przeleciała trzy palce nad ramieniem Conana i utkwiła w jednej z pustych beczek po piwie. Barbarzyńca z odnowioną furią chwycił za włosy Kulga i zaczął bić jego głową o spód przewróconego stołu.

Ktoś podstawił stopę uciekającemu Wenakowi. Nożownik wpadł na najniższy stół, zsunął się z niego i wpełzł pod spód. Zasiadający wokół stołu piewosze zaczęli obwiniać sąsiadów o spowodowanie rozlania trunku. W ciągu paru chwil bijatyka ogarnęła wnętrze szynku niczym pożar suchy step.

16. ODJAZD

Lamici dotarł do Innasfaln mniej więcej godzinę po Conanie, Kailaszu i Madesusie. Eunuch ostrożnie zbliżył się do wsi i poprowadził konia do zajazdu. Minęło wiele lat od jego ostatniej wyprawy poza Pirogię i jeszcze nigdy nie zawędrował samotnie tak daleko. Bolały go kości, było mu potwornie zimno, lecz jego determinacja nie zmalała ani na chwilę. Bardziej niż kiedykolwiek pałał żądzą zemsty.

Wygląd eunucha wstrząsnąłby jego znajomymi. Wynędzniała, zaniedbana twarz sprawiała, że wyglądał o dwadzieścia lat starzej. Jego zwykle zimne, spokojne oczy były teraz przekrwione i rozgorączkowane. Ogorzałe czoło pokryło się bruzdami. Lamici nie spał od dwóch dni.

Obsesyjna idea, która zmusiła go do wyruszenia w drogę, nadal dodawała mu sił. Eunuch przestał zastanawiać się nad swoją przyszłością, nie myślał, co zrobi po uśmierceniu tych, którzy

unicestwili jego marzenie.

Ci, których ścigał, byli w Innasfaln. Zobaczył ich konie, przywiązane przed zajazdem. Z wnętrza dobiegała ogłuszająca wrzawa. Lamici czujnie okrążyli zajazd i przywiązali konia do drzewa, rosnącego na tyłach budynku. Wsłuchał się uważnie w hałas, starając się wychwytać głosy swoich wrogów, dobiegał go jednak wyłącznie trzask łamanego drewna i głośne krzyki. Eunuch najdalej jak mógł naciągnął kaptur na twarz i wszedł do środka.

Tu stwierdził, że nie ma powodu obawiać się wykrycia. Szynek wypełniało kłębowisko wierzgających, młócających pięściami i wrzeszczących ludzi. Eunuch wyminął parę pijanych osiłków okładających się z zapalem kułakami i przystanął w kącie, gdzie panował względny spokój.

Po chwili zobaczył, że Conan znajduje się po przeciwnej stronie sali, dziesięć kroków od niego. Barbarzyńca toczył walkę z wyższym od siebie, przypominającym małą osiłkiem. Lamici nie mogli dostrzec Madesusa i Kailasza. Ufny, że w zasłaniającym twarz kapturze jest nie do rozpoznania, eunuch zaczął posuwać się wzdłuż ściany w stronę Cymmerianina. Ciśnięty przez kogoś żelazny kubek odbił się obok od muru. Potem Lamici zmuszony był przestąpić przez ciała kilku nieprzytomnych ludzi. Oceniał, że wewnątrz szynku walczy ze sobą ponad czterdziestu mężczyzn. Wrzawa i zamęt stanowiły dla Lamiciego doskonałą osłonę. Nikt nie zauważył, jak zbliża się do walczących ze sobą Kulga i Conana.

Cymmerianin był zdziwiony, że wieśniak wciąż trzyma się na nogach. Barbarzyńca rąbnął kilkakrotnie głową przeciwnika w ławę, rzucił nim o kamienną ścianę i prawdopodobnie złamał mu ramię, lecz Kulg nieustępliwie dźwigał się z ziemi i ponownie ruszał do ataku. Gdy wieśniak po raz kolejny rzucił się w jego stronę, Cymmerianin przygotował się na przyjęcie całego impetu zderzenia. Uznał, że jeśli to nie pomoże, trzeba będzie użyć pałasza. W chwili gdy Kulg zaatakował ktoś szarpnął Cymmerianina za kostkę, pozbawiając go równowagi. To Vansa zdażył nabrać z powrotem ochoty do walki. Cymmerianin wierzgnął i zdołał uwolnić stopę w chwili, gdy Kulg wpadł na niego. Barbarzyńca runął na klepisko, zaś Kulg wylądował na nim.

Rozwścieczony Cymmerianin daremnie usiłował wyciągnąć pałasz.

Zaledwie kilka kroków dalej Madesus bezskutecznie starał się przywrócić przytomność Kailaszowi. Kufel wyrył szkaradną rysę na czaszce górala, a krew wciąż spływała ze zwisającego nad jego czołem płata skóry. Kapłan przeklął się za to, że nie próbował usilniej wyperswadować swoim towarzyszom postoju w zajeździe, następnie z ciężkim westchnieniem wetknął rękę do swojej obszernej, skórzanej torby. Wyciągnął z niej mały, gliniany garnuszek z maścią i sownie natarł balsamem ranę, by powstrzymać krwawienie. Delikatnie obmacawszy głowę doświadczonymi palcami, wyczuł wgniecenie w czaszce górala. Stwierdził, że rana jest groźniejsza, niż zrazu wyglądało, a do jej wyleczenia będzie musiał użyć amuletu.

— Malgoreszu! — krzyknął do Turańczyka, który wypełzał właśnie spod resztek roztrzaskanego stołu.

— Źle z nim? — zapytał zdyszany gospodarz.

— Żyje, ale będziemy musieli przenieść go w spokojniejsze miejsce, bym mógł zasklepić pęknięcie w jego czaszce.

Wspólnymi siłami powlekli Kailasza w głąb szynku. Madesus a wyciągnął amulet, osłaniając go przed wszystkimi z wyjątkiem Malgoresza. Oczy Turańczyka rozszerzyły się ze zdumienia.

— Nie mów nikomu, że to widziałeś — ostrzegł go kapłan.

— Ani słowa! — obiecał oberżysta, oblizał wargi i wstał. — Przysięgam na włochaty...

— Nie patrz! — przerwał mu kapłan, nie mając ochoty słuchać pogańskiej przysięgi. — I postaraj się powstrzymać tych opojów, zanim rozniosą w drzazgi twoją budę!

Madesus odwrócił się plecami do szynkarza. Przyłożył dłoń do zakrwawionej skroni Kezankiańczyka, w drugą rękę ujął amulet. Zamknawszy oczy, począł śpiewać uzdrawiające zaklęcie.

Malgoresz pokulał w stronę Conana i Kulga. Ujrzał, że wieśniak przygniótł Cymmerianina całym ciężarem swego cielska i w ten sposób uniemożliwia barbarzyńcy złapanie oddechu. Malgoresz wybrał ze szczątków stołu solidną nogę i walnął nią we włochatą potylicę osiłka. Krzepka dębina odbiła się z łoskotem od podstawy twardej jak granit czaszki Kulga. Wieśniak nawet nie mrugnął okiem. Malgoresz zaklął i ponownie zamachnął się deską, wkładając w uderzenie wszystkie siły. Tym razem Kulg wydał gardłowe burknięcie i przestał dławić Conana, by potrzebować tył głowy.

Cymmerianin chwycił łapczywie oddech i nie tracąc czasu, wyslizgnął się ze śmiercionośnego uścisku. Rąbnął wieśniaka kolanem w czoło, zaś Malgoresz poprawił, bijąc go swoją improwizowaną maczugą po grzbiecie. Kulg osunął się na kolana, starając się przejrzeć zasnuwającą mu oczy mgłę. Turańczyk wymierzył następny cios, lecz poturbowany prostak zdołał jakimś cudem chwycić za koniec stołowej nogi. Szarpnął jaku sobie, i z łatwością wyrwał

z dłoni oberżysty.

Kulga zatoczył się w miejscu, potrząsając świeżo zdobytą bronią. Nie wiedział tylko, którego z przeciwników dzielić nią najpierw. Ten problem przerastał jego możliwości umysłowe. Conan bez namysłu chwycił pałasz i wzniósł go z wściekłością do rozstrzygającego ciosu. Malgoresz cofnął się, by wyciągnąć nóż Wenaka z beczki na piwo.

Właśnie w tym momencie przycajony tuż obok Lamici postanowił działać. Wszyscy, włącznie z Madesusem, byli odwrócenii plecami do niego. W odróżnieniu od Kailasza, kapłan nie miał na sobie skórzanej kurty, która mogłaby ochronić go przed ciosem eunucha. Sięgając do rękawa po ukryty sztylet, Lamici skoczył na nic nie podejrzewającego, śpiewającego zakłęcie Madesusa. Znalazłszy się na tyle blisko kapłana, by słyszeć jego śpiew, wyciągnął broń z pochwy przy nadgarstku i znieruchomiał, gdy kapłan niespodziewanie zamilkł.

Madesus skończył uzdrowicielskie modły i otworzył oczy. Kailasz zakaszlał i spróbował usiąść. Kapłan usłyszał szmer za sobą. Obejrawszy się, ujrzał zmierzający w jego stronę cienki, stalowy szpic. Było za późno, by uchylić się przed śmiercionośnym ostrzem. Próba uniku sprawiła, że sztylet rozplątał mu ramię i zagłębił się w barku. Madesus chwycił Lamiciego za rękaw, nie zwracając uwagi na płytką ranę.

— Nadszedł twój kres! — syknął eunuch przez zaciśnięte zęby i zaśmiał się opętańczo. — Nadszedł czas zapłaty za zbrodnie przeciw mojej ojczyźnie!

Madesus poczuł pulsującą w żyłach falę nieznosnego bólu. Sztylet był zatruty! Kapłan runął na posadzkę, upuszczając amulet. Lamici natychmiast porwał go z podłogi. Magiczna gwiazda buchnęła jaskrawym blaskiem, oślepiając eunucha i przypalając mu dłoń. Dzierżąc w jednej dłoni sztylet, a w drugiej amulet, Lamici obrócił się na pięcie i pobiegł do wyjścia. Przedzierając się przez tłum, wsadził amulet w kieszeń płaszcza i wkrótce znalazł się przy drzwiach.

Tuląc do siebie torbę z uzdrowicielskimi akcesoriami, Madesus modlił się rozpaczliwie do Mitry. Przeszywający ból wędrował wzdłuż ramienia do serca. Usiłował wołać o pomoc, lecz ogarnęły go konwulsje. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Wciąż modląc się w duchu do Pana Światła, zamknął oczy i cicho opuścił świat żyjących.

Ujrawszy jaskrawy błysk, Conan wyszarpnął skrwawione ostrze z drgającego ciała Kulga i odwrócił się. Parę kroków od niego zakapturzona postać przemykała chyłkiem pod ścianą, dzierżąc w dłoni nóż o wąskim ostrzu. Barbarzyńca spojrzął w kąt szynku i zacerpnął gwałtownie tchu. Przewrócony stół częściowo zasłaniał mu widok, jednak z boku widać było leżącą bezwładnie rękę Madesusa. Obok niej szybko narastała kałuża krwi.

Kierując się wyłącznie impulsem, Conan rzucił się prosto za uciekającym nożownikiem w szarym płaszczu. Roztrącił okładających się pięściami wieśniaków niczym szarżujący byk. Morderca nie zdawał sobie sprawy, że barbarzyńca jest coraz bliżej, póki Conan nie wydał mrozącego krew w żyłach okrzyku bojowego swego klanu. Barbarzyńca znalazł się tak blisko ściganego mężczyzny, że widział połyskującą na ostrzu krew. Nie miał wątpliwości, że jest to krew Madesusa. Wyciągnął przed siebie pałasz do pchnięcia, które przebiłoby zabójcę na wylot. W ostatniej chwili kryjący się pod stołem Wenak podstawił Conanowi nogę. Cymmerianin stracił równowagę i upuścił broń. Pałasz spadł na podłogę dwa kroki od Conana w chwili, gdy Lamici zniknął w mroku nocy.

Rozwścieczony i zawiedziony Cymmerianin wpadł w szał. Wypatrzył Wenaka, chwycił go za kostkę i wyszarpnął spod stołu. Wieśniak zawył przenikliwie, wijąc się w stalowym uścisku barbarzyńcy.

— Bękarci kundlu! Zaraz spotkasz swojego brata!

Cymmerianin dźwignął Wenaka i rąbnął jego głową o kamienną ścianę. Czaszka wieśniaka pękła z okropnym chrzęstem, przypominającym odgłos łamania zgniłej gałęzi. Na murze pozostała plama czerwono-szarej miazgi.

Krew łomotała Conanowi w żyłach, w skroniach dudniło mu od nie dającego się ugasić gniewu. Chwycił pałasz z podłogi, odtrącił od siebie przewrócony stół i ruszył w pościg za zabójcą kapłana.

Za jego plecami zamroczony piwem i wódką wieśniak walił polanem każdego, kto się do niego zbliżył. Teraz wzniósłszy prymitywną broń, dzielił nią z całym siłą Cymmerianina w podstawę karku. Cios był tak silny, że polano pękło na pół. Conan zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę drzwi i nieprzytomny zwał się na progę oberży.

Kiedy doszedł do siebie, poranne słońce zaczęło właśnie świecić przez okno jednego z pokojów gościnnych w zajeździe Malgoresza. Zdezorientowany Cymmerianin zerwał się błyskawicznie na równe nogi i odruchowo sięgnął do boku po broń. W tym momencie wróciła mu pamięć. Conan osunął się z powrotem na pryczę i potarł bolący kark. Skrzywił się, gdy trafił palcami na guz wielkości daktyla.

Moore Sean U - Conan niezłomny

W głowie łupało go tak, jakby bił w niej piktyjski bęben wojenny. Zrywając się z pośłania, doznał zawrotu głowy, lecz zdołał dźwignąć się ponownie. Ledwie powłócząc nogami, ruszył do stojącej w kącie miednicy z wodą.

Wypił kilka łyków, a resztę wody wylał na pulsującą bólem głowę. Nie miał pojęcia, w jaki sposób stracił przytomność, miał jednak nadzieję, że tego, który to sprawił, spotkał jeszcze gorszy los. Z zadowoleniem stwierdził, że jego pałasz stoi oparty o ścianę. Przypasał go i zauważył, że jakimś cudem wciąż ma przy pasie sakiewkę ze złotem. Oręż i złoto u pasa sprawiły, że humor Cymmerianina nieco się poprawił.

Na zewnątrz ujrzał grupkę wieśniaków stojących przy jego drzwiach i zadał sobie pytanie, co stało się z Kailaszem i Madesusem.

Podejrzewał, że Madesus nie przeżył ubiegłej nocy. Wspomnienie widoku białej jak płótno dłoni kapłana wystającej z przesiąkniętego krwią rękawa sprawiło, że Cymmerianin na nowo poczuł rozpacz i gniew. Postanowił znaleźć zabójcę wyznawcy Mitry i bezlitośnie się z nim porachować, lecz wpierw musiał dowiedzieć się, co stało się z Kailaszem.

Główne wejście do szynku było zabarykadowane. Kilku stojących przed nimi chłopów obrzuciło zbliżającego się Conana ponurymi spojrzeniami. Gdy podszedł, odeszli na bok. Pozostało dwóch starców, wpatrujących się nieruchomo w Cymmerianina.

— Gdzie Malgoresz? — zapytał Conan chmurnym tonem. Nie był w nastroju do wymiany uprzejmości.

Jeden z wieśniaków chrząknął z rozdrażnieniem i milczał dalej. Drugi, całkowicie bezzębny starzec o pobrużdżonej i szarej jak stoki Karpasz twarzy, namyślał się chwilę i wreszcie odpowiedział ledwie dającym się zrozumieć głosem:

— W środku. Siedzi tam cały ranek.

Conan minął starców i zatrzymał przy drewnianej zaporze. Załomotał w nią pięścią i wykrzyknął głośno imię Malgoresza, potem niecierpliwie odepchnął stertę stołów i wszedł do szynku.

Turańczyk stał w środku. Widać było, że oberżysta starał się zaprowadzić w izbie jako taki ład.

— Zatarasowałem drzwi ubiegłej nocy, by nikt nie wlaź z powrotem do środka — powiedział. — Gdybyś zaczekał, wpuściłbym cię od tyłu...

— Mam to w nosie! — przerwał mu opryskliwie Conan. — Gdzie Kailasz i Madesus?

— Kazałem zanieść ciebie i Kailasza do osobnych pokoi, żebyście mogli dość do siebie po bijatyce. Kezankiańczyk na pewno jeszcze śpi. Oberwał tak, że ktoś słabszy od niego obudziłby się w grobie. Ty sam dostałeś tak mocno, że zatrzymałoby to szarżującego niedźwiedzia!

— A Madesus? — zapytał Conan, znając odpowiedź. Malgoresz wskazał stół pod ścianą szynku. Leżało na nim ciało kapłana. Conan podszedł do stołu i zsunął płaszcz, którym przykryta była twarz Madesusa. Widok martwego towarzysza nappełnił Cymmerianina nową wściekłością.

— Ma tylko jedną ranę, na ramieniu — rzekł cicho Malgoresz.

Conan przyjrzał się jej, marszcząc brwi. Nie widział nic, co mogłoby wytłumaczyć śmierć kapłana. Długa, lecz płytka rana nie sięgała ważnych dla życia narządów. Zabójca Madesusa bez wątplenia zatrzał ostrze. Nie była to zatem przypadkowa śmierć podczas karczemnej bijatyki, lecz zbrodnia zaplanowana z zimną krwią.

Trzymając gniew w karchach, Conan obejrzał całe ciało kapłana w poszukiwaniu innych ran.

Malgoresz położył na stole skórzaną sakwę Madesusa.

— Bójka wygasła wkrótce po tym, jak straciłeś przytomność — powiedział. — Ci, którzy najbardziej rwali się do bijatyki, mieli o niej najmniejsze pojęcie. Zabiłeś Kulga i Wenaka. Ich brat zmarł nad ranem. Oprócz nich jedyną ofiarą był twój przyjaciel. Takie rzeczy zdarzały się w tej okolicy, ale jeszcze nigdy w moim szynku. Kulg i jego bracia byli hyrkańskimi szumowinami. Wczoraj przybyli z Zamory. Zły los sprawił, że stanęli ci na drodze.

— Widziałem zabójcę, kiedy uciekał z izby — mruknął lodowato Conan.

Malgoresz zadrżał, słysząc determinację w głosie barbarzyńcy. Z zadowoleniem pomyślał, że jeszcze nigdy nie naraził się żadnemu Cymmerianinowi.

— Jak go znajdziesz? Jego ślad już ostygł. Na pewno jest o wiele godzin drogi stąd!

— Ile dróg prowadzi z wioski? — zapytał Conan.

— Dla koni tylko dwie; na zachód i na wschód. Pieszycy ścieżek jest dużo więcej.

— Dowiedz się, czy ktoś widział uciekającego w którąkolwiek stronę obcego mężczyznę w szarym płaszczu. Chyba nie wszyscy spili się zeszłej nocy tak, jak ci tutaj! Każdy, kto widział tego człowieka, dostanie sztukę złota!

Conan przedstawił Malgoreszowi najlepszy opis zabójcy, na jaki potrafił się zdobyć. Nim Turańczyk odszedł, przyniósł Conanowi dzban wody, niewielki bochenek twardego chleba i zimny połec wołowiny. Chociaż Cymmerianin nie miał apetytu, zjadł śniadanie, dumając nad

śmiercią kapłana Mitry.

Przyjrząwszy się ciału Madesususa, Cymmerianin znalazł dwa ślady mogące doprowadzić do mordercy. Jednym z nich był tkwiący w zaciśniętej dłoni kapłana niewielki kawałek niebieskiego jedwabiu. Drugim: brak amuletu. Gdy Cymmerianin zmuszał swą obolałą głowę do przemyślenia tego problemu, w drzwiach pojawiła się znajoma postać.

— Conanie! — wykrzyknął Kailasz i wszedł do środka, zataczając się lekko. — Widziałeś Madesususa?

Conan bez słowa odsunął się na bok, by Kezankiańczyk mógł dojrzeć twarz martwego człowieka na stole.

— Na Mitrę! — góral na chwilę stracił dech. Jego twarz przybrała ziemisty wygląd. — Jak to możliwe? Dlaczego? — zacisnął pięści, rąbnął nimi w ścianę i odwrócił się. — To robota kapłanki lub któregoś z jej piekielnych sprzymierzeńców! Nie ma innego wyjaśnienia! Zostaliśmy pokonani już pierwszej nocy naszej wyprawy!

Conan nie odpowiedział.

— Pokonani! — w głosie Kailasza brzmiał gniew i bezradność. — Bez mocy Madesususa nie możemy zabić kapłanki, sam tak powiedział. Nasza przeciwniczka wygrała, a Eldrana czeka śmierć! Wszyscy jesteśmy zgubieni!

— O nie, dopóki nie złożą nas do grobu! — odrzekł twardo Conan. — Cokolwiek czeka nas i Eldrana, musimy pomścić Madesususa. Widziałem jego zabójcę, ale zostałem ogłuszony, zanim zdążyłem go dopaść. Kazałem Malgoreszowi dowiedzieć się, czy ktoś nie widział, jak morderca uciekał z wioski.

— Tak, na Mitrę, masz rację — powiedział Kezankiańczyk, biorąc się w garść.

— Musimy wytropić tego diabła, posiekać go mieczami na tysiące kawałków i rzucić je sępom na pożarcie! Żadna śmierć nie będzie dla niego zbyt niegodna! Później zdecydujemy, jak rozprawić się z kapłanką.

— Być może uda się nam dzięki temu odzyskać amulet — mruknął Conan. — Może jakiś inny kapłan zdoła użyć go przeciw tej wiedźmie.

— Nie ma amuletu? Jak właściwie zginął Madesusus?

Cymmerianin wskazał góralowi ranę w ramieniu kapłana.

— Sądząc po oznakach, od trucizny. Znalazłem jeszcze to — pokazał Kailaszowi skrawek jedwabiu, nie mając pojęcia, jak gwałtowną wywoła to reakcję. Kezankiańczyk rozchylił usta i oniemiały chwycił skraj stołu, by nie upaść. Widok skrawka tkaniny sprawił, że serce i mózg niemal odmówiły mu posłuszeństwa. Świadomość, co oznacza kawałek jedwabiu, przypawiła go o bezgraniczną rozpacz. Miał wrażenie, że zapada się w najgorszy koszmar. Teraz wiedział, że zabójcą kapłana był Lamici, nadworny eunuch króla Brythunii.

— Jestem po trzykroć przeklętym głupcem! — powiedział Kailasz z bezgraniczną rozpaczą i zwiesił głowę. — Nie powinienem był mu zaufać!

— Komu? — zapytał po raz kolejny wytracony z równowagi Conan. — Mów, człowieku!

Kailasz opowiedział pokrótce Cymmerianinowi, kim był Lamici i jaką rolę odgrywał na królewskim dworze. Równocześnie obrzucał się najgorszymi wyzwiskami, jakie przychodziły mu do głowy. Conan tylko potrząsnął głową, nie mogąc pojąć, jak urodzony wojownik pokroju Kailasza wytrzymywał do tej pory życie w mieście, przepelnione podstępami i zdradą. Pałacowe intrygi w ciągu tygodnia doprowadziłyby Cymmerianina do szaleństwa.

— Musimy wytropić Lamicię! — burzył się czerwony z gniewu góral. — Nie spoczne, dopóki w jego piersi bije zdradzieckie serce, dopóki nie trafi do najgłębszej piekielnej otchłani! Conan czuł dokładnie to samo. Podstępni łotrowie w rodzaju Lamicięgo byli dlań czymś gorszym od żywiącego się łajnem robactwa.

— Pomścimy Madesususa, nie wolno nam jednak nie doceniać tego pałacowego łajna! Lamici jest przebiegły i ma dużo szczęścia. Myślałem, że nikt oprócz Eldrana nie wie, dokąd wyruszamy.

— Ja również — przyznał Kailasz, studząc swą wściekłość. — Nie wiemy tylko, jaką rolę odgrywa eunuch w całej tej sprawie. Czym jest sprzymierzeńcem: Valtreski, kapłanki czy ich obojga?

— Nieważne. Chociażby skrzyknął się z samym Setem, dopadnę łajdaka nawet w piekle i nadzieję go na miecz! Chodź, posłuchamy, czego dowiedział się Malgoresz i zajmiemy się koźmi!

17. SZLAK WĘŻA

Malgoreszowi udało się dowiedzieć od wieśniaków bardzo niewiele. Większość z tych, którzy nie siedzieli w oberży, spała w chatach.

Moore Sean U - Conan niezłomny

— Pewną starą kobietę obudził w nocy odgłos galopujących kopyt — powiedział nachmurzony oberżysta. — Nazywa się Syrnecea. To kapłanka Wikkany, mieszka samotnie w chacie na wschodnim skraju wsi.

— Musimy z nią porozmawiać — stwierdził Conan, krzywiąc się na dźwięk słowa „kapłanka”.

— Syrnecea jest ślepa. Na dodatek, gdyby jej umysł był zajazdem, znalazłyby się tam liczne pokoje do wynajęcia. Chyba rozumiecie, co mam na myśli? Niczego się od niej nie dowiecie.

— Mimo to zabierz nas do niej.

Domek staruszki był niewielki, lecz solidnie zbudowany. Wyglądał na o wiele starszy od chat, które widzieli po zachodniej stronie Innasfaln.

— Kapłanka zamieszkała tutaj, zanim jeszcze powstało Innasfaln — stwierdził Malgoresz, jak gdyby czytał w myślach wędrowców. — Niektórzy powiadają, że oglądała w życiu dwanaście Lat Lwa. Nie wiem, czy to prawda, lecz była położną przy narodzinach kilku ludzi ze starszyny wioski.

Stanął i wskazał wyłaniającą się z chaty przygarbioną starą kobietę.

Można było bez trudu uwierzyć, że staruszka ma ponad sto lat. Rozpuszczone, siwe włosy Syrncei sięgały niemal powykręcanych kolan. Jej twarz była pobrużdżona jak skóra wyprążonego przez słońce owocu. Usłyszawszy głosy, kobieta zwróciła się w ich stronę, lecz najwyraźniej nie była w stanie dojrzeć przybyszy.

Zamknięte powieki Syrncei przywodziły na myśl okiennice, zatrzaśnięte na głucho podczas burzy. Niska, chuda, przygięta do ziemi kapłanka przypominała Conanowi skrzywione od porywistych wiatrów węzłaste drzewo, pochylone, lecz nie złamane. Gdy znaleźli się kilka kroków od kapłanki, Cymmerianin przywitał ją uprzejmie:

— Jestem Conan. Pochodzę z pomocy, a oto Kailasz, Kezankiańczyk z...

— Imiona, imiona... Jestem za stara, by je zapamiętać. I tak niczego się z nich o was nie dowiem. Podejdźcie, abym mogła dotknąć waszych twarzy. Oblicze człowieka to zwierciadło jego duszy.

Conan i Kailasz popatrzyli na siebie z powątpiewaniem. Malgoresz skrzyżował ramiona na piersi i spojrzął w niebo. Postanowiwszy spełnić kaprys starej kobieciny, dwaj wojownicy podeszli wystarczająco blisko, by mogła ich dotknąć. Syrnecea była zbyt niska, by dosięgnąć twarzy Cymmerianina, który musiał przykłęknąć. Słumitł zniecierpliwienie, podczas gdy ona wodziła powykręcanyimi palcami po jego poznaczonym bliznami, kwadratowym obliczu.

Kapłanka Wikkany obmacała następnie twarz Kailasza. Zabrało jej to znacznie mniej czasu niż w przypadku Conana.

— Surowe oblicza. Oblicza wojowników — powiedziała, opuszczając dłonie. — Smutne, jak na tak młodych ludzi. Czego tak potężni wojowie szukają w naszej skromnej wiosce?

— Człowieka, o którym możesz coś wiedzieć — odparł Conan. — Ponoć słyszałaś ubiegłej nocy, jak jakiś koń przegalopował traktem na wschód?

— Owszem. To było coś złowieszczonego — powiedziała w zamyśleniu Syrnecea. — Zbudził mnie nie odgłos kopyt, lecz uczucie zła. Ten, kto dosiadał tego konia, jest posłańcem śmierci. Czułam jak jej lodowate palce zacisnęły się na moim sercu.

— Jesteś pewna, że jechał na wschód? — wtrącił się niecierpliwie Kailasz.

— Sam zaspokój swoją ciekawość — odparła zagadkowo. — Koń przejechał o kilka kroków od miejsca, w którym stoimy. Stratował mi ogródek.

Mężczyźni równocześnie popatrzyli we wskazane miejsce. Na ziemi widać było kilka odcisków zwróconych na wschód kopyt.

— Dzięki, Syrnceo! — powiedział z wdzięcznością Kailasz. — Ruszamy, Conanie.

Cymmerianin wygrzebał sztukę złota z sakwy i wcisnął ją w dłoń starej kobiecie.

— Sowita nagroda za tak skąpe wiadomości! — szczodrość Conana zaskoczyła Syrnceę. — Zaiste, niezwykły był przejazd owego jeźdźca, jakby mijało mnie wcielone zło. Czuję, że twój smutek się z nim wiąże. Kiedy się oddał, poczułam coś jeszcze: dotyk dobra i jasności, które ścigały tę piekielną istotę. Spotkałam się już z czymś podobnym, ale nie pamiętam, gdzie. Starość jest jak złodziej w nocy, skrada człowiekowi wspomnienia we śnie. Bądź gotów na jej spotkanie, kiedy przyjdzie po ciebie! — urwała na chwilę i odwróciła się plecami. — Znajdzie cię pewnego dnia, czy będziesz wojownikiem... czy królem.

Conan i Kailasz podziękowali jej ponownie, wzruszając ramionami. Zgadźli się z Malgoreszem co do stanu umysłu starej kobiety. Wkrótce pożegnali się z Turańczykiem, który uzupełnił ich zapasy na dalszą drogę tak, iż juki o mało nie popękały. Kailasz zaproponował szynkarzowi kilka sztuk złota za pomoc oraz poniesione szkody, lecz Malgoresz odmówił ich przyjęcia. Gospodarz zajazdu przyrzekł również zająć się ciałem Madesusa. Wyjeżdżając z Innasfaln, Conan i Kailasz niemal nie odzywali się do siebie. Byli pochłonięci wypatrywaniem

śladów ucieczki Lamicięgo i własnymi myślami.

Trop eunucha okazał się trudny do znalezienia. Chociaż obaj wojownicy byli doświadczonymi tropicielami, trzeba było ich połączonych wysiłków, by odnaleźć dowody, że Lamici przejeżdżał przed nimi kamienistym traktem. Często ślad ginął zupełnie i ścigającym przychodziło zaufać instyktowi i zbaczać ze szlaku, by znów odnaleźć znikome ślady podążającego przed nimi człowieka.

Trakt, którym wędrowali, nosił miano Szlaku Węża. Wąska i kręta droga wiała się między splekanymi szczytami pasma gór, stanowiącego południową i wschodnią granicę Brythunii. Na trakcie trzeba było pilnie strzec się przed rozbójnikami, zwłaszcza na jego wąskich odcinkach. W południe słońce zawisło wprost nad wędrowcami. Rozgrzało ich ciała, lecz nie serca.

Conan pierwszy przerwał panujące od kilku godzin milczenie:

— Dlaczego Lamici zmierza na południowy wschód, oddalając się od stolicy?

— Pewnie wie, gdzie jest kapłanka — odpowiedział natychmiast Kailasz, jak gdyby właśnie rozważał to pytanie. — Na pewno chce ostrzec ją przed nami. Może też chce wyprosić nagrodę za zabicie Madesusa. Nieważne; musimy go dopaść, nim do niej dotrze. Kapłanka nie może dowiedzieć się, że Madesus nie żyje. Strach pomyśleć, co zrobiłaby, wiedząc, że nieprzyjaciel z Zakonu Xuoquelosa nie stoi jej już na drodze.

— Złapiemy łotra — powiedział Conan stanowczo. — Żaden starzejący się, wychowany w mieście eunuch nie prześcignie Cymmerianina!

Barbarzyńca i Kezankiańczyk kilkakrotnie zatrzymywali się po to, by napić konie i dać im odpocząć. Blisko traktu było wiele górskich strumieni. Conan narzekał, że zatrzymują się za często, lecz Kailasz uparł się, że muszą oszczędzać konie przed czekającą ich jeszcze długą drogą. Kezankiańczyk miał nadzieję, że Lamici zajeździ swojego wierzchowca i będzie musiał dalej iść pieszo. Cymmerianin niechętnie przyznał mu rację.

Pogoda sprzyjała im do późnego popołudnia. Potem niebo zasnuło się posępnyimi chmurami, które odcięły blask i ciepło słońca. Wędrowcy znajdowali się już bardzo wysoko. Rosły tu jeszcze gęste kępy drzew, lecz grunt był bardziej skalisty. Minęło kilka godzin od chwili, gdy Conan i Kailasz po raz ostatni trafili na ślady Lamicięgo.

Kamieniste podłoże i gasnące światło dnia utrudniały wyszukiwanie tropu. Przy okazji Conan zrozumiał, dlaczego Brythuńcy nie obawiali się inwazji z Zamory. Jedyne armie górskich kozłów byłaby w stanie pokonać skalistą barierę Gór Karpasz. Konie wielokrotnie miały kłopoty z wynajdywaniem drogi. Wędrowcom przychodziło od czasu do czasu do czasu zsiadać i prowadzić wierzchowce przez wąskie skalne szczeliny i osypujące się podejścia. Posuwali się wolno. Gdy zapadał zmierzch, Kailasz ocenił, że pokonali zaledwie trzydzieści mil.

— Musimy zatrzymać się tu na noc — powiedział Kezankiańczyk, zsuwając się ze znużeniem z konia.

— Nie, jedźmy dalej — sprzeciwił się Conan. — Chmury rzedną. Księżyc da nam wystarczająco dużo światła, byśmy mogli wypatrzeć drogę przed sobą.

— Zgadza się, ale co będzie, jeżeli Lamici zboczy ze szlaku?

— Wątpię — Conan zmarszczył brwi. — Konno można pokonać góry jedynie tym traktem. Za wiele tu skał i strumieni. Dla naszych ziomków to żadna przeszkoda, ale wychowany na dworze eunuch na pewno nie zna się na wspinaczce. Powinniśmy jechać dalej, by się nam nie wymknął.

Kailasz westchnął i na chwilę zapatrzył się w niebo.

— Jedźmy — zgodził się, wsiadając z powrotem na konia.

W trakcie jazdy zjedli posiłek, czyniąc znikomy uszczerbek w zapasach, którymi obdarzył ich przewidujący Malgoresz. Conan znalazł w jednym ze swoich juków pełny bukłak z piwem. Odkorkował go i upił kilka łyków. Piwo było świeże i smaczne. Cymmerianin podał bukłak Kailaszowi. Góral pociągnął spory haust i głośno mlasnął.

— Gdy to wszystko się skończy, musimy wrócić do Innasfaln i spłacić dług Malgoreszowi. Zaręczam ci, że szynkarz opowiada jeszcze lepiej niż warzy piwo.

Conan przytaknął.

— Nie znałem żadnego Turańczyka, który służyłby w brythuńskiej armii — stwierdził. — Skąd on właściwie pochodzi?

— I stąd, i stąd — odparł Kailasz, upijając kolejny haust piwa. — Przeważa w nim turańska krew. Jego babka była Brythunką porwaną przez Nemediańczyków. Dziadek Malgoresza wyzwolił ją. Sam Malgoresz wychował się w Sultanapurze, nad Morzem Vilayet. Kiedy był jeszcze chłopcem, opuścili Turan i ruszyli na wschód do Zamory. We wsi na północ od Yezud wciąż żyje większość jego rodziny. Być może znajdziemy się w tych stronach.

— W Zamorze? — zapytał z zaciekawieniem Conan. — Byłeś tam kiedyś?

— Wiele lat temu — odparł Kailasz. — Malgoresz i ja przeprawiliśmy się przez te góry, by

złożyć wizytę jego rodzinie. Wędrowaliśmy innym szlakiem, na południe stąd. Ominęliśmy jednak Yezud, miasto szaleńców, wyznających pajęczego boga Zatha. Nikt zdrowy na umyśle nie zadaje się z tymi opętańcami.

— Kiedy znalazłem się w Pirogii, zmierzałem właśnie do Zamory. Nasłuchałem się licznych opowieści o Shadizar, Arenjun i bogactwach, które można tam znaleźć. O Yezud doszły mnie tylko plotki i legendy.

— Nawet najgorsze z nich są prawdziwe — burknął Kailasz. — Wizyta w tym mieście niejednemu już skróciła życie. Lepiej żeby nie przyszło nam znaleźć się w tamtych okolicach.

— Szlak prowadzi bardziej na wschód, zataczając niewielki łuk na południe — zauważył Conan. — Jeżeli nie zboczmy na południe, niedługo znajdziemy się w Górach Kezankiańskich.

— Tak, i to niedaleko moich rodzinnych stron. Ale tamtejsza droga nie jest łatwiejsza niż tutaj. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio odwiedziłem ojczyste okolice — zamyślony Kailasz zamilkł na chwilę, po czym zmienił temat: — Czego szukasz w Zamorze? Jesteś wojownikiem, nie złodziejem.

— W ciągu jednej nocy można ukraść tyle, ile najemnik zyskuje po roku służby — odrzekł bez żenady Cymmerianin. — Poza tym, sam widziałeś, jakich kłopotów narobiłem sobie w Pirogii. Zamora to kraj bez praw, gdzie nikogo nie obchodzi pochodzenie przybyszów. Dla mnie obyczaje i kodeksy cywilizowanych królestw to czarna magia. W Zamorze każdy, kto potrafi rąbać mieczem, sam sobie stanowi prawo.

— Nawet lew może zginać w kłębowisku węży — Kailasz potrząsnął głową. — Jeżeli znajdziesz się w Zamorze, uważaj na własne plecy, inaczej znajdzie się w nich mnóstwo noży.

— Nie dadzą rady Cymmerianinowi — stwierdził z przekonaniem Conan.

— Dlaczego nie miałbyś wrócić ze mną do Pirogii? — zaproponował Kailasz. — Potrzebny nam nowy kapitan. Żołd jest lepszy, niż sobie wyobrażasz — wskazał sakiewkę przywiązaną do pasa Conana. — Sam widziałeś, jak szczodry potrafi być Eldran, a kobiety...

— Nie — Conan potrząsnął głową. — W Zamorze też jest mnóstwo kobiet. Gdybym utknął w Pirogii, mając za zadanie codziennie rozwalić parę pijackich łbów i wrzeszczeć na tępych wartowników, szybko straciłbym cierpliwość do takiej zabawy. Dziesięciolecie z mojego klanu ma więcej doświadczenia w walce niż wasi strażnicy.

Kailasz miał już zaprotestować, lecz uświadomił sobie, że sam ma niewiele lepszą opinię o straży miejskiej Pirogii. Rezygnując z dalszej rozmowy, spojrzął w dół. To, co ujrział, sprawiło, że aż podskoczył w siodle.

— Patrz! — zawołał.

Conan ściągnął wodze. Na drodze tuż obok kopyt wierzchowca Kailasza leżały świeże końskie odchody.

— Ślad Lamiciego? — zapytał z nadzieją Kezankiańczyk.

— Albo przypadkowego wędrowca — stwierdził bez przekonania Conan.

Jednak zmusili konie do szybkiego kłusu. Starali się nie przegapić niczego, co można było dostrzec w świetle księżyca, a jednocześnie zachowywali jak największą ostrożność. Gdy chmury zniknęły do reszty, na niebie pojawiło się kilka najjaśniejszych gwiazd.

Przez kilka godzin Conan i Kailasz zmuszali swe konie do największego wysiłku. Nie natrafili na dalsze ślady Lamiciego, lecz mimo to nieustępliwie kontynuowali pościg. W końcu uznali, że powinni przespać się kilka godzin, by dać koniom wytchnienie. Położyli się na rozłożonych na ziemi jeździeckich derkach i chwilę później już spali.

Lamici był bliżej, niż podejrzewali. Na wpół oślepiony przez amulet kapłana Mitry, eunuch wpadł w panikę i uciekł z wioski najszybciej, jak mógł.

Dręczyła go niepewność, czy Conan będzie go ścigał. Gdyby nie został oślepiony, przycisnąłby się przy drzwiach i zaczekał na wyjście zniechęconego barbarzyńcy, by zatopić w jego plecach ostrze sztyletu.

Wzrok Lamiciego wracał jednak zbyt wolno. Wydostawszy się po omacku z zajazdu, odszukał w ciemności drzewo, do którego przywiązał swojego konia. Nim go odnalazł, jego nerwy wygrywały melodię niczym nie krępowanego przerażenia. Nie mógł otrząsnąć się ze strachu, że spragniony jego krwi Cymmerianin jest tuż za jego plecami. Eunuch gorączkowo wdrapał się na koński grzbiet i wbił pięty w boki wierzchowca, by zmusić go do galopu. Przez kilka godzin jechał bez celu, zanim zdał sobie sprawę, że kieruje się na wschód. Rano wrócił mu wzrok, lecz nie odwaga. Zawrócenie wiązało się z ryzykiem, że wpadnie wprost na Conana i jego sprzymierzeńca.

Z drugiej strony Lamici doszedł do wniosku, że być może dalsza jazda na wschód pozwoli mu znaleźć bezpieczne schronienie. Postanowił ukryć się i odczekać, aż barbarzyńca go minie.

Zadowolony ze swojego planu zabójca dalej jechał na wschód. Wkrótce jednak odkrył, że

popęłnił błąd. Przy trakcie nie można było się ukryć! Droga była szczelnie obramowana z obu stron niemal pionowymi skałami i gęstymi kępami kosodrzewiny. Eunuchowi brakowało sił, by je pokonać. Nie zrezygnował wszakże z nadziei, że uda się mu znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę. Lamici jechał wolniej niż Kailasz i Conan, miał bowiem o wiele mniej doświadczenia w wędrówce górkimi traktami. Udało się mu jednak utrzymać z dala od prześladowców, ponieważ w odróżnieniu od nich nie zatrzymywał się na postoje. Z zadowoleniem stwierdził, że na kamienistej drodze pozostawało niewiele śladów jego ucieczki. Odzyskawszy jasność myślenia, starannie omijał wszelkie miejsca, w których mogły pozostać wyraźne odciski kopyt. Lamici legł do snu niecałe trzy mile od Conana i Kailasza. W odróżnieniu od jego prześladowców, eunucha dręczył koszmar. Śniło się mu, że jest malutką myszką na środku wielkiego, odkrytego pola. Pole ciągnęło się we wszystkie strony daleko, jak okiem sięgnąć, nie dając najmniejszej możliwości ukrycia się.

We śnie też był ścigany. Ponieważ była noc, nie mógł dostrzec, kto jest jego prześladowcą. Wiedział jednak, że polująca na niego istota unosi się w powietrzu. Słyszał w oddali łopot skrzydeł i przenikliwe krzyki niesamowitego łowcy. Zamarł z przerażenia i podniósł wzrok, usiłując zorientować się, kim lub czym jest jego prześladowca. Ujrzał jedynie zbliżające się ku niemu gigantyczne, ciemnoczerwone oko z czarną, szczelinowatą źrenicą. Niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, czekał na nieuchronną zagładę. Poczł, jak ostre pazury i spiczaste zęby zatapiają się w jego ciało i draż je na strzępy.

Obudził się z krzykiem. Podniósł wzrok, tak samo jak we śnie, lecz zamiast krwawego oka ujrzał tylko białą jak nagie kości, obojętną tarczę księżycą. Zadygotał i westchnął z ulgą. Rozejrzał się. Jedyłą żywą istotą w polu widzenia był jego przywiązany do drzewa koń. Eunuch miał już ułożyć się z powrotem do snu, gdy kątem oka dostrzegł osobliwy, błękitny blask. Lazurowa poświata dobywała się ze złożonej na ziemi skórzanej torby. Eunuch zajrzał do środka. Amulet kapłana Mitry mżył słabym blaskiem. Lamici zmarszczył brwi, wyszukał kawałek ciemnej tkaniny, kilkakrotnie owinął nim talizman i schował go na dno torby. W chwili, gdy ją zawiązywał, usłyszał za sobą znajomy, pobrzmiwający niesamowitym echem kobiecy głos:

— Dobry wieczór, Lamici.

Eunuch obrócił się na pięcie.

— Azora! — wykrzyknął wstrząśnięty. — Ty tutaj? Jak...

— Nieważne, jak. Słuchaj mnie uważnie i zrób, co ci każę.

Stojąca na wprost Lamiciego kapłanka w czarnej opończy była ledwo widoczna w nocnym mroku. Długie rękawy płaszcza skrywały dłonie, a jego poły ciągnęły się po ziemi. Pod kapturem widać było tylko ciemnoczerwone oczy.

— Oczywiście, pani. Jestem na twoje usługi, jak zawsze. Błagam jednak, racz odpowiedzieć na jedno pytanie. Dlaczego Eldran jeszcze żyje?

— Siły, które go chronią, mają wielką moc. Kapłan imieniem Madesus nosi talizman, który udaremnia moje czary.

— Już nie, pani. Zeszłej nocy zabiłem go zatrutym sztyletem!

— Naprawdę? — Azora utkwiała w nim świdrujące spojrzenie, jakby chciała dosięgnąć jego umysłu, by przekonać się, czy mówi prawdę. Po chwili na jej ustach pojawił się triumfalny uśmiech. Zaśmiała się tak okrutnie, że Lamiciemu ciarki przeszły po plecach. — Doskonale, eunuchu! W takim razie zostało ci tylko jedno zadanie. Przywieź mi talizman Madesusa. Ma on pradawną, śmiertcioną moc. Jeżeli znajdzie się w moich rękach, nikt, nawet przekłeci kapłani Mitry nie zdołają mi się oprzeć!

— Mam go przy sobie, pani — Lamici uśmiechnął się gorliwie. — Zabrałem go z martwej dłoni Madesusa.

Szybko wyciągnął zawinięty w płótno amulet.

— Zaczekaj! — Azora cofnęła się o krok. — Jeszcze nie mogę na niego patrzeć. Moc talizmanu działa nawet wtedy, gdy nie jest noszony przez kapłana. Musisz ruszyć dalej tym traktem i dotrzeć na południe aż do wschodnich stoków Gór Kezankiańskich. Strzeż amuletu i przywieź go do mej twierdzy na Shan-e-Sorkh. — Na twarzy Lamiciego odmalowało się zdumienie. — Nie jestem tutaj w cielesnej postaci, głupcze! — wyjaśniła niecierpliwie Azora. Gdy wyciągnęła przed siebie rękę, jej dłoń o czarnych paznokciach przeszła przez eunucha na wylot. — Widzisz tylko moje lustrzane odbicie. Mam tak wielką moc, że mogę rzucić je wiele mil od siebie!

Lamici przez chwilę starał się to pojąć, po czym zapytał:

— Jak mam znaleźć twoją twierdzę, pani? Nigdy nie byłem tak daleko na południu.

— Wyślę znów swoje odbicie, kiedy skierujesz się na zachód. Nie zwlekaj z dostarczeniem mi talizmanu. Kiedy go zniszczę, Eldran umrze. Tym razem nic nie zapobiegnie jego śmierci!

— Jest jeszcze jedna trudność, pani. Conan i Kailasz wciąż żyją. Wymknęli się z pułapki w świątyni. Ścigają mnie od pewnego czasu.

Dłonie Azory zacisnęły się w pięści. Przy lepszym oświetleniu eunuch dostrzegłby lęk na jej twarzy.

— Nie możesz dopuścić, by cię dopadli. Dopóki nie znajdziesz się w pobliżu twierdzy, nie będę ci mogła pomóc. Jedź jak najszybciej. Dzielą nas ciągle setki mil, więc nie wolno ci zwlekać. I pamiętaj, trzymaj talizman w ukryciu!

Obraz Azory rozplynął się, gdy księżyc zasnuła cienka warstwa obłoków przesuwających się po nocnym niebie. Lamici przetarł oczy, ziewnął i zebrał swój ekwipunek. Postanowił dotrzeć do kapłanki i z jej pomocą wcielić w życie swoje marzenia. Zamierzał bez względu na koszty trzymać się z dala od swoich prześladowców i ściągnąć na nich zagładę. Ze śmiechem ruszył galopem na wschód, zostawiając dwóch śpiących wojowników wiele mil za sobą.

18. PRZEBUDZENIE PO WIELKIM ŚNIE

Azora unosiła się nad posadzką biblioteki Skauraula. Powoli opuściła się na dół i usiadła nieruchomo, przypominając bardziej rzeźbę niż żywą istotę.

Lewitowała przez kilka godzin, poszukując w obszarze astralnym śladu amuletu Madesusa. Jej porzucone w materialnym świecie ciało nie oddychało, karmazynowe oczy nie mrugnęły ani razu. Pozbawiona śladu inteligencji doczesna powłoka służyła jedynie jako kotwica dla niematerialnej liny wiążącej umysł kapłanki z tym światem. Znalazszy to, czego poszukiwała, Azora wróciła do ciała.

Sposobu podróżowania po zaświatach nauczyła się ze zgromadzonych w bibliotece Skauraula tomów wiedzy tajemnej. Setki zgromadzonych w fortecy ksiąg zawierały dawno zapomniane sekrety mrocznych, czarnoksięskich sztuk. Już pierwszy rzut oka na bibliotekę wystarczył, by natchnąć Azorę podziwem. Była to największa z kiedykolwiek widzianych przez nią skarbnica wiedzy tajemnej. Dowiedziała się od Xima, że w twierdzy Skauraula kryją się nieprzeliczone materialne bogactwa, te jednak jej nie interesowały. Zawartość biblioteki była o wiele ważniejsza od wszystkich ukrytych w fortecy pereł, klejnotów i złota.

Xim nie chciał towarzyszyć Azorze w skarbnicy mądrości. Nie przejęła się jego odmową, palając ochotą przejrzania zgromadzonych w niej ksiąg. Kazała mu czekać w sąsiedniej komnacie, wodząc niecierpliwym wzrokiem po półkach pełnych starożytnych ksiąg i równo poukładanych rzędach zwojów. Sklepienie olbrzymiej biblioteki znajdowało się na wysokości czterech dorosłych ludzi. Całą przestrzeń przy ścianach zajmowały liczne szafki i stojaki. Była to kolekcja większa, niż tuzin księgozbiorów z najświetniejszych pustelni Stygii razem wziętych. Azora zaczęła studiowanie ksiąg od rękopisu samego Skauraula. Wielkie tomszcze spoczywało na stole, zbudowanego w całości z ludzkich kości. Okładki księgi wykonano z miedzianych arkuszy, pozieleniałych pod wpływem czasu. Grube karty o złoconych brzegach były pożółkłe, lecz zniosły upływ czasu na tyle dobrze, że nie rozsypywały się przy dotknięciu. Dwie trzecie kart księgi było gęsto zapisane pajęczym pismem Skauraula. Każdą stronę wypełniały tysiące słów, lecz w odróżnieniu od innych tego rodzaju tomów, brak było tutaj rysunków i diagramów. Karty księgi wydziały niesamowity blask, mętny, lecz wystarczający, by odczytać pismo nawet w całkowitych ciemnościach. Azorę zastanowił fakt, że końcowa trzecia część manuskryptu jest pusta.

Kapłanka przejrzała kilka ostatnich zapisanych stron i stwierdziła z zawodem, że Skauraul prowadził pamiętnik w nieznanym jej języku. Przewracając karty do początku, natrafiła w końcu na część, którą mogła odczytać.

Przez wiele godzin pilnie studiowała zapiski Skauraula. Potem nasyciwszy na jakiś czas głód wiedzy, postanowiła wypróbować kilka czarów z opisanych w olbrzymiej księdze.

Najbardziej intrygującym z nich było opisanie sposobu podróży astralnej. W tym niematerialnym obszarze rzeczywiste odległości były całkowicie pozbawione znaczenia. Można tu było w mgnieniu oka przemierzyć tysiące mil. Azora starannie wypowiedziała zaklęcia, pozwalające jej duszy uwolnić się od ciała. Z początku czar nie zadziałał, lecz po kilku próbach kapłanka rozpoczęła przypominającą sen podróż do niematerialnego, eterycznego świata. Skauraul napisał, że znalezienie się w świecie astralnym pozwala niepostrzeżenie obserwować wydarzenia w świecie materialnym. Azora postanowiła sprawdzić, co stało się ze znieawidzonym Madesusem i towarzyszącymi mu dwoma wojownikami. Nie zobaczywszy w świątyni Targola skrwawionych, porąbanych ciał, poczuła srogi zawód. Wytrącona z równowagi, postanowiła odnaleźć Balberothę, by dowiedzieć się od niego, co się stało z intruzami. Gdy wyteżyła wolę, by go odszukać, jej dusza została porwana w przerażającą podróż przez mroczne, pełne chaosu warstwy niematerialnego świata.

Bezkształtny duch Balberotha został uwięziony w zakątku piekieł, przeznaczonym dla demonów, którym zakazano wstępu do świata żywych. Azora wiedziała z lektury tajemnych ksiąg o istnieniu tej otchłani, lecz opisy nie oddawały w pełni jej natury. Zamknięty piekielny rewir pełen był potępionych duchów, skazanych na wicie się w bezsilnej furii przez całą wieczność. Panował w nim bezgraniczny, paraliżujący zmysły chaos. Przerażona Azora nakazała swej duszy natychmiastowy powrót do biblioteki.

Dlaczego Balberoth ją zawiódł? Kapłan Mitry nie miał dostatecznej mocy, by przeciwstawić się demonowi Pierwotnej Nocy — istocie dorównującej potęgą pomniejszym bogom.

Wstrząśnięta Azora postanowiła znaleźć odpowiedź na to pytanie. Doszła do wniosku, że musiało to być dzieło samego Mitry, ponieważ tylko bogowie byli władni zamknąć pradawne demony w tej piekielnej otchłani. Jeśli Pan Światła wspierał Madesusa, znaczyło to, że kapłan jest groźniejszy, niż podejrzewała. Postanowiwszy odnaleźć wyznawcę wrogiego boga, ponownie weszła w zaświaty.

Zamiast na Madesusa, natrafiła na Lamiciego. Szalony eunuch spał na poboczu traktu przecinającego Górę Karpasz. Azora nie miała pojęcia, dlaczego jej dusza natknęła się na Lamiciego, lecz postanowiła wniknąć do jego śpiącego umysłu i zbudzić go, a potem wypytać o ostatnie wydarzenia. To, czego się dowiedziała, ucieszyło ją i równocześnie wytrąciło z równowagi. Była zadowolona, że Lamici pozbył się kapłana i dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu wykraść również amulet.

Kapłanka nie wiedziała dokładnie, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim talizman, lecz czuła, że stanowi on dla niej największe zagrożenie. Była to ostatnia magiczna pozostałość po Xuoquelosie, jednym z najbardziej zagorzałych wrogów Mutare. Była pewna, że to właśnie dzięki temu amuletowi rzucony na Eldrana śmiertcionośny czar nie okazał się nieskuteczny. Azora zastanowiła się, co robi, gdy Lamici dostarczy jej talizman. Nie odważyłaby się go dotknąć ani nawet na niego spojrzeć, lecz wiedziała, jak go unieszkodliwić. Amulet tracił moc po zanurzeniu go w krwi człowieka pozbawionego duszy. Eunuch doskonale nadawał się do tego celu. Azora zaczęła odbierać mu duszę, gdy tylko go spotkała. Ponieważ brak duszy oznaczał również brak lęku, na razie pozostawiła Lamiciemu jej resztkę.

Dzięki temu miała pewność, że eunucha przywiedzie do niej strach przed tropiącymi go prześladowcami. Nie było jednak dobrze, iż dwaj wojownicy pozostali przy życiu. Po dopadnięciu Lamiciego mogli użyć amuletu przeciwko Azorze lub przekazać go komuś potrafiącemu wyzwolić pełnię jego mocy. Dopóki Lamici trzymał się z dala od Conana i Kezankiańczyka, kapłance nic nie groziło. Z tak dużej odległości nie mogła zaszkodzić swym przeciwnikom, lecz wkrótce powinni znaleźć się w zasięgu jej czarów. Była przekonana, że po śmierci Madesusa pokona ich z łatwością. Tacy jak oni nie mogli zaszkodzić istocie, której nie imać się zwykła stał. Azora zamierzała odebrać im siły, poddać okrutnym męczarniom, a nasyciwszy się ich cierpieniami rzucić na pożarcie pająkom z przedśionka. Postanowiła oswoić dzieci Zatha, by wypełniały jej wolę, lecz nie ufała Ximowi. Jego również zamierzała się pozbyć, lecz na razie stanowił on najmniejszą z jej trosk. Czas grał na jej korzyść. Obliczyła, że Lamici i jego prześladowcy dotrą do skraju Shan—e—Sorkh najwcześniej za tydzień. Zamierzała wykorzystać ten okres na pilne studiowanie magicznych zapisków Skauraula. Jej głównym celem było dotarcie do najważniejszej tajemnicy Mutare: nieśmiertelności. Ze wszystkich magów poszukujących tej bezcennej wiedzy, jedynie Skauraulowi udało się przeniknąć ów sekret. Przekazy dziejopisów stwierdzały, że pan tej twierdzy został pokonany niedługo przed tym, nim zdążył dopełnić rytuały niezbędne do osiągnięcia wiecznego życia. Azora była przeświadczona, że nie spotka ją podobny los. Nikt z żywych nie mógł stanąć jej na drodze.

Powróciwszy do kościanego stołu i spoczywającej na nim straszliwej księgi, Azora zagłębiła się w lekturę tak gorliwie, aż zapadła w trans. Gdzieś między pokrytymi miedzią okładkami znajdował się klucz do wiecznego życia. Zamierzała spocząć dopiero wtedy, gdy go odnajdzie.

Xim przycupnął nad drzwiami biblioteki. Skar, jego dawny pan, przepowiedział, że pewnego dnia pojawi się kobieta taka jak ta.

Będzie miała oczy takie same jak ja, rzekł. Pokażesz jej tajemne przejście, pozwalające ominąć rzeźby nad drzwiami, i zabierzesz ją na górę, do Thalamus Arcanus. Nie wolno ci wejść tam za nią! Ukryj się w niszy nad drzwiami i czekaj na mój powrót. Obdarzam cię darem mowy, byś mógł wskazać jej drogę w dniu, w którym się pojawi.

Po tych słowach Skauraul dotknął Xima długim palcem o czarnym paznokciu, zmieniając ciało i umysł pająka tak, by był on zdolny mówić.

Późnym popołudniem tego samego dnia pod bramą twierdzy pojawił się siwowłosy mężczyzna, wykrzykujący imię jego pana. Człowiek ten miał ze sobą srebrny szpikulec. Xim wciąż pamiętał, co powiedział jego pan, otwierając drzwi i wychodząc na zewnątrz, by stawić

czoło przybyszowi:

Głupiec, myśli, że mogę zostać zabity, mówił Skauraul. Nie wie, jak głęboko sięgnęły moje korzenie. Nawet jeżeli jego plan powiedzie się, nie zdoła zniszczyć mnie do reszty. Za kilka stuleci, kiedy z niego zostanie pył w jakiejś zapomnianej krypcie, ja powrócę, by znów gnębić ten świat.

Dawny pan nakazał Ximowi czekać w przedsionku twierdzy na przybycie kobiety i ruszył, by zmierzyć się z siwowłosym przybyszem.

Xim przyglądał się ich krótkiej i strasznej walce. W końcu starzec wbił srebrny kolec w ciało Skauraula, które w jednej chwili obróciło się w pył, natychmiast rozwiany przez pustynny wiatr. Wkrótce wichur przybrał na sile, przechodząc w wyjący potępieńczo huragan. Mieciony przenień piach zmusił przybysza do odwrotu spod twierdzy i zatrzasnął ciężkie kamienne drzwi, przez które wyglądał Xim. Przez wiele miesięcy wokół fortecy szalała burza piaskowa, uniemożliwiając dostęp ciekawskim i rabusiom. Zanim ustała, wyprężone wydmy pokryły doszczętnie twierdzę, skrywając wszelkie ślady jej istnienia.

Nieśmiertelny, nie odczuwający potrzeby snu Xim przez wieki wyczekiwał cierpliwie na zapowiedziane przybycie kobiety, warując wiernie na progu fortecy. Powoli wiatr z powrotem rozwiął skrywający twierdzę całun żółtawych diun. Do tego czasu pamięć o jej istnieniu uchowała się tylko w postaci wzmianek na nielicznych pokrytych kurzem zwojach. Ponieważ nikt z żywych nie mógł poszczycić się tym, że widział fortecę Skauraula, uznano, iż jest to tylko legenda.

Podczas gdy Azora w zapamiętaniu studiowała manuskrypt gospodarza, a Xim spokojnie czekał nad drzwiami, piach na wprost bramy twierdzy zaczął wirować. Tym razem nie było wiatru, który mógłby wprawić go w ruch. Niezliczone drobinki unosiły się w powietrzu jak roje owadów, zmierzające ze wszystkich stron do określonego miejsca. Część ziarenek tuż po wzniesieniu się nad ziemię spadała na nią ponownie.

Mijały godziny. Słońce wspięło się po bezchmurnym nieboskłonie i zsunęło za widnokrąg na zachodzie. Z każdą godziną coraz więcej było wirujących ziarenek piasku, aż kilkadziesiąt kroków od kamiennych drzwi twierdzy utworzył się niewielki wir. Drobina po drobnie powiększał swoje rozmiary. Późnym popołudniem następnego dnia był już wyższy od dorosłego człowieka. Wiedziony własną wolą lej ruszył wreszcie w stronę twierdzy, zataczając kręgi na piasku.

Dotarłszy do drzwi, zatrzymał się i rozciągnął, zmieniając kształt. Począwszy od stóp, w jego wnętrzu zaczęła formować się naga ludzka postać, jak gdyby nalewana z niewidzialnego dzbanu. Ziarenka piasku stopniowo połączyły się ze sobą i wirujący lej niknął, a przed wejściem do swego domu stanął odrodzony najpotężniejszy w historii członek rasy Mutare. Głęboki, grzmiący śmiech Skauraula przetoczył się po pustkowiu. Wyciągnąwszy przed siebie dłoń, otworzył masywne kamienne drzwi z taką łatwością, jak gdyby odgarniał pajęczynę.

Skauraul przemierzył przedsionek kilkoma wielkimi krokami. Jego wspaniale umięśnione ciało miało doskonałe proporcje. Jedyne bystre oko mogło wypatrzeć pod nieskazitelnie gładką skórą ślady ran na piersi i środku pleców, gdzie przed wiekami przebił ją srebrny kolec. Pan twierdzy, tak jak Azora, miał czarne paznokcie i zęby, lecz jego wargi były białe. Był całkowicie bezwłosy, pozbawiony nawet rzęs i powiek. Teraz powiódł po przedsionku nieprzeniknionym spojrzeniem czarnych jak węgiel oczu, sprawiających wrażenie litych kul. Gdy dotarł do pozornej ściany, zagradzającej drogę w głąb twierdzy, powlekające ją pajęczyny rozstały się samoistnie. Skauraul z zadowoleniem stwierdził, że kamienne straszdyła nadal pełniły straż nad drzwiami stanowiącymi pułapkę. Przeszedł przez fałszywy mur i znalazł się w korytarzu prowadzącym na wieżę.

W komnacie na górze Azora osunęła się głębiej w fotel i podniosła wzrok znad rozłożonej przed nią książki. Kilkadziesiąt godzin spędzonych na lekturze sprawiło, że była wyczerpana bardziej, niż po rytuale przeniesienia do pustynnej twierdzy. Aż do tej chwili zgłębiała karty książki z niezwykłą zachłannością, lecz nagle uczuła wielkie znużenie. Poznała tajniki niewiarygodnych mocy i mroczne, magiczne sekrety. Znaczna część książki poświęcona była krańcowo okrutnym metodom tortur, mającym na celu wywołanie u ofiar bezgranicznego strachu i cierpienia.

Kapłanka marzyła o użyciu świeżo zdobytej wiedzy. Postanowiła wkrótce wysłać swą duszę w sferę astralną, by dowiedzieć się, jak sobie radzi Lamici. Przedtem jednak musiała odzyskać magiczne siły, w tej chwili wyjątkowo nadwątlone.

Wydobyła spod opończy niewielką czarękę z cienko wykutej blachy oraz szkatułkę wielkości dłoni, wyrzeźbioną z mięsożernego drzewa kalamtu. Odsunąwszy pokrywkę tej ostatniej, wyjęła ze środka zasuszony i sprasowany kwiat czarnego lotosu. Umieściła go w czarce i wyrzekła jedno słowo:

— Atmak.

Na paznokciu Azory rozgorzał mały, niebieski płomyk. Podpaliła nim kwiat lotosu. Komnatę poczęła wypełniać kwaśna, przygnębiająca woń. Postawiwszy czarkę przed sobą, kapłanka głęboko wciągnęła dym w płuca. Po chwili pogrążyła się we śnie.

Daleko w dole Skauraul stanął u podstawy prowadzących na wieżę schodów. Zdażył już nałożyć obcisłe spodnie i pozbawioną rękawów kamizelkę ozdobioną pękami ludzkich włosów. Był boso, a jedyną jego ozdobą był pierścień z czarnym kamieniem na małym palcu lewej dłoni. Skauraul zaczął wspinaczkę po wysokich schodach. Ciszę przerywał jedynie płask stóp o kamienne stopnie.

Twierdza zachowała się w dokładnie takim stanie, w jakim zapamiętał ją władca Mutare.

Rabusie nie zdołali zbeczczyć siedziby Skauraula, mimo iż minęło tak wiele stuleci.

Pogrzebana pod piaskami, oczekiwała na jego powrót.

Skauraul przewidział swoją porażkę wiele wieków temu, zanim to nastąpiło. Przecucie śmierci dręczyło go, doprowadzając do szaleństwa. W powracającym śnie siwowłosa mężczyzna wciąż nabijał go na srebrny kołek. Zyskawszy przeważającą potęgę, Skauraul wykorzystywał ją do wyszukiwania i mordowania tych, którzy byli podobni do człowieka ze snu.

Po pewnym czasie wszyscy mężczyźni wyglądali dla pana Mutare jak postać z jego koszmaru. Dlatego tysiące ludzi zginęło wbitych na pal przed jego pałacem, a piaski spłynęły ich czerwoną krwią. Mimo to dręcząca wizja nadal nawiedzała Skauraula. Zdawało się, że sami bogowie postanowili doprowadzić do jego zguby. Być może wystąpili przeciwko niemu wiedzeni zazdrością i obawą, że potęga władcy Mutare okaże się większa od ich możliwości.

Bogowie nie docenili go. Przetrwał i nabrał większej mocy.

Za życia, w przerwach między rzeziami Skauraul oddawał się studiom nad ezoterycznym „Kodeksem Thuriańskim”. Dzięki niemu zdołał poznać sposób na pokonanie śmierci. Wymagało to jednak pomocy drugiego członka rasy Mutare, znającego tajniki nekromancji. Tylko ktoś taki mógł rzucić zaklęcie przywracające go do życia. Co więcej, ten ktoś nie mógł nic wiedzieć o zamiarach Skauraula.

By osiągnąć swój cel, Skauraul zawarł układ z czcigodnym bogiem–wężem, Setem. Ofiarę dla stygijskiego bóstwa stanowiło dziesięć tysięcy ludzi wbitych na pale przed twierdzą władcy Mutare. W zamian Set miał spełnić prośbę Skauraula.

Wieki później, na południowym brzegu rzeki Bakhr, przy rozlewiskach Purpurowego Lotosu w Stygii, Set objawił się we śnie jednemu ze swoich kapłanów i oznajmił mu, że w pobliskiej wiosce narodzi się wyjątkowe dziecko. Powierzył mu też inny sekret — opis rytuału, odrażającego nawet dla zdeprawowanego wyznawcy węzowego boga.

Kapłan posłusznie porwał z wioski wskazaną we śnie dziewczynkę i wychował ją w swojej bagiennej pustelni. Czternaście lat później w przeddzień urodzin porwanej dziewczyny — w Roku Pająka i Miesiącu Skorpiona — kapłan odprawił opisany mu przez Seta rytuał, po czym spełniwszy swą rolę wypił śmiertelną ilość soku wyciśniętego z kwiecica purpurowego lotosu. Skauraul nie wiedział, co robiła i gdzie podziewała się owa kobieta w latach poprzedzających przybycie do jego fortecy. To go nie obchodziło. Ważne było, iż Set dotrzymał swojej części umowy, a kapłanka nieświadomie rzuciła czar, zapisany przez władcę Mutare w swoim pamiętniku.

Skauraul zamierzał użyć tę kobietę do własnych celów, o ile pierwsza od stuleci Mutare nie zginie przy rzucaniu czaru nieśmiertelności. Chociaż nie miała o tym pojęcia, dawny pan twierdzy miał nad nią absolutną władzę. Planował, że kapłanka zostanie matką niezliczonych dzieci ich rasy. Znał zaklęcia pozwalające przyspieszyć rozwój potomstwa z jego nasienia. Dzięki nim kolejne dzieci przychodziłyby na świat podczas każdej pełni księżyca. Gdy dorosną zamierzał rozesać je do wszystkich znanych krain, by były dla ludzkiego robactwa, szpecącego oblicze Ziemi, zwiastunami chaosu i zniszczenia. Nie martwił się tym, iż moc kapłanki będzie zmniejszać się podczas każdego okresu brzemienności. Słabość uniemożliwi jej wystąpienie przeciw swemu panu.

W czarnych oczach Skauraula pnącego się po schodach na spotkanie oblubienicy malowało się oczekiwanie i złowróżbna nadzieja.

19. WIELKI BIEG

Niemilosierne palące słońce wisało nad wschodnioshemicką pustynią na bezchmurnym, lazurowym niebie. Conan osłonił oczy zbrązowiałą dłonią i uważnie przyjrzał się horyzontowi. Mrugnął kilkakrotnie, by upewnić się, że to, co ujrzał, nie było pustynnym mirażem. Szara plamka, która majaczyła na skraju pola widzenia była jednak rzeczywistością.

— Widzę go, jest pół mili stąd — powiedział chrapliwie do Kailasza.

— Musiał zatrzymać się zeszłej nocy, by odpocząć — wymamrotał Kezankiańczyk.

Głos górala brzmiał tak, jakby usta miał pełne piasku.

— Dzisiaj go dopadniemy, na Crom! — odparł z determinacją Conan. — Ścigamy łotra od siedmiu dni, a on wciąż jest przed nami!

— Ośmiu — poprawił go Kailasz.

Kezankiańczyk starannie liczył dni mijające od opuszczenia Innasfaln. Pierwsze minęły bez znaczących wydarzeń, lecz piątego napadła ich banda zuagirskich rozbójników. Dwaj wojownicy rozbili obóz u południowo-wschodnich podnóży Gór Kezankiańskich, na południe od Szlaku Królów. Conan przebudził się na czas, by dojrzeć kilka sylwetek skradających się pod osłoną ciemności.

W walce, która się wywiązała, zabili kilku koczowników, lecz pozostali uciekli wraz z końmi wędrowców. Conan nie zjął zapasów z grzbietu własnego wierzchowca, lecz na szczęście Kezankiańczyk złożył swoje juki na ziemi. Po tej przygodzie wojownicy nie zrezygnowali jednak z pościgu i ruszyli pieszo zmierzającym na południe tropem Lamiciego.

Ich upór nie okazał się daremny. Następnego dnia natrafili na końskiego trupa. Kailasz stwierdził, że jest to jeden z ogierów ze stajni Eldrana. Eunuch zajeździł go na śmierć i w ten sposób szanse znów się wyrównały. Dwaj wojownicy z nową nadzieją ruszyli po śladach sandałów odcisniętych w piasku. Lamici jednak wciąż ich wyprzedzał.

Conan i Kailasz zdołali skrócić dystans dzielący ich od eunucha na północno-wschodnich stokach Gór Ognistych. Teraz ich odległe szczyty zniknęły za horyzontem, a oni zagłębili się w wypalone pustkowie shemickiej pustyni. Cymmerianin i Kezankiańczyk byli pewni, że dzieli ich niewielka odległość od ściganego mężczyzny, lecz eunuch wymykał się im ze zdumiewającą uporczywością.

W odpowiedzi obaj wojownicy zdwoili wysiłki, by dopaść swoją ofiarę.

— Drań jest wytrzymały jak pustynny skorpion i ma więcej szczęścia od nas — burknął Conan.

— Niedługo mu go zabraknie — wymamrotał pośepnie Kailasz, przesuwając dłonią po rękojeści miecza.

— Jeżeli nie dopadniemy go, zanim dotrze do twierdzy, to nasze szczęście może się skończyć — stwierdził ponuro Conan.

Kailasz popadł w chmurne milczenie. Ani on, ani Conan nie poruszyli dotąd najistotniejszej dla nich w tej chwili troski: kończyły się im zapasy. Oszczędzali wodę, lecz wyczerpujące tempo marszu uszczuplało jej ilość w zaskraszającym tempie. Co więcej, nie odpoczywali w ciągu najgorętszych godzin dnia, tak jak pierwotnie zakładali. Aby zmniejszyć dystans dzielący ich od Lamiciego, wędrowali nawet wtedy, gdy słońce stało w zenicie...

Kailasz był przekonany, że kilka dni bez wody nie zaszkodzi Cymmerianinowi. Żałował jednak, że jemu samemu brak żelaznej wytrzymałości Conana. Kezankiańczyk obawiał się, iż jego słabość zmusi ich do zwolnienia tempa pościgu. Góral cierpiał na okrutne skurcze mięśni nóg, a w płucach paliło go od suchego, pustynnego powietrza. Z wystawionych na słońce części ciała łuszczyły mu się całe płyty skóry. Nie był pewien, czy przeżyje drogę powrotną, nawet jeśli dopadną Lamiciego.

Zmusił się do myślenia o chłodnych kuflach z piwem i czułych pieścizotach pięknych dziewczek z oberży. Pogrążony w snach na jawie, mechanicznie przestawiał nogę za nogą, podążając za Cymmerianinem.

Conan ponownie utkwiał wzrok w widnokregu, gdy bezlitosne słońce zaczęło zniżać się na nieboskłonie. Uśmiechnął się spękany, wyschnięty wargami, stwierdziwszy, że wyraźnie zbliżyli się do Lamiciego. Ścigany mężczyzna zostawiał za sobą wężykowaty ślad niczym portowy pijaczyna. Kilka godzin wcześniej natrafili na porzucony pusty bukłak. Niewątpliwie eunuch ledwie trzymał się na nogach.

Słyszając za sobą głuchy łoskot, Conan odwrócił się. To Kailasz runął na piach. Cymmerianin ruszył w jego stronę, lecz góral dźwignął się bez jego pomocy.

— Zasnąłem — wymamrotał Kailasz, ocierając piasek z twarzy. Zaraz potem ponownie upadł. Conan rzucił mu zmartwione spojrzenie. Uniósł głowę górala i przyłożył bukłak z wodą do jego spieczonych warg. Kailasz upił parę łyków i wsparł się na łokciu.

— Muszę odpocząć — rzekł, spoglądając na Conan spod półprzymkniętych powiek. — Idź dalej.

Conan podniósł wzrok w stronę maszerującego w oddali Lamiciego. W gasnącym świetle zmierzchu coraz trudniej było dojrzeć eunucha. Cymmerianin nie mógł wlec Kezankiańczyka za sobą, lecz nie mógł również tak po prostu porzucić go na pustyni. Został im tylko jeden bukłak z wodą... Jeszcze raz spróbował ocucić Kailasza, lecz wyczerpany góral leżał w bezruchu na piasku.

Nie mogąc wymyślić jakiegokolwiek rozsądnego rozwiązania, stropiony Conan rozciągnął się na piachu kilka kroków od Kezankiańczyka. Naciągnął kaptur na twarz, wsparł dłoń na rękojeści pałasza i zapadł w niespokojny sen.

Obudziwszy się, poczuł się dziwnie odświeżony. Ze wszystkich stron otaczały go wydmy drobnego, żółtego piasku. Pustynny wiatr wygładził ich kontury i sprawił, że układały się w rzędy niczym morskie fale. Cymmerianin miał okrutnie spieczoną skórę i wysuszoną wargę, przestał jednak odczuwać dręczące pragnienie i drapanie w gardle. Po chwili ze zgrozą zdał sobie sprawę, że na horyzoncie pojawiło się wschodzące słońce. Zasnął!

Chwiejnie podniósł się z piasku, postanawiając obudzić Kailasa, lecz z niebotycznym zdumieniem stwierdził, że górala nigdzie nie widać. Brak było też śladów na piasku, pozwalających zorientować się, dokąd oddalił się Kezankiańczyk. Conan rozejrzał się z rozpaczą, szukając jakichkolwiek śladów przyjaciela. Blask słońca stawał się wręcz niesamowicie jaskrawy, przez co Cymmerianin zmuszony był bez przerwy osłaniać ręką oczy.

Zorientował się, że tarcza słońca dziwnie się powiększyła, wypełniając całe niebiosa jasnością nie do zniesienia. Conan instynktownie osłonił ramionami głowę, spoglądając przez zmrużone powieki. Nagle ognista tarcza zaczęła raptownie maleć, Cymmerianin zauważył, że jej barwa zmienia się z żółtej na błękitno-białą.

Chwilę później słońce zamiast na niebie, znalazło się na końcu srebrnego łańcucha na szyi starego, siwowłosego mężczyzny. W prawej dłoni starzec dzierżył srebrny szpikulce. Jego cały strój stanowił znoszony brunatny zawój. Mężczyzna podszedł bez pośpiechu do oszołomionego Cymmerianina.

— Zabij go tak, jak ja uczyniłem! — zaskrzeczał starzec, wymachując szpikulcem.

Conan błyskawicznie sięgnął po pałasz.

— Kiedy to zobaczy, będzie musiał stawić ci czoła! — mężczyzna wskazał na swój amulet.

Conan zorientował się, że talizman był identyczny jak ten, który nosił ze sobą Madesus.

— Kim jesteś? — zapytał Cymmerianin, nie rozluźniając uścisku na rękojeści pałasza.

— Deranassib z Pelishtii — odrzekł starzec. — Przebij jego serce! Zabij go, jak ja uczyniłem!

— Kogo mam zabić i w jaki sposób? Gdzie jest mój towarzysz, Kailasz?

Tym razem starzec nie odpowiedział. Wskazał szpikulcem na południe, odwrócił się plecami do Conana i ruszył przed siebie. Stopniowo jego ciało rozplynęło się w powietrzu, aż widać było tylko nagie kości. Szkielet zanurzył się w piach i zniknął Conanowi z oczu. Zaskoczony barbarzyńca nawet nie usiłował podążyć śladem nieznanego. W chwilę później znów zaczęło oślepić go słońce. Wypełniło niebo, zniżając się ku niemu, paląc żarem, miazdząc...

Obudził się, ciężko dysząc i natychmiast poderwał się na równe nogi. Wokół panowały ciemności. Odgadł, że śnił. Zaklął, i wsłuchał się w swój wracający do normy puls. Kilka kroków od niego Kailasz ziewnął, przeciągnął się i wstał.

— Mówiłeś coś? — zapytał zaspianym głosem.

— Nie — odparł Cymmerianin. Czuł, że lepiej będzie nie opowiadać towarzyszowi niepokojącego snu. — Musimy ruszać dalej. Nie sądzę, by Lamici zatrzymał się na odpoczynek.

— Powinieneś być mnie zostawić — stwierdził góral, kręcąc głową ze wstydu. — Moja słabość może nas drogo kosztować, ale obiecuję, że nadrobię dzisiaj czas, który straciliśmy. Naprzód!

Nie tracąc więcej sił na rozmowę, Kailasz ruszył szybkim krokiem. Po zachodzie słońca zapanowała bezwietrzna pogoda. Na piasku nadal widać było wyraźnie ślady Lamicięgo. W blasku księżyca dwaj wojownicy nie musieli wyęczać wzroku. Conan bez trudu dotrzymywał góralowi kroku. O świcie znów ujrzeli eunucha.

Lamici zbliżał się do zrujnowanych murów starożytnej budowli. Nad nimi wznosiła się imponującej wysokości wieża.

Gdy Kailasz ujrzął, że zataczający się eunuch jest tuż przy rozwalonej bramie twierdzy, wyrzucił z siebie stek obelg, mogących zawstydić nawet argosańskiego żeglarza.

— Biegnijmy! — zawołał chrapliwie do Cymmerianina. — Musimy go zatrzymać, zanim wejdzie do środka!

Mobilizując wszystkie siły, rzucili się pędem w kierunku zrujnowanej budowli.

Conan zastanowił się, czy nadszedł czas zagłady ich, czy Lamicięgo. Odrzucając od siebie wszelkie wątpliwości, przyśpieszył i wyprzedził Kailasa. Odległość dzieląca go od kulejącego eunucha zmniejszyła się gwałtownie.

Żaden z nich nie miał pojęcia, że ze szczytu wieży obserwują ich czarne jak sadza oczy.

Obejrzawszy się przez ramię, Lamici chciał krzyknąć ze zgrozy na widok barbarzyńcy znajdującego się zaledwie kilkadziesiąt kroków za nim. Brakło mu jednak tchu, by wydobyć z siebie głos. Eunuch miał spuchnięte i okropnie popękane wargi. Spalona przez słońce skóra na jego wychudzonej, przypominającej trupa czaszkę twarzy dosłownie zwisała w strzępach. Reszta

jego ciała znajdowała się w podobnym stanie. Złachmaniona niebieska szata upodabniała Lamicięgo do skleconego z patyków stracha na wróble.

Najbardziej wstrząsające wrażenie wywierały jednak jego oczy. Zauroczony jaskrawością słońca, od wielu dni wpatrywał się w jego tarczę. Pałący blask sprawił, że tęczęwki stały się mlecznobiałe. Lamici prawie oślepl. Mimo upośledzonego wzroku wiedział, dokąd zmierzać, jak gdyby prowadził go jakiś niewidzialny drogowskaz. Zapomniał, dokąd zmierza, a nawet jak się nazywa. Jego świat zawężił się do trzech elementów: słońca, twierdzy i amuletu. Niejasno zdawał sobie sprawę, że te trzy rzeczy mają wyjątkowe znaczenie. Pamiętał też o ścigających go wojownikach.

Potyając się, pokonał dziurę po bramie w zewnętrznym murze. Przewrócił się, lecz zdołał podźwignąć i ruszyć dalej. Za jego plecami Cymmerianin gnał jak opętany. Dobiegając do eunucha, wznosił ostrze, gotując się do zadania ciosu...

Ciemnooki obserwator na wieży bacznie przyglądał się każdemu krokowi ścigającego i ściganego. Gdy Lamici znalazł się wewnątrz muru, pan twierdzy przemówił po raz pierwszy od stuleci:

— Kapatmak—kutuk!

Dźwięczne sylaby zapomnianego języka wprawiły w ruch potężne siły.

— Au! — krzyknął zaskoczony Conan.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą ziała szczyrba w murze, pojawiły się wrota z hartowanej stali. Nie zdążywszy zahamować, Conan wpadł na nie z rozpędu. Przewrócił się na plecy, a broń wypadła mu z dłoni. Namacał rękojeść i dźwignął się z piasku, czując w głowie szum po nieoczekiwanych zderzeniu.

— A to co za czary? — zawołał Kailasz, zatrzymując się kilka kroków od bramy. — Patrz!

Wskazał mieczem przed siebie. Spękane, rozsypujące się sterty kamieni zniknęły, zastąpione nienaruszonym, przytłaczająco potężnym murem.

— Musimy przejść na drugą stronę! — warknął Conan. — Jeszcze możemy go dopaść!

Obydwaj wojownicy mieli duże doświadczenie we wspinaczce. Błyskawicznie wspięli się na bramę, dającą więcej punktów zaczepienia dla rąk i nóg niż mur. Conan pierwszy wyrwał przez jej wierzchołek. Lamici znajdował się w połowie drogi do schodów przed wejściem do twierdzy. Cymmerianin przeszedł na drugą stronę bramy, zawisł na rękach i zeskoczył na ziemię. Kailasz poszedł jego śladem. Nie zdołał zachować równowagi i przetoczył się po piasku. Eunuch znajdował się w odległości rzutu włócznią, ale dotarł już do schodów prowadzących do wnętrza fortecy.

Na szczycie wieży ponownie rozległ się grzmiący głos Skauraula.

— Delmek—keskin!

Rzuciwszy się w pościg za kulejącym eunuchem, Conan usłyszał nagle pełen zaskoczenia i bólu krzyk podążającego za nim Kailasza. Obejrząwszy się, Cymmerianin jęknął ze zdumienia. Z piachu wyrósł nagle długi, zaostzony żelazny pręt, u podstawy gruby jak ramię Conana. Metalowy kołek otarł się o tułów Kezankiańczyka i wyrwał dziurę w jego poszarpanym płaszczu. Cymmerianin poczuł lekkie łaskotanie pod prawą stopą i instynktownie uskokzył w bok. Szybki unik ocalił mu życie — kolejny pał przeszył powietrze w miejscu, w którym barbarzyńca znajdował się przed chwilą. Jego wierzchołek znieruchomiał o głowę wyżej od Conana. Połać piasku między dwoma wojownikami i twierdzą zamieniła się w zdradziecką zasadzkę. Conan i Kailasz gorączkowo uskakiwali przed śmiercionośnymi drągami, wyrastającymi dookoła nich niczym upiorne, żelazne zielsko. Niektóre z prętów chowały się z powrotem w ziemię, a piasek natychmiast zasypywał otwory po nich, maskując ślady złowieszczych pułapek. Nie ustając w gorączkowym tańcu między stalowymi pałami, Conan i Kailasz zbliżali się do twierdzy.

Obydwaj krwawili z kilku, na szczęście niegroźnych ran. Ich płaszcze wisały w strzępach.

Zdyszany z wysiłku Cymmerianin zdawał sobie sprawę, że najmniejsze rozproszenie uwagi oznacza śmierć na metalowym kołku. Postanowił jednak zaufać szczęściu, zamknął oczy i rzucił się pędem wprost ku wejściu twierdzy.

Gdy otworzył oczy, znajdował się u podnóża schodów, poza zasięgiem śmiercionośnych prętów. Na prawej łydce miał szkaradną ranę, wyrżytą przez jeden z kołców, lecz poza tym nie doznał poważniejszych obrażeń.

Kailasz rzucił się naprzód, naśladowując desperacki bieg Conana.

Tuż przed tym, nim zdołał pokonać zabójczą połać piasku, żelazna tyka przebiła jego lewą stopę i nie zatrzymując się, nadal wysuwała coraz wyżej. Kezankiańczyk runął na ziemię. Conan zawrócił, podbiegł do niego, zacisnął dłonie na pręcie i szarpnął z całych sił. Żelazny drąg zgiął się i wreszcie pękł. Kailasz ściągnął stopę z ułamanej podstawy pręta. Na czole górala pojawiło się kilka kropel potu. Krzywiąc się pod wpływem przeszywającego go bólu, oddał pas tkaniny z

płaszcza i ciasno obwiązał nim zranioną stopę. Krew zaczęła przesączać się przez płótno, gdy kulejąc, ruszył naprzód.

Chwytnąjąc pręt jak włócznię, Conan odwiódł ramię do rzutu.

— Giń, wściekły psie!

Pręt pomknął wprost ku Lamiciemu szarpiącemu niemrawo ciężkie drzwi twierdzy. Szpic pręta przeszył na wylot plecy eunucha i uderzył w drzwi z impetem wystarczającym, by te stanęły otworem. Lamici runął do środka.

Conan podniósł pałasz z piasku i rzucił się biegiem po schodach. Krzywiący się z bólu Kailasz z uporem podążał za nim. Chwilę później obydwaj wpadli do wnętrza fortecy.

W zasnutym pajęczynami przedsionku oczekiwał ich makabryczny widok. Sześć włochatych, rozdętych pajaków otoczyło rozpostarte na ziemi ciało eunucha i pożywiało się łapczywie. Pod wpływem ohydneho siorbania i trzasku wrywanych strzępów ciała, żołądek Conana zacisnął się w twardą kulę. Wymachując pałaszem, Cymmerianin szybko rozprawił się z mięsożernymi stawonogami.

Podczas gdy Kailasz walczył z ich pobratymcami spadającymi z wysokiego sklepienia, Conan wyciągnął spod szaty oblekającej żalosne resztki eunucha niewielką, skózaną sakiewkę. Wyczuł w jej wnętrzu mały, ciężki przedmiot. Wyciągnął ze środka płócienny pakunek, rozwinął go i triumfalnie uniósł w górę amulet Madesusa.

Kailasz opuścił wzrok na swą zranioną stopę.

— Musisz uciekać, Conanie! Zabierz amulet ze sobą. Oddaj go kapłanowi, który zdoła użyć go przeciw kapłance — podsunął Cymmerianinowi juk z zapasami. — Nie zwlekaj!

Conanowi została oszczędzona konieczność podjęcia decyzji.

— Kapatmak—kapi! — rzekł po raz trzeci Skauraul.

Żelazne drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, odcinając wojownikom drogę odwrotu. Conan wyszarpnął włócznię z trupa Lamiciego by je zablokować, lecz nie zdążył dotrzeć do wyjścia. Opuściwszy komnatę obserwacyjną na szczycie wieży, Skauraul rozpoczął długą drogę w dół po kręconych schodach.

20. FINAŁ

Conan i Kailasz wpatrywali się we wrota do twierdzy. Kezankiańczyk wypróbował na nich swą siłę, lecz nie poradził sobie z masywną kamienną płytą.

— Są tu trzy inne drzwi — stwierdził Kailasz, gdy jego oczy przyzwyczyły się do panującej w przedsionku ciemności.

Conan powiódł po nich podejrzliwym spojrzeniem. Wyrzeźbione nad drzwiami szydercze gargulce sprawiły, że Cymmerianin instynktownie podejrzewał obecność pułapek.

— Cztery — poprawił towarzysza.

Barbarzyńca podszedł do wielkiej, kamiennej płyty, która odcięła im odwrot. Kilkakrotnie spróbował wyrwać je z ościeżnicy, lecz potężne wrota wytrzymałyby natarcie tuzina ludzi ze spiżowym taranem. Wspólnie z Kailaszem włożył wszystkie siły w ostatnie, niemal nadludzkie szarpnięcie. Kamień nie ustąpił. Równa płaszczyzna drzwi zdawała się szydzić z ich trudu. Dysząc z wysiłku, zrezygnowali z daremnej szarpaniny i usiedli pod ścianą.

— Dlaczego się zamknęły? — zastanowił się głośno Kailasz. — Na Mitrę, czy wszystkie zasadzki w tej twierdzy działają jakby założono je wczoraj? Czy drzwi zatrzasnęły się na rozkaz kapłanki?

Conan mruknął coś niewyraźnie i zmeł kilka przekleństw. Rozglądając się po przedsionku w poszukiwaniu bezpiecznego wyjścia, zauważył, że mrok nieco ustąpił. Spojrzał na sklepienie, lecz po chwili spostrzegł, że to amulet Madesusa pała coraz jaśniejszym, niebieskim blaskiem. Uniósł talizman w górę i w jego świetle rozejrzał się ponownie.

— Popatrz! Widać jakieś ślady! — zawołał do Kailasza, wskazując odciski obutych stóp w cienkiej warstwie pyłu prowadzące do jednych z trzech drzwi.

Kailasz spojrzął pytająco na amulet, lecz Conan jedynie wzruszył ramionami. Góral przyjrzał się badawczo śladom na posadzce i powiódł wzrokiem po drzwiach.

— Założę się, że są zamknięte na klucz lub zaryglowane.

Kezankiańczyk nacisnął klamkę i stęknął ze zdumienia, gdy drzwi otworzyły się bez wysiłku. Conan powstrzymał go przed wejściem, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Pójdę pierwszy, by oświetlać drogę — końcem ostrza wskazał skrwawiony zawój tkaniny na stopie górala. — Idź ostrożnie! Przed nami są pewnie kolejne pułapki.

Kailasz skinął głową, poprawiając ułożenie dłoni na rękojeści swego miecza. Conan czubkiem stopy otworzył drzwi na całą szerokość. Amulet oświetlił półkolistą komnatę. Była całkowicie pusta, z wyjątkiem pół tuzina posągów. Z jej środka pięły się w górę kręcone schody, znikające w

sklepieniu na wysokości trzech mężczyzn. Conan ostrożnie wszedł do środka, dając znak Kailaszowi, by posuwał się za nim. Kezankiańczyk pokulał za Cymmerianinem. Wzdłuż ściany naprzeciw wejścia stało w równych odstępach siedem posągów. Przypominały odrażające gargulce, które przycupnęły nad drzwiami w przedsionku, lecz były znacznie większe i nie dzierżyły w łapach kamiennych kul. Conan obawiał się do nich zbliżyć. Ostrożnie jak kot podszedł do schodów na środku komnaty.

Kailasz podniósł żelazny kolec, wciąż połyskujący od krwi Lamiciego. Oparł go odłamanym końcem o próg i docisnął szpic do skrzydła drzwi, by uniemożliwić ich zamknięcie.

Gdy Conan postawił stopę na najniższym stopniu schodów, usłyszał za sobą głośny trzask. Błyskawicznie odwrócił się i skoczył do wyjścia. Teraz rozległ się łoskot, chrobot kamienia o kamień i w wejściu pojawił się kłęb pyłu. Conan wystawił przed siebie amulet, chcąc zorientować się, co dzieje się w przedsionku.

Gdy kurz opadł, obydwoj mężczyźni zakłękli i cofnęli się w głąb komnaty. W progu przycupnął odrażający gargulec znad drzwi. Jego pobrużdżona, kamienna powłoka była obecnie ciemnozieloną, łuskowatą gadzią skórą. — Oczy bestii lśniły w półmroku złowieszczą czerwienią. Zanim dwaj mężczyźni zdążyli zareagować, zakłękły wartownik cisnął w nich swoją kulę.

Conan zastawił się pałaszem. Posypały się niebieskie skry, gdy mlecznobiała kula uderzyła w ostrze broni. Kula upadła na posadzkę dwa kroki od Cymmerianina, trzeszcząc cicho. Dobyły się z niej kłęby białego dymu o odrażającym zapachu. Conan ruszył do przodu, gotując się do zadania ciosu.

Pokryta łuskami bestia błyskawicznie schwyciła wetknięty w drzwi metalowy szpic i pchnęła nim w stronę barbarzyńcy. Conan uchylił się przed śmiertelnie ostrą bronią i z mrożącym krew w żyłach okrzykiem dźgnął w odsłonięty bok potwora. Ostrze ugrzęzło głęboko w trzewiach bestii. Po wyciągnięciu na posadzkę, bryzgnął potok krwi.

Gargulec odskoczył w tył, chwycił klamkę i zatrzasnął drzwi za sobą, udaremniając ponowny atak Cymmerianina. Ranna bestia wpełznąła ułamany pręt pod klamkę, blokując ją. W chwilę później, brodząc krwią, gargulec znieruchomiał i na powrót zamienił się w kamienną rzeźbę trzymającą w łapach żelazny kolec.

Wewnątrz komnaty Conan rzucił się na drzwi. Zatrzęsły się pod impetem jego uderzenia, lecz nie ustąpiły. Kailasz krzyknął ostrzegawczo. Cymmerianin odwrócił się. Stojący kilka kroków dalej Kezankiańczyk wpatrywał się z szarą jak popiół twarzą w posągi pod ścianą. Cała siódemka zaczęła sunąć powoli w stronę intruzów. Podobnie jak u gargulca znad wejścia, ich skóra przybrała zieloną barwę. Wyglądały znacznie bardziej przerażająco niż ich mniejsi kuzyni dzierżący białe kule.

Oczy Conana lzały od kwaśnego dymu z płonącej kuli. Trujący opar przyprawiał go o uczucie, jak gdyby płuca przebijały mu sztylety. Każdy zaczerpnięty oddech wywoływał nowe ukłucia bólu.

Środkowy posąg załopotał skórzastymi skrzydłami i uniósł się w powietrze. Dwie następne bestie zaczęły zachodzić Conana z boków. Odcięty od Cymmerianina, Kailasz pokulał w stronę schodów i stanął przed czterema pozostałymi potworami o ostrych jak noże pazurach.

Conan oparł się plecami o drzwi, przygotowując się do odparcia ataku latającej bestii. Wystawiwszy przed siebie szpony i rozdziawwszy paszczę, stwór zanurkował z łopotem skórzastych skrzydeł. Barbarzyńca stał nieruchomo, dopóki zakrzywione pazury nie znalazły się w odległości dłoni od jego twarzy. Wtedy przetoczył się w bok, krzyknął i zamachnął się pałaszem z siłą wystarczającą do powalenia drzewa. Potwór uderzył w drzwi z ogłuszającym łoskotem, a po komnacie przetoczyło się echo pękających kości.

Ostrze Conana zawadziło o grzbiet potwora i ścięło mu skrzydła. Upadłszy na posadzkę, wciąż trzepotały. Ześliznąwszy się po drzwiach, bestia zostawiła na nich rozmazaną smugę. Przez moment wiła się w drgawkach, po czym obróciła się z powrotem w kamień. Na towarzyszących jej dwóch pobratymcach nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Bez namysłu zaatakowały Cymmerianina.

Kailasz toczył rozpaczliwą walkę na środku komnaty. Przebita na wylot stopa utrudniała mu utrzymanie równowagi, przez co skazany był wyłącznie na obronę. Wysiłki Kezankiańczyka uwieńczyły zadanie gargulcom paru drobnych ran, sam jednak krwawił obficie z licznych skaleczeń. Jednej z bestii udało się zbliżyć na tyle, że zdołała rozplatać góralowi skórę wzdłuż podbródka. Potwory zmuszały Kailasza do cofania się krok po kroku w górę po żelaznych schodach. Pokonał już kilkanaście stopni. Z miejsca, w którym się znalazł, nie widział Conana. Kezankiańczyk cofał się wolno, walcząc o zachowanie równowagi. Na schodach mogła atakować go tylko jedna bestia naraz. Znajdował się tak wysoko, że mógł już zajrzeć do znajdującego się wyżej pomieszczenia... Z niewielkiego przedsionka prowadziły dalej

niewielkie, drewniane drzwi. Nim Kailasz zdołał do nich dotrzeć, dwa ożywione posągi przefrunęły nad nim i zablokowały mu drogę. Dwa pozostałe, wspinające się po schodach, uniemożliwiały mu powrót na dół. Góral odwrócił się w stronę bliższych potworów na górze, licząc, że zdoła je pokonać i dostać się do drzwi. Chwilę później szpony bestii wyryły w jego prawym ramieniu głębokie, szkarłatne bruzdy.

Góral nie stracił głowy, co umożliwiło mu zaskoczenie niezziemskich przeciwników. Ruszył biegiem w ich stronę, lecz po chwili padł na podłogę. Przetoczywszy się między bestiami, poderwał się i rzucił do drzwi. Zraniona stopa płonęła bólem, lecz Kailasz zazgrzytał zębami i szarpnął za klamkę, modląc się do Mitry, by drzwi nie okazały się zamknięte. Jego modlitwa została wysłuchana. Góral wpadł do komnaty, ledwie umykając szponom ożywionych posągów. Namacał klamkę, zatrzasnął drzwi za sobą.

Już wcześniej, w miarę, jak Kailasz oddalał się od Cymmerianina, bijący z amuletu blask był coraz słabszy, lecz teraz Kezankiańczyk znalazł się w całkowitej ciemności. Drzwi zatrzęsły się pod impetem uderzenia bestii. Powiódłszy dłonią wzdłuż ościeżnicy, góral namacał rygiel i zasunął go. Szczęk żelaza zasuny zabrzmiało kojąco. Drzwi wyglądały na wystarczająco solidne, by przynajmniej na jakiś czas uniemożliwić potworom dostanie się do środka. Kailasz osunął się na ziemię, oparł plecami o ścianę i zaczął oceniać swoje położenie. Mimo że jego oczy zdążyły nieco przywyknąć do ciemności, nadal nie mógł rozróżnić szczegółów wnętrza.

Poprawiając rozluźniony opatrunek na stopie, Kailasz usłyszał dobiegający z głębi komnaty dziwny dźwięk. Zamarł, nasłuchując uważnie, lecz kolejne uderzenie w drzwi uniemożliwiło mu rozpoznanie odgłosu. Wystawiwszy miecz przed siebie, ruszył wzdłuż ściany, starając się znaleźć kąt, w którym mógłby się bronić. Gdy hałas na zewnątrz ustał na chwilę, ponownie usłyszał zagadkowy dźwięk. Delikatny szelest przypominał odgłos pocierania skórą o gładki kamień. Odgłos stawał się coraz głośniejszy. Kailasz przybrał bojową postawę. Zadał sobie pytanie, jak długo wytrzymają drzwi. Podejrzewał, że prześladowające go bestie widzą w ciemnościach. Gdyby potworom udało się tu włamać, nadszedłby jego kres.

Nagle poczuł, jak coś ociera się lekko o przebitą stopę. Niesamowite uczucie sprawiło, że z jego umysłu pierzchyły wszystkie myśli, a ciało pokryło się gęsią skórą. W chwilę później coś ostrego wbiło się w otwartą ranę. Poczuł przyływ bólu i usłyszał odrażający odgłos ssania. Z odrazą wierzgnął nogą, starając się strząsnąć to, co do niej przywarło. Niewidoczne stworzenie zasyczało gniewnie i pacnęło o podłogę. Sądząc po odgłosie, stwierdził, że jest niewielkie i skórzaste. Zastanawiając się, z jakiego zakamarka piekiel wypełzła ta pokraka, zamachnął się na oślep mieczem. Ostrze szczęknięło o posadzkę, siejąc iskrami. Nie trafił, a iskry zgasyły zbyt szybko, by zdołał wypatrzeć krwio pijącą.

Gdy Kailasz uniósł ostrze do następnego cięcia, komnatę wypełniła mętna, żółtawa poświata. Do jego nozdrzy dotarła woń przypominająca dym. Teraz góral dostrzegł, że komnata jest niewielka i całkowicie pusta. Za kolejnymi przejściami w położonej naprzeciw ścianie widać było pnące się w górę wąskie schody.

Góral dostrzegł wreszcie swe towarzystwo. W jego stronę pełził wielki pajak. Stawonóg utkwiał w nim gniewne spojrzenie lśniących oczu, świadczące, że ma dużo więcej rozumu od swych mniejszych kuzynów. Kezankiańczyk stwierdził, że dzięki szczęśliwemu przypadkowi zdołał jednak zranić swojego prześladowcę. Na podłodze leżało kilka odciętych odnóży.

Teraz w polu widzenia Kailasza znalazło się źródło poświaty i dymu. Kezankiańczyk stęknął ze zdumienia. Po wąskich schodach zstępowała kobieta, niosąca w dłoni czarę z ciemnego kamienia, z której wydobywało się światło i pasemka dymu. Opar skrywał rysy kobiety, jednak Kailasz był pewny, że ma przed sobą kapłankę Mutare. Na ile mógł ocenić, nie miała bronii, lecz pamiętał przestrożę Madesusa, że zwykły miecz jest bezużyteczny w walce z tą istotą. Kobieta dotarła do podnóża schodów i postawiła kamienną czarę na ziemi. Gdy ruszyła dalej, Kezankiańczyk stwierdził, że jest zupełnie naga. Jej gładka skóra miała czerwony odcień, podobnie jak spływające do ramion, rozpuszczone czarne włosy. Kobieta lubieżnie przegarnęła palcem krucze pukle, pogładziła szyję i zaczęła pieścić swe ciało. Powiodła dłońmi po półkulach obnażonych piersi i przesunęła je niżej. Kezankiańczyk z zaskoczeniem stwierdził, że jej brzuch jest wyduęty, jak gdyby była w ciąży. Skóra nad pępkiem pulsowała odstręczająco. Przepęlny obrzydzeniem, Kezankiańczyk odwrócił wzrok.

Kapłanka parsknęła mroźnym krew w zyłach, przenikającym do szpiku kości śmiechem.

— Witaj, góralu! Nie możesz patrzeć na prawdziwe piękno? Nie jesteś w stanie znieść mojego widoku? — Kailasz poczuł, że wbrew swojej woli podnosi ku niej spojrzenie. Zupełnie jakby niewidzialne palce zacisnęły się na jego głowie i zwróciły ją w stronę prześladowczym. Zacisnął mocno powieki, czując, że za żadną cenę nie wolno mu zająrzeć jej w oczy. Kobieta zaśmiała się ponownie, z jeszcze większym okrucieństwem.

— Nieważne. Jestem brzemienna. Rośnie we mnie mój potomek. Nim księżyc znajdzie się w

nowiu, na świat przyjdzie pierwszy z nowego pokolenia Mutare. Twoje ciało i ciepła czerwona krew nasycą głód mojego dziecka. Jednym gestem mogę zatrzymać bicie twego serca. Żywiąc się twoim umierającym ciałem, będę napawać się twymi przedśmiertnymi krzykami. Jesteś silny jak na człowieka. Wytrzymasz do czasu, aż wyrwę ci z piersi bijące serce i spiję jego soki. Spójrz na mnie, na piękne oblicze swej śmierci!

Walcząc ze sobą, Kailasz otworzył szeroko oczy i utkwiał wzrok w kapłance. Jej wielkie, czerwono-czarne oczy przywoływały na myśl bezdenne stawy pełne podstępnych wirów. Góralowi brakowało sił, by oderwać od nich wzrok. Bezwiednie otworzył usta. Nieruchome członki ciążyły mu jak ołów. Wciąż świadomy wszystkiego, runął na posadzkę. Nadal walczył z czarem kapłanki. Zacisnął porażoną dłoń na rękojeść tak silnie, że utrzymał miecz mimo upadku. Nie zdołał jednak oderwać spojrzenia od twarzy swej dręczycielki.

Karmazynowe usta kapłanki ściągnęły się, obnażając dwa rzędy sztyletowatych czarnych zębów. Wykazując nieludzką siłę, zdarła z Kezankiańczyka kolczugę, jakby pruła sparciałą tkaninę. Potem wpiwszy w górala zabójczy wzrok, wydarła z jego piersi kawałek ciała i włożyła go do ust. Kailasz nie był w stanie nawet krzyknąć.

Gdy dręczycielka ponownie sięgnęła do jego piersi, Kezankiańczyk usłyszał dobiegający zza jej pleców gniewny syk. Kapłanka odwróciła się błyskawicznie, spuszczając wzrok z górala. Ranny pajak zacisnął żwaczki na jej kostce.

— Krew ludzką Ximowi, powiedziała! — parsknął gniewnie stawonóg. — Teraz zabiera Ximowi! Krew jest dla Xima!

Kapłanka krzyknęła i zamachnęła się gwałtownie. Stawonóg został zgnieciony, jak po ciosie ciężkim młotem. Kobieta odrzuciła od siebie zmiażdżone szczątki krwiopijcy.

Uwolniony od wpływu jej spojrzenia, Kailasz poczuł, że odzyskał władzę w kończynach. Był wciąż wstrząśnięty, lecz odruchowo uczynił to, co pozwoliło mu przeżyć niezliczone bitwy i potyczki. Uniósł ciężki miecz i wbił go w najbliższy cel: rozdęty, pulsujący brzuch Azory. Niedźwiedzia siła i furia sprawiły, że czub ostrza wynurzył się z grzbietu przeciwniczki. Ciało kapłanki przeszył gwałtowny dreszcz.

Serce Kailasza o mało nie wyskoczyło z piersi. Czyżby udało się mu zabić czarownicę? Nie podejrzewał, by to było możliwe. Istotnie, krótkotrwała nadzieja zgasła, gdy kapłanka powoli odsunęła się od niego, wyciągając długie ostrze ze swych rozprutych trzewi. Kailasz szarpnął za rękojeść, rozcinając jej palce. Z przerażeniem stwierdził, że nie krwawia. Góral cofnął się w kąt, wzniosł miecz i znieruchomiał w oczekiwaniu. Kobieta pomacała brzuch i wrzasnęła z wściekłością:

— Zabiłeś moje dziecko! — jej szkarłatne oczy rozgorzały jak piekielne czeluście. — Łajno! Twoja żalonna broń znaczy dla mnie mniej niż ukąszenie komara. Teraz czekają cię cierpienia, jakich nie czuł jeszcze żaden człowiek! Przy każdej kropli krwi, którą z ciebie wyszę, będziesz doznawać mąk, jakich nie doświadczył żaden potępieniec!

Kailasz ponownie poczuł, jak jego ciało ogarnia paraliż. Gest kapłanki sprawił, że miecz wyskoczył mu z dłoni i zawisł w powietrzu. Gdy jego prześladowczym przegięła nadgarstek, splamione ciemną posoką ostrze przebiło bok górala. Niewidzialna, niewiarygodnie potężna siła sprawiła, że jego koniec klingi wrył się głęboko w kamienną posadzkę. Z bólu załomotało Kailaszowi w głowie. Pot polał się z górala równie obficie jak krew z rany.

— Zaden z ważnych dla życia narządów nie został przebit — powiadomiła go kapłanka szyderczym tonem. — Będziesz umierać przez wiele długich dni, jak schwytyany w sidła królik. Ze złowrogą uciechą nieznacznie przesunęła w powietrzu dłonią. Miecz zachwiał się w ranie, rozdzierając jej brzegi. Kapłanka opuściła rękę na krwawiącą szczelinę. Z jej dłoni buchnęły płomienie. Przypaliła w ten sposób ranę, doprowadzając do jej zamknięcia. Komnatę wypełnił przyprawiający o mdłości odór spieczonego mięsa i krwi. Kailasz poczuł, że jego umysł zrywa więź z ciałem, pierzchając z komnaty, która zamieniła się w izbę tortur.

Umęczony mężczyzna nie dostrzegł, kiedy drzwi ustąpiły pod naporem ożywionych posągów. Zapadł w stan przypominający śmierć. Węch, słuch i smak wymówiły mu posłuszeństwo. Przez roztrzaskane drzwi wpadły trzy bestie. Natychmiast pobiegły w kąt komnaty, otaczając kapłankę i rozciągniętego na posadzce górala. Kailasz powoli zdał sobie sprawę, że koszarne istoty rzuciły się nie na niego, lecz na kobietę.

Kezankiańczyk nie byłby tym zaskoczony, gdyby znał pochodzenie i przeznaczenie potworów. Były to starożytne stworzenia, wywodzące się z czasów poprzedzających powstanie rasy Mutare. Wężowy lud Valuzji wyhodował je, by służyły mu jako strażnicy. Skauraul nauczył się im rozkazywać, korzystając z tajemnic wykradzionych stygijskiemu czarnoksiężnikowi. Azora nie znała tych sekretów, nie wiedziała również, że jej czary nie mają mocy przeciw tym bestiom.

Dziko gestykulując, kobieta zwróciła się w stronę atakujących ją potworów. Gdy zdała sobie

sprawę, że bestie nie słuchają jej, wybuchnęła stekiem przekleństw. Prastare istoty wiedziały tylko jedno: zabić intruzów! Przed setkami lat Skauraul wydał im to polecenie i nic się do tej pory nie zmieniło. Nim Azora zdołała pomyśleć o skuteczniejszej obronie, beznamiętne wykonały rozkaz swojego pana. Ostrymi jak noże pazurami i kłami rozdarły kapłankę na strzępy. W ciele Mutare nie krążyła krew, nie mogło jednak ostać się ono przed szarpiącymi je szponami i zębami. Odzyskując władanie nad swoim ciałem, Kailasz odwrócił wzrok od dokonującej się jatki.

Kezankiańczyk pomyślał, że jego położenie jest beznadziejne. Kapłanka przyszpiliła go do kamiennej posadzki jak owada. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że miecz leży obok. Czyżby miał do czynienia ze złudzeniem? Rany na jego piersi były prawdziwe, krew sączyła się z miejsc, w których kapłanka wyjadła jego ciało, lecz bok okazał się cały. Góral wiedział, że za chwilę bestie rzucą się na niego. Dźwignął się z wysiłkiem z posadzki i chwycił miecz, gotując się na ich atak. Od utraty krwi zakręciło się mu w głowie. Mimo doznanych obrażeń uparty Kezankiańczyk nie zamierzał się poddawać. Poprzysiągł, że wyśle do piekieł przynajmniej jednego pokrytego łuską potwora, zanim ta komnata stanie się jego grobowcem. Wezwał posępnie imię Mitry i zebrał siły do ostatniej walki.

W sali na dole Conan zmagął się z ożywionymi posągami. Wskoczył na zamienionego z powrotem w kamień potwora przy progu i rąbał drugą bestię. Maszkara z zaskakującą zręcznością uchyliła się przed ciosem i rzuciła na Cymmerianina. Zbyt wychylony do przodu barbarzyńca nie zdołał zastawić się przed atakiem potwora. Szykował się już na przyjęcie nieuniknionego uderzenia, gdy bestia po lewej wyciągnęła zakończoną szponami łapę po amulet. Gdy tylko jej pazury otarły się o gorejącą powierzchnię talizmanu, zamarła, nie dokończywszy ruchu i w jednej chwili zamieniła się w kamień. Drugi potwór uderzył, o mało nie łamiąc Cymmerianinowi żeber. Pod wpływem ciosu Conan zatoczył się wraz z napastnikiem w stronę wejścia.

Nadwątlone drzwi stały otworem, nie mogąc oprzeć się połączonej wadze dwóch walczących. Conan i bestia wtoczyli się do przedsionka niczym dziwaczny kłęb pokrytych kończyn skórą i łuskami. Gdy Cymmerianin runął na posadzkę, amulet wypadł mu z dłoni. Masywny tors potwora przygwoździł do ziemi prawe ramię barbarzyńcy, Conan zdołał jednak utrzymać pałasz w dłoni.

Wijąc się i stękając, Cymmerianin spróbował zrzucić z siebie potwora. Wielkie stworzenie okazało się jednak za ciężkie nawet dla potężnie umięśnionego barbarzyńcy. Conan zdał sobie sprawę, że jego rozpaczliwa szamotanina może jedynie odwlec chwilę, gdy potwór go zadusi. W bezpośrednim zwarciu pałasz był bezużyteczny. Wypuścił z dłoni jego rękojeść, ale nie mógł dosięgnąć przy — pasanego do boku sztyletu. Rozpaczliwie obrzucił wzrokiem komnatę, rozglądając się za bronią, która dałaby mu przewagę.

W zasnuwającym się czerwoną mgłą polu widzenia Cymmerianina pojawił się szpic żelaznego pręta, sterzącego między łapami kamiennego gargulca. Wyszarpnąwszy ramię spod przygniatającego je do ziemi cielska, Conan spróbował pewniej uchwycić potwora. Bestia schwyciła go łapą za gardło. Jej szpony rozdarły barbarzyńcy skórę na szyi i byczym karku. Drugą łapą stwór przycisnął do boku lewe przedramię Cymmerianina.

Conan ciałnie objął potwora lewym ramieniem, napinając mięśnie tak, iż nabrzmiały jak postronki. Wytężywszy wszystkie siły, obrócił się, rzucając bestię na zaostrowany koniec pręta. Ciało maskary przeszył dreszcz, po czym obróciła się w kamień.

Dygoczący z wysiłku, ciężko dyszący Conan dźwignął się z posadzki. Przenikały go fale bólu, a w głowie kręciło mu się z wysiłku. Myślał jedynie o podniesieniu pałasza i amuletu oraz pomocy Kailaszowi. O ile góral jeszcze żył. Na górze panowała złowieszcza cisza...

Rzuciwszy jedno spojrzenie na pogiętą klingę, odrzucił pałasz od siebie i wyciągnął sztylet z pochwy przy pasie. W tym momencie włosy na karku stanęły mu dęba.

Przed Cymmerianinem stanął bosonogi, nie uzbrojony mężczyzna w czarnej szacie. W prawej dłoni przybysza gorzał niewielki ognek, oświetlając pozbawione wieku oblicze i czarne jak łupek oczy. Conan zwalczył instynktowny lęk przed czarami i zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Najwyraźniej miał do czynienia z czarnoksiężnikiem lub demonem.

— Powitałbym cię wcześniej, gdybym był dobrym gospodarzem — powiedział mężczyzna z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. — Ale nim nie jestem. Jeżeli chodzi o moją żonę, to chociaż przebyłaś daleką drogę, by ją zobaczyć, obawiam się, że Azora jest nieco niedysponowana... Conan ocenił odległość dzielącą go od czarownika i przygotował się do rzutu sztyletem. Miał nadzieję, że ostrze w sercu wystarczy do uśmiercenia czarnookiego diabła. Gdy napinał mięśnie ramienia, mężczyzna w magiczny sposób sprawił, że Cymmerianin uniósł się w powietrze. — Yuzmek — wyszeptał Skauraul, unosząc dłoń. — Akmak.

Żelazne, zewnętrzne drzwi otworzyły się z łoskotem, a Conan poszybował z dużą szybkością w ich stronę. Mijając je, spróbował wczepić się dłonią we framugę. Nieudana próba uchwycenia drzwi sprawiła, że zawirował w powietrzu. Pod wpływem czaru Skauraula barbarzyńca minął prowadzące do twierdzy schody i znalazł się nad pasem piasku najeżonym złowieszczymi palami.

— Azalmak—delmek!

Gdy Mutare wypowiedział to słowo, Conan runął wprost na sterczący z piachu kolec. Przez chwilę mógł obserwować jego lśniący szpic. Zaostrzony pręt przebił jego udo i otarł się o kość, ale minął tułów. Stęknąwszy z potwornego bólu, Conan zacisnął dłonie na pręcie. Jedynie stalowa wola i żywotność sprawiły, że barbarzyńca nie zemdleł. Czarnooki mag zatrzymał się w proggu, napawając jego cierpieniem.

— Robaku! — zawołał Skauraul. — Nawet stu takich jak ty nie jest wstanie mi zaszkodzić!

Poznaj, jaki los spotyka tych, którym brak rozumu, by czuć przede mną strach! Może dożyjesz zachodu słońca, jeżeli przegapią cię sępy!

Władca Mutare odwrócił się, i ruszył, by zniknąć we wnętrzu twierdzy. Do uszu Conana dobiegło echo jego upiornego śmiechu.

Przed tysiącami lat, gdy imperium Skauraula przeżywało swój największy rozkwit, Cymmerianie stanowili rasę nieznaną cywilizowanemu światu. Władca Mutare nigdy dotąd nie spotkał przedstawiciela tej barbarzyńskiej nacji, inaczej nie zostawiłby tak niebezpiecznego przeciwnika samemu sobie.

Z rykiem zwierzęcej wściekłości Conan włożył wszystkie swe siły i wolę w rzut wciąż trzymany w dłoni sztyletem. Celność nie zawiodła go, a odwrócony Skauraul nie zauważył mknącego ku niemu pocisku. Szerokie, srebrzyste ostrze trafiło wskrzeszonego Mutare w bok i utkwilo między żebrami, wchodząc po samą rękojęść.

Atak Conana okazałby się ostatnim, daremnym gestem odwagi, ponieważ żadne zwykłe ostrze nie mogło wyrządzić szkody Mutare. Jednakże przy wyborze broni w zbrojowni króla Eldrana, przeznaczenie pokierowało dłonią Cymmerianina. Wybrany przez niego sztylet został wieki wcześniej pokryty srebrem pochodzącym ze szpikulca, którym Deranassib z Pelishtii uśmiercił Skauraula po raz pierwszy. Król Nathouk polecił ozdobić dar dla Maelcinisa Brythuńskiego częścią relikwii przechowywanej w grobowcu świątobliwego męża.

Skauraul chwycił się za bok, zgiął w pół i łapczywie złapał oddech. Obracając się, wydał z piersi przerażający wrzask. Nim jego echo przetoczyło się po pustyni, Mutare rozsypał się w kopiec piachu. Na wierzch upadło rozpalone do czerwoności ostrze. Przypadkowy powiew wiatru zniósł pierwsze ziarenka piasku.

Zacisnąwszy zęby do bólu, Conan rzucił się naprzód. Przeszywający jego nogę metalowy pręt nie wytrzymał obciążenia i pękł. Cymmerianin wysunął go ze swego ciała kawałek po kawałku, pokonując kolejne fale bólu. Przy pomocy pasa od miecza zatamował upływ krwi z rany i kulejąc, ruszył w stronę twierdzy.

W przedsiönku oderwał kilka pasów tkaniny z płaszczka Lamiciego i lepiej zabandażował upiorną dziurę w swoim udzie. Potem ruszył szukać Kailasza. Tymczasem leżący na kupie piasku sztylet zaczął syczeć i dymić. Broń była zbyt rozpalona, by nawet zbliżyć do niej rękę. Po chwili ostrze rozjarzyło się jeszcze bardziej jaskrawo, zmieniając barwę z czerwonej na żółto—pomarańczową. Przedsiönek wypełnił narastający gwałtownie nieznośny żar. Cymmerianin poczuł, że musi zrezygnować z poszukiwań Kezankiańczyka. I tak nie wierzył, by ranny góral dał sobie radę z czterema potworami. Gdy po raz ostatni słyszał Kailasza, był to krzyk umierającego człowieka. W każdym razie udało mu się pomścić śmierć wielkiego wojownika oraz kapłana Mitry i wypełnić misję.

Conan spiesznie wypadł z przedsiönka twierdzy zamieniającego się już we wnętrze pieca. Po drodze zabrał bukłak z wodą. Kiedy jego stopa natrafiła na niewielki przedmiot, bez namysłu podniósł go i pobiegł dalej. Później długo zastanawiał się, skąd w jego dłoni wziął się amulet Madesusa.

Sztylet rozjarzył się do białości, a piasek stopił. Twierdza zaczęła dygotać w posadach. Gdy Conan dotarł do gąszczu stalowych pali, kamienne ściany wydały złowieszcy łoskot.

Nagle fortacją wstrząsnął wybuch. Spękane kamienne płyty zapadły się z ogłuszającym łoskotem, jakby jakiś bóg uderzył w budowlę olbrzymim młotem. Twierdza Skauraula zaczęła rozsypywać się na proch tak, jak nieco wcześniej jej właściciel.

Conan pędził najszybciej jak mógł w stronę muru okalającego twierdzę. Gdy dotarł do zrujnowanej bramy, za nim, tam gdzie do tej pory pięła się w niebo dumna wieżyca, pozostała tylko nierówna sterta potrzaskanych głazów.

Cymmerianin westchnął. Mógł pożegnać się z nadzieją znalezienia skarbów. Miał szczęście, że udało się mu ująć z życiem. Pochyliwszy głowę, by osłonić twarz przed słońcem, ruszył w

długą drogę na północ.

21. NA ROZSTAJACH

Conan niewiele zapamiętał z nużącej wędrówki przez pustynię. Otepiały, szedł przez piaszczyste pustkowia, aż zostawił je daleko za sobą. Resztkę wody w bukłaku wypił dzień wcześniej. Barbarzyńska wytrzymałość sprawiła, że miarowo, nieustępliwie stawiając jedną nogę przed drugą, dotarł do południowego skraju Szlaku Węża.

W pobliżu traktu znalazł wodę i schronienie, w którym mógł się przespać i dać wytchnienie umysłowi. Nadal był obolały po walce w twierdzy i kulał okrutnie, bo rana na nodze goiła się powoli. Starał się na to nie zważać. W przeszłości doświadczył już okrutniejszego losu. Wiedział, że jest w stanie dotrzeć do Brythunii.

Po powrocie do Pirogii zamierzał opowiedzieć Eldranowi o swoich przejściach. Był pewien, że król obdaruje go koniem i zapasami, a może nawet wynagrodzi złotem. Conan zamierzał też pożegnać się z Yvanną. Na myśl o niej uśmiechnął się po raz pierwszy do wielu dni. Po rozstaniu z dziewczyną, zgodnie z wcześniejszymi planami, ruszy wreszcie do Zamory.

Rozmyślając o tak przyjemnych perspektywach, Cymmerianin dotarł do Innasfaln. Postanowił zatrzymać się na noc w zajeździe Malgoresza. Był pewny, że kilka kufli piwa jeszcze bardziej poprawi mu humor. Liczył też, że zdoła kupić od gospodarza konia z rzędem.

Cymmerianin pchnął nowe, nasmołowane drzwi do szynku i wszedł do środka. Było późne popołudnie. Kilku wieśniaków natychmiast podniosło głowy znad kufli, by z jeszcze większym pośpiechem udać, że nie zauważają nowego gościa. Conan dostrzegł znajomą twarz oberżysty. Pochylny Malgoresz zawzięcie dyskutował o czymś z dwoma klientami siedzącymi plecami do Cymmerianina.

— Piwa, na Croma! — rzucił Cymmerianin, sadowiąc się za stołem.

Oberżysta uniół głowę i ze zdumienia otworzył usta.

— Na włochatą żyć Hanumana, toż to Conan!

Gospodarz zajazdu uśmiechnął się szeroko. Jeden z mężczyzn przy stole wydał z siebie odgłos, jakby się zakrzuszył, wypluł łyk piwa, rąbnął w blat kuflem i odwrócił się twarzą do Cymmerianina. Na jego widok Conana ogarnęło niebotyczne zdumienie.

— Kailasz! Na Croma i duchy moich przodków, myślałem, że nie żyjesz!

Wyciągnął do Kezankiańczyka poznaną blizną prawicę. Ten uściśnął ją serdecznie, wstał i drugą ręką poklepał Conana po ramieniu. Cymmerianin zauważył, że Kailasz stracił lewą nogę od kolana w dół. Zastępowała ją świeżo sporządzona drewniana proteza.

— Po tysiącokroć zanosilem modły do Mitry, by i tobie udało się uciec — powiedział z uniesieniem Kezankiańczyk. — Co działo się z tobą w twierdzy?

— Najpierw opowiedz mi, jaki był twój los! Kiedy straciłem cię z oczu, wrzeszczałeś, jakby rozciągano cię na kole tortur.

Conan usadowił się na ławie. Malgoresz postawił przed nimi nowe kufle piwa. Kailasz opowiedział najpierw o napawającym grozą spotkaniu z Azorą i Ximem.

— Potwory rozerwały ją na strzępy i rozrzuciły je, gdzie popadło. Potem ruszyły na mnie.

Ledwie mogłem unieść miecz, ale dzięki łutowi szczęścia usiekłem jedną z bestii. Kolejna urwała mi nogę jak skrzydełko musze! — postukał palcem po drewnianej protezie. — Kiedy zaczęła ją pożerać, wsadziłem gadzinie miecz w paszczkę. Zamieniła się w kamień, w którym uwięzła moja broń. W tej samej chwili trzecia bestia zawróciła i zbiegła po schodach, jak gdyby ktoś ją przywołał. Dowlokłem się do misy z ogniem, którą piekielna kapłanka wniosła do komnaty, przypaliłem kikut gorejącymi węglami i zemdlałem z bólu. Kiedy doszedłem do siebie, twierdza drżała jak osika na wietrze. Głazy sypały się ze ścian. W zewnętrznym murze otworzyła się szczelina, a ja zdołałem się do niej doczołgać. Po drodze o mało na zginąłem pod płytami odpadającymi ze sklepienia. Przecisnąłem się przez szparę w murze i stoczyłem po chwiejącej się ścianie twierdzy. Musiałem spadać parę dobrych pięt, zanim wylądowałem na piasku. Na Mitrę, nie mam pojęcia, jakim cudem moje kości wciąż trzymają się kupy!

— Kezankiańczycy są ulepieni z solidnej gliny — stwierdził sentencjonalnie Malgoresz, kiwając głową.

— Może, ale nie z tak dobrej, jak Cymmerianie! Zginąłbym na pustyni, gdyby nie wspomógł mnie Kaletos — Kailasz wskazał siedzącego obok człowieka. Conan uniół brwi. Kaletos? Skądś znał to imię... Tak, mentor Madesusa! Conan przyjrzał się mędrcom z zaciekawieniem. Kaletos wyglądał jak o wiele starszy Madesus. Mimo że włosy świątobliwego męża były całkiem siwe, jego jaskrawe, zielone oczy miały dziwnie młodzieńczy wyraz.

Spojrzenie Conana przykuło amulet wiszący na szyi Kaletosa. Cymmerianin wyjął talizman Madesusa i podał go sędziwemu kapłanowi. Kaletos ujął amulet ze smutnym uśmiechem.

Moore Sean U - Conan niezłomny

— Jak znalazłeś Kailasza? Podążałeś za nami przez pustynię? — zapytał zaintrygowany barbarzyńca.

— Nie — odpowiedział Kaletos z silnym koryntiańskim akcentem. — Mój młody przyjaciel Madesus pragnął, bym was wspomógł. Wyczułem, kiedy padł od ciosu mordercy — uniósł amulet podany mu przez Conana. — Tego właśnie szukałem — stwierdził.

— Macie konie? Musieliście się śpieszyć, skoro dotarliście do zajazdu przede mną!

— Twój przyjaciel opowie ci, jak do tego doszło — odparł kapłan z pobłażliwym uśmiechem. Niespodziewanie biała szata starca zaczęła mżyć światłem, by po chwili rozjarzyć się nieznośnie jaskrawym blaskiem. Conan zasłonił dłonią oczy. Opuściwszy powieki, starał się dostrzec przez palce, co czyni kapłan.

Tym, co ujrział, nie podzielił się z nikim do końca życia. W promienistej poświacie sędziwe oblicze Kaletosa uległo zmianie. Zniknęły wyryte przez czas bruzdy, chociaż oczy o przeszywającym spojrzeniu nie zmieniły wyrazu. Na twarzy kapłana pojawiła się bujna broda, a jego włosy stały się długie i falujące. Było to oblicze Mitry, Pana Światła.

Nim napełniony pokorą Conan zamknął oczy i skłonił głowę, ujrział coś jeszcze. Obok istoty w białej szacie pojawiła się druga postać. Ujęła odzyskany amulet i przez chwilę wpatrywała się z uśmiechem wprost w Cymmerianina. W końcu Madesus szepnął:

— Jesteśmy ci wdzięczni, Conanie. Nie żałuj mnie, bowiem teraz, po wypełnieniu swojego ziemskiego posłannictwa, znalazłem prawdziwe ukojenia.

Po tych słowach obie nieziemskie postacie zniknęły w mgnieniu oka.

Trzej pozostali przy stole mężczyźni wodzili po sobie wzrokiem, nie mogąc wydobyć ani słowa. Po chwili bezradnego milczenia, zaczęli mówić wszyscy naraz. Okazało się, że nikt inny w izbie biesiadnej nie dostrzegł białej światłości. Conan, Malgoresz i Kailasz byli jedynymi świadkami cudu.

— Pamiętam, że Kaletos znalazł mnie na pustyni pogrążonego w gorączce i bliskiego śmierci — rzekł Kailasz, potrząsając głową. — Miał konie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zabrał mnie do klasztoru, w którym kapłani zajęli się moją nogą. Kiedy byłem w stanie usiedzieć w siodle, ruszyliśmy do zajazdu.

— Tak, przybyli dopiero dziś rano! — dodał Malgoresz.

— Konno? — zapytał Conan.

— Tak... — Kailasz urwał, jakby nie był pewny rzetelności swej pamięci. — Uwiązaliśmy je na zewnątrz...

— Nie widziałem żadnych koni, kiedy tu wchodziłem — powiedział Conan poważnym tonem.

Twarz Kezankiańczyka pobladła. Głęboko namyślał się, po czym powiedział:

— Mądry człowiek nie wtrąca się do spraw kapłanów i czarnoksiężników.

Po tych słowach sięgnął po kufel piwa. Czyniąc to samo, Conan pokiwał głową na znak zgody.